DZIŚ W NUMERZE: PROBLEMY MŁODZIEŻY STUDENCKIEJ ■ WOJNA NA MAŁEJ ZIEMI ■ KABARET CZYLI „KRZYWA W PIONIE" ■ RAPORT SOCJOLOGA ■ POWSZEDNI DZIEŃ LITERATURY ■ O WIATRAKACH CZYLI MILCZĄCE SKRZYDŁA ■ NOCNY DYŻUR ■ WĘDRÓWKI ZIMĄ I LATEM

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ■ ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XXI NR 10 (1056)
5 MARCA 1978 R.
CENA 3 ZŁ

społeczna funkcja nauki

JAN NOSKO

„Nauka nie powinna być egoistyczną przyjemnością: ci, którzy są tak szczęśliwi, że mogą poświęcić się nauce, powinni też pierwsi oddawać swoją wiedzę na usługi ludzkości".

(K. Marks)

W świadomości społecznej, twórcy naukowego socjalizmu, Marks i Engels oraz kontynuator ich idei, Lenin – teoretycznie i praktycznie wzbogacający dorobek swoich wielkich poprzedników – kojarzą się na ogół jako wielcy ideolodzy, myśliciele, których wizja świata porwała miliony ludzi, lub też jako przywódcy ruchu robotniczego, w praktyce potwierdzający obiektywny charakter swoich głównych koncepcji, wreszcie jako ci, których teoria i praktyka stanowi przedmiot bezpardonowej walki we współczesnym świecie.

Rzadziej natomiast uświadamia się fakt, że byli oni genialnymi uczonymi, którzy odegrali doniosłą rolę w rozwoju samej nauki w przewartościowaniu poglądów na jej charakter i zadania, w nadaniu, zwłaszcza dyscyplinom społecznym, waloru naukowości poprzez wypracowanie i zastosowanie jedynie naukowej metodologii — materializmu historycznego, a w naukach przyrodniczych materializmu dialektycznego. Na koniec, co godne jest szczególnego podkreślenia, swoje odkrycia naukowe starali się zastosować w praktyce, a przede wszystkim — do praktyki ruchu robotniczego. Jednocześnie pilnie śledzili każde nowe odkrycie naukowe, każdy wynalazek i analizowali ich znaczenie dla rozwoju sił wytwórczych, dynamizowania procesu produkcyjnego oraz wpływu na rozwój nauki. Nauka bowiem była dla nich siłą poruszającą dzieje, siłą rewolucyjną.

Jest rzeczą znamienną, że wielki przewrót w naukach społecznych jaki miał miejsce w XIX wieku, dokonany został przez przywódców ruchu komunistycznego. Wykazali oni po raz pierwszy społeczny charakter nauki, sformułowali zasadę jedności myśli i działania, teorii i praktyki. Zwrócili uwagę na konieczność aktywnej roli nauki i jej twórców w przekształcaniu świata; aktualna pozostaje słynna uwaga Marksa: **„Filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat, idzie jednak o to, aby go zmienić".**

Marks, Engels i Lenin aktywnie popierali naukę. Ich działalność naukowa, a także walka kierowanych

Dalszy ciąg na str. 3

Foto: Archiwum

Za hamburskim tygodnikiem „DIE ZEIT" publikujemy dalszy ciąg artykułu Karla-Heinza Janssena na temat wydarzeń w stuttgarckim więzieniu w nocy z 17 na 18 października 1977 roku.

co rzeczywiście wydarzyło się w więzieniu w Stammheim?

SPRZECZNOŚCI

Z mgły, jaka otoczyła Stammheim, wynurzyły się 18 października 1977 r. fałszywe informacje. Podobnie, jak to się zawsze dzieje po katastrofach, ani władze, ani świadkowie, ani dziennikarze nie mogli się od razu dobrze zorientować w sytuacji. W tym przypadku nagromadzenie fałszywych informacji okazało się szczególnie fatalne. Tak więc mówiło się, że:

— Baader i Raspe zastrzelili się z pistoletów 7,65 mm marki Heckler i Koch — w jednym przypadku kaliber i marka się zgadzały, w drugim nie.

— Odcisków palców na broni nie znaleziono, ponieważ oba pistolety były umazane we krwi — faktycznie na broni Raspego nie było śladów krwi.

— Personel więzienny nie wchodził rano do cel Baadera i Ensselin — faktycznie wchodzili tam urzędnicy wymiaru sprawiedliwości, wartownicy więzienni, sanitariusze i lekarz.

— Gudrun Ensslin widziano po raz ostatni o godz. 16,00 — faktycznie została przyprowadzona do celi dopiero około godz. 17.00.

— Irmgard Moeller zadała sobie rany cięte nożem do krojenia chleba — faktycznie znaleziono w jej celi zaplamiony krwią nóż, jakiego używa się do smarowania kanapek.

— Autopsji zwłok trzech więźniów dokonało „międzynarodowe gremium lekarzy" — faktycznie zagranicznych lekarzy powołano tylko jako obserwatorów.

Ogromną część winy za to zamieszanie trzeba przypisać ministrowi sprawiedliwości Badenii-Wirtembergii, Traugottowi Benderowi, który wkrótce potem podał się do dymisji. Po południu tego dnia — o godz. 15,00 — pojawił się bezradny i obojętny na konferencji prasowej, mimo że w tym czasie nawet się jeszcze nie rozpoczęła lustracja cel.

Dopiero o godz. 15,45 zwolniono cele i zwłoki dla dokonania oględzin. Urzędnicy policji kryminalnej zjawili się z aparaturą fotograficzną stereo, aby dokonać pomiarów na miejscu; inni zaczęli przeszukiwać cele zapchane książkami, skrzyniami, śmieciami. Pod nadzorem sędziego sądu powiatowego (Sturrgat-Bad Canstatt) zabrali się do pracy również specjaliści medycyny sądowej. Zwłoki Baadera wyciągnięto nieco z celi, aby można było zrobić zdjęcie rentgenowskie głowy.

Przy wejściu do więzienia zebrali się obrońcy czterech więźniów: Otto Schily (obrońca Ensslin), Hans-Heinz Heldmann (obrońca Baadera), Karl-Heinz Weidenhammer (obrońca Raspego) i wejść do cel. Gruntowna praca kosztuje: oględziny zwłok i badania ekspertów medycyny sądowej w celach trwały do godz. 21,00. Policja pracowała do północy.

Dwoje zmarłych — Baader i Ensslin — zostali jeszcze wieczorem przewiezieni do kostnicy cmentarza w Tybindze. Tam profesor Mallach rozpoczął ze swymi asystentami o godz. 22.00 obdukcje zwłok, podczas gdy jego kolega ze Stuttgartu, Rauschke, nagrywał ustalenia na taśmę magnetowidu. Trzej lekarze zagraniczni patrzyli im na palce, udzielali rad i dyskutowali na temat wyników...

Tymczasowy pisemny protokół z sekcji został podpisany przez odpowiedzialnych za obdukcje lekarzy: Rauschkego i Mallacha. Ich zagraniczni koledzy otrzymali później kopię;

Dalszy ciąg na str. 12

XX Konferencja PZPR w Łodzi

BILANS DOKONAŃ, NOWE ZADANIA

24 lutego br. odbyła się XX Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza w Łodzi, która zakończyła trwającą od kilku miesięcy kampanię w łódzkiej organizacji partyjnej, podsumowała dorobek województwa i wytyczyła zadania na nową kadencję. Wzięło w niej udział 387 delegatów, reprezentujących blisko 120-tysięczną rzeszę członków i kandydatów, a wśród nich 198 robotników, 153 przedstawicieli inteligencji, 161 kobiet, 52 działaczy młodzieżowych. Było to więc przedstawicielskie forum wszystkich środowisk społecznych i zawodowych województwa. W obradach Konferencji wzięli udział przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i państwowych: członek Biura Politycznego, sekretarz KC tow. EDWARD BABIUCH, kierownicy wydziałów KC: Bogdan Gawroński i Jerzy Waszczuk, ministrowie: Maria Milczarek i Adam Kowalik, wiceminister Władysław Jabłoński, a także wielu zaproszonych gości.

Przebieg XX Konferencji Wojewódzkiej, referat I sekretarza KŁ PZPR tow. **Bolesława Koperskiego**, dyskusja, a także obszerne i starannie opracowane materiały, które wcześniej otrzymali delegaci — wszystko to, co możemy ogólnie nazwać dorobkiem konferencji — jeszcze raz, bardziej dobitnie niż kiedykolwiek w przeszłości, dało świadectwo rangi, jaką województwo łódzkie zajmuje na społeczno-gospodarczej i kulturalnej mapie kraju. Przy czym nie chodzi tu o prosty rejestr osiągnięć ostatnich lat. Rzecz w tym, że sukcesy województwa zostały na Konferencji ujęte na szerszym tle, stanowią rodzaj oceny miejsca i roli województwa w konkretnym czasie, w powiązaniu z uwarunkowaniami, jakie wynikają z Uchwał V i IX Plenum KC partii, w ramach realizacji strategii wypracowanej na VII Zjeździe PZPR i zaktualizowanej na II Krajowej Konferencji.

Tak więc XX Konferencja Wojewódzka, obok załatwienia spraw statutowych, dokonania m. in. wyboru nowych władz, oceny pracy instancji i jej ogniw terenowych, stała się dla całej społeczności miejskiego województwa łódzkiego wydarzeniem o zasadniczym znaczeniu. Podjęte na Konferencji uchwały, a przede wszystkim program działania na najbliższe trzy lata — jego realizacja wspólnymi siłami — **będą decydujące dla dalszej poprawy jakości życia i pracy nas wszystkich.**

Refleksja pierwsza, jaka dominowała w dyskusji, w wystąpieniach dyskutantów, w wypowiedziach kuluarowych, jest chyba całkiem zgodna z powszechnymi odczuciami mieszkańców: województwo łódzkie w ostatnich trzech latach dokonało znaczącego postępu we wszystkich dziedzinach życia; że był on nawet większy, skuteczniejszy niż gdzie indziej w kraju, że — mówiąc najkrócej — **otrzymaną szansę potrafiliśmy w pełni wykorzystać.** Nie oznacza to, że rozwiązaliśmy wszystkie nasze problemy, gdyż podobnie jak całemu krajowi potrzeba na to jeszcze wielu lat. Prawdziwa satysfakcja z osiągnięć nie może też — i tak Konferencja potraktowała ten problem — przesłaniać wielu negatywnych zjawisk, z którymi jeszcze nie potrafimy się uporać, chociaż je w pełni rozpoznaliśmy. Ale o tym, za chwilę.

Przyjrzyjmy się wpierw faktom, które nie wymagają komentarza, mają jednoznaczną wymowę, ale trzeba o nich pamiętać, a więc i przypominać.

W ostatnim 7-leciu w nowo wybudowanych lub kompleksowo zmodernizowanych zakładach pracuje ok. 165 tys. pracowników. Prawie 80 tys. rodzin wprowadziło się do nowych mieszkań. Udział województwa w krajowej produkcji wyrobów rynkowych wzrósł do 8 proc. (w r. 1975—55.1 mld zł, w 1977 — 68,4 mld zł). Podobnie produkcja eksportowa wzrosła z 19 mld zł do 24,4 mld zł, co oznacza, że 15 proc. naszej produkcji trafia na rynki zagraniczne, przy stale rosnących zadaniach. Wszyscy mamy świadomość, że te dwa elementy naszej gospodarki: **„rynek" i „eksport" w znaczącym stopniu będą w przyszłości decydować o powodzeniu nowej strategii gospodarczej.** Są więc powody do satysfakcji, ale i świadomość, że nie można zadowalać się tym, co zostało osiągnięte. Wystarczy bowiem przypomnieć, że przemysł województwa łódzkiego przetwarza głównie surowce importowane, że na każdą złotówkę wartości wyprodukowanego towaru składa się w połowie wartość surowca. Stąd potrzeba dalszego doskonalenia procesów produkcyjnych, technologii, wykorzystania zdobyczy nauki, usprawnienia licencji, organizacji pracy, oszczędności energii i materiałów. (Np. gdyby zakłady przemysłu bawełnianego zmniejszyły zużycie surowców tylko o 1 proc., dałoby to ponad 90 mln zł oszczędności).

Problemem, który jest i będzie o sobie przypominał jest **racjonalizacja zatrudnienia**, sprawa wydajności i dyscypliny pracy, gospodarka kadrami. Dynamiczna polityka płacowa w przemyśle (w 1970 r. średnia płaca — 2.170 zł, w końcu 1977 — 4.176 zł) będzie kontynuowana z myślą o stałej poprawie materialnego bytu społeczeństwa. I jest to cenny atut. Także wzrost produkcji większość zakładów osiąga prawie w całości drogą zwiększenia wydajności pracy. I to również cieszy, chociaż nie wyczerpuje tematu. Negatywnym zjawiskiem nadal są przerosty administracyjne, mimo iż np. w ostatnim okresie dokonano przesunięcia 1200 pracowników z administracji do produkcji i usług. Do rangi problemu urasta nadmierna absencja w pracy, dochodząca w niektórych zakładach do 20 proc. stanu osobowego. To także świadczy o rezerwach, ujawnionych pośrednio. Absencja wzrasta, dodajmy, przy znacznie polepszonych warunkach pracy i większej niż w przeszłości opiece lekarskiej i socjalnej. Biorąc pod uwagę, że nie od dziś rezerwy ludzkie są na terenie województwa wyczerpane, przy dalszej rozbudowie przemysłu i rozszerzeniu działalności usługowej — właściwe wykorzystanie zasobów ludzkich staje się jednym z pierwszoplanowych zadań.

W dyskusji na Konferencji wiele uwagi poświęcono sprawom budownictwa, gospodarki komunalnej, handlu i usług. Dla woj. łódzkiego są to sprawy szczególnie ważne i nic dziwnego, że z trybuny Konferencji **zgłoszono wiele postulatów pod adresem siedzących w prezydium ministrów.** W tym momencie także można przytoczyć przykłady pozytywne. Wprawdzie dość często nasi budowlani znajdują się pod ostrzałem krytyki, głównie za jakość i niedotrzymywanie terminów oddania niektórych obiektów, to jednocześnie z wielkim uznaniem trzeba przyznać, że swoje zadania wykonują. Mimo znanych trudności, które przeżywa budownictwo w całym kraju, **jedynie woj. łódzkie** z większych aglomeracji **wykonało planowane zadania.** Przy dużej dynamice wzrostu zadań, bo ponad 22 proc. w latach 1974—77. Pozwoliło to na wybudowanie w latach 75—77 ponad 38 tys. mieszkań.

W sposób widoczny dla każdego zmienia się śródmieście Łodzi, powstają dalsze wysokościowce w ŚDM, postępuje budowa trasy W—Z (z aplauzem przyjęto meldunek budowniczych trasy, że do 15 grudnia br. przygotuje arterię do ruchu kołowego i tramwajowego). Kształtuje się coraz wyraźniej centrum handlowe w rejonie ulic: Piotrkowskiej i Głównej. Społeczeństwo województwa, nie tylko mieszkańcy Łodzi, z uwagą śledzą te zmiany, które odpowiadają zarówno ich istotnym potrzebom życiowym, a także przynoszą obywatelską satysfakcję.

Przebudowa miasta to także tworzenie ciągów komunikacyjnych, wyburzenia, rozbudowa zaplecza handlowego i usługowego. W tak rozległej aglomeracji jak łódzka, szybkie i wygodne przemieszczenie ludności nie tylko w drodze do — i z pracy, to istotny czynnik poprawy jakości życia. Stąd wiele akcentów krytycznych pod adresem komunikacji, transportu zbiorowego, który przy niewielkiej jeszcze motoryzacji indywidualnej, na długie lata pozostanie podstawowym środkiem lokomocji. Możliwości zwiększenia taboru są ograniczone i w tym miejscu trzeba z uznaniem podkreślić pomoc, jaką wiele łódzkich zakładów udziela MPK w naprawach autobusów i tramwajów.

Z panoramy spraw (bo chyba żadnej istotnej dziedziny życia społecznego, na Konferencji nie pominięto) chciałbym zwrócić uwagę jeszcze na jedną, której w „Odgłosach" ze zrozumiałych względów poświęcamy najwięcej miejsca, **mianowicie kulturę.** Tutaj sięgnę do sprawozdania Komitetu Łódzkiego na Konferencję, przytaczając odpowiedni fragment w całości, pod którym jako uczestnik i świadek zachodzących w kulturze zjawisk w pełni mogę się podpisać.

„W minionej kadencji nastąpił dalszy wzrost roli i rangi kultury. Postęp zawdzięczamy przede wszystkim umocnieniu kierowniczej i inspiratorskiej roli POP w środowiskach twórczych, oddziaływaniu instancji partyjnych. Egzekutywa i Sekretariat KŁ kilkakrotnie dokonywały oceny działalności programowej i merytorycznej instytucji oraz placówek kulturalnych. Dokonano zmian kadrowych, powierzając kierownictwo artystyczne znaczących placówek wybitnym twórcom. Zmiany spowodowały wzrost poziomu artystycznego, podniosły rangę dorobku kulturalnego Łodzi w skali krajowej: łódzkie teatry, placówki muzyczne oraz indywidualni twórcy, m. in. plastycy, filmowcy, soliści muzycy, pisarze zdobyli wiele nagród na konkursach i festiwalach, krajowych i zagranicznych.

Realizując wytyczne partii w zakresie zwiększania roli kultury w życiu społecznym, łódzcy twórcy utrzymywali ścisły związek z klasą robotniczą w ramach „sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką". Przyniosło to pomyślne rezultaty w dziedzinie literatury, plastyki i filmu. Zorganizowano m. in. plener malarstwa w ZPB im. Obrońców Pokoju, rzeźby w „Elcie" oraz konkurs na reportaż literacki o ZPB im. Feliksa Dzierżyńskiego.

Zwiększyło się zainteresowanie twórców tematami współczesnymi, czemu służyły zorganizowane ogólnopolskie konkursy, m. in. na nowelę filmową o tematyce współczesnej, na debiut poetycki, dramat, reportaż literacki. Przeprowadzono ogólnopolski konkurs malarstwa zaangażowanego politycznie i społecznie. Wiele twórczych inicjatyw i osiągnięć w działalności teatralnej, literackiej oraz wydawniczej wiązało się z obchodami 60-lecia Rewolucji Październikowej.

Dużo miejsca i uwagi instytucje kulturalne poświęcały problemom upowszechniania kultury w środowisku robotniczym i wiejskim.

Znacznym dorobkiem legitymują się teatry i instytucje muzyczne. Zaprezentowały one 75 premier i dały 5.484 przedstawienia, które obejrzało 2 miliony 300 tys. widzów. W 1977 roku w teatrach dramatycznych miejsca wykorzystane były w 72 proc., w Teatrze Wielkim — w 87 proc., w Filharmonii — w 75 proc. W koncertach Filharmonii Łódzkiej uczestniczyło 590 tys. słuchaczy. Organizowane były koncerty szkolne oraz koncerty w zakładach pracy. Biblioteki publiczne zarejestrowały 240 tys. czytelników. Biuro Wystaw Artystycznych zorganizowało 86 wystaw plastycznych, które obejrzało ponad 180 tys. osób. W dalszym ciągu poważne miejsce w kształtowaniu zainteresowań artystycznych spełnia ruch amatorski, który obejmuje ponad 6.400 uczestników, działających w 351 zespołach.

Mimo braku nowych inwestycji dalszej poprawie uległa baza materialna kultury. Na jej potrzeby przekazano kilka obiektów zabytkowych, m. in. Pałac Poznańskiego na Muzeum Historii Miasta Łodzi. Powstało Muzeum w Radogoszczu, Galeria Bałucka, Galeria BWA w zabytkowej willi przy ul. Wólczańskiej, salon „Desy". W latach 1975—1977 powstało także kilka nowych instytucji kulturalnych. Należą do nich: Zespół Filmowy „Profil", Szkoła Baletowa, Pomaturalne Studium Technik Artystycznych, 5 nowych domów kultury, 7 bibliotek oraz Przedsiębiorstwo Konserwacji Zabytków.

W roku 1977 odbyła się w Łodzi uroczysta inauguracja roku kulturalnego z udziałem I sekretarza KC PZPR, tow. Edwarda Gierka. To ważne wydarzenie w życiu kulturalnym miasta stanowiło wyraz uznania dla dorobku twórczego środowiska kultury naszego województwa".

W referacie tow. Bolesława Koperskiego wielokierunkowe działania środowisk twórczych zostały także pozytywnie ocenione. **„Wysoko cenimy dorobek naszych środowisk twórczych** — powiedział I sekretarz KŁ — **ich obywatelskie zaangażowanie w pracy na rzecz miasta i województwa. Oczekujemy od was, drodzy towarzysze, dzieł, które pomogłyby naszemu społeczeństwu w osiąganiu wyższego poziomu życia, czyniły je bogatszym i piękniejszym".**

Z równym uznaniem wypowiedział się I sekretarz o działalności łódzkich redakcji prasy, radia i telewizji, podkreślając sukcesy w zakresie popularyzacji osiągnięć społeczno-ekonomicznych województwa. Te słowa cieszą, ale są także zobowiązaniem na przyszłość, a już koniecznością nie tylko chwili, lecz przyszłości jest realizacja obywatelskiego nakazu, aby **„więcej uwagi poświęcać na ukazywanie miary ponoszonego wysiłku, na wykazywanie, że szybki postęp dokonuje się przez pokonywanie napięć i trudności".** Realizacja decyzji XX Konferencji będzie tego także wymagać. To z naszej strony, a w ogóle?...

„Podstawowa sprawa, która decydować będzie o efektach przyjętych zamierzeń — stwierdził I sekretarz KŁ PZPR — to solidna, coraz lepiej i mądrzej organizowana i wykonywana praca wszystkich ludzi. Dysponujemy dziś wysoko zmodernizowaną i nowoczesną bazą wytwórczą. Każdy z pracujących winien wciąż stawiać sobie pytanie: czy właściwie ten majątek wykorzystuje, czy osiąga w pełni to na co społeczeństwo oczekuje i co krajowi przynosi pożytek".

Nie trzeba dodawać, że innej drogi nie ma i być nie może.

JERZY WAWRZAK

X ZJAZD SDP

DZIENNIKARZE W SŁUŻBIE SPOŁECZNEJ

W dniach 23—24 lutego obradował X Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. W zjeździe uczestniczyło 340 delegatów reprezentujących blisko 7-tysięczną rzeszę członków i kandydatów SDP. Zjazd podsumował działalność stowarzyszenia w latach 1975—77, określił dalsze kierunki i formy udziału polskiego dziennikarstwa w jego społecznej służbie dla narodu.

Na zjazd przybył **I Sekretarz KC PZPR — Edward Gierek** gorąco i serdecznie powitany przez zgromadzonych. Obecność na tym najwyższym dziennikarskim forum przywódcy naszego narodu i partii jest kolejnym potwierdzeniem wysokiej oceny i zaufania partii i społeczeństwa dla działalności i osiągnięć polskiego dziennikarstwa.

Referat omawiający osiągnięcia i doświadczenia środowiska dziennikarskiego przedstawił **przewodniczący Zarządu Głównego SDP — Jan Mietkowski.** W swoim wystąpieniu prezes ZG oświadczył m. in.: **„Ambitny program VII Zjazdu PZPR pobudził środowisko dziennikarskie do wzmożenia aktywności społecznej i zawodowej, rozszerzył i wzbogacił formy i zakres ideowo-wychowawczego oddziaływania środków masowego przekazu na wszystkie środowiska społeczno-zawodowe".**

Omawiając zadania stojące przed pracownikami prasy radia i telewizji red. J. Mietkowski podkreślił obowiązek podejmowania problemów i spraw, którymi żyją Polacy lat 70-tych, konsekwentnej popularyzacji wszystkiego, co służy atmosferze rzetelnej pracy, społecznego zaangażowania, pomnażania dorobku kraju i ujawniania czynników hamujących jego dalszy rozwój. Mówca podkreślił organizatorską rolę środków masowego przekazu i stowarzyszenia. Obowiązek twórczego reagowania na zadania stawiane przez partię, stałe pogłębianie siły argumentacji w codziennej informacji i publicystyce.

W czasie minionej kadencji Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich powiększyło się liczebnie o około 10 proc. i liczy obecnie prawie 7 tys. członków i kandydatów. Na całościowy dorobek stowarzyszenia złożyły się efekty pracy 17 oddziałów terenowych SDP, działalność ponad 30 klubów twórczych, rozwój — zarówno ilościowy jak i jakościowy — różnych form doskonalenia zowodowego. Stowarzyszenie rozwinęło także współpracę z organizacjami dziennikarskimi wielu krajów, a zwłaszcza z bratnimi środowiskami socjalistycznej wspólnoty.

Podczas obrad zabrał głos **zastępca członka Biura Politycznego, sekretarz KC — Jerzy Łukaszewicz,** który w imieniu Edwarda Gierka, Biura Politycznego i Sekretariatu KC przekazał wszystkim dziennikarzom wyrazy uznania i podziękowania za zaangażowany i twórczy wkład w realizację polityki partii, w rozwój społeczno-gospodarczy Polski.

Prasa, radio i telewizja — stwierdził m. in. sekretarz KC — odgrywają olbrzymią rolę w całej naszej pracy ideowo-wychowawczej, w kształtowaniu postaw społecznych. Zadania dziennikarzy są coraz poważniejsze, bardziej złożone. W ustroju socjalistycznym środki masowego przekazu pomagają rozumieć sens polityki partii, służą jej wyjaśnianiu, informują a jednocześnie dają wyraz poglądom obywateli i kształtują je. Podejmując sprawy interwencyjne są istotnym elementem kształtującym i prezentującym opinię publiczną.

Następnie tow. Jerzy Łukaszewicz omówił rolę krytyki prasowej, jej znaczenie w pogłębianiu kontroli społecznej, stwierdzając, że kierownictwo partii będzie nadal wpływać na kształtowanie właściwego stosunku do krytyki.

Cenimy te publikacje i te działania organizatorskie prasy, radia i telewizji — podkreślił sekretarz KC — które dają ludziom pracy wiarę we własne siły, satysfakcję z pracy, umacniają poczucie godności narodowej i dumy z efektów codziennego wysiłku.

W toku obrad zabrał głos wicemnister W. Janiurek, rzecznik prasowy rządu, który m. in. poinformował o decyzjach Rady Ministrów zmierzających do dalszego usprawnienia informacji dla środków masowego przekazu.

Po części plenarnej delegaci podjęli dyskusję w czterech zespołach roboczych. Mówiono w niej o konkretnych inicjatywach dziennikarskich zespołów, o doświadczeniach redakcji, o wszystkich żywotnych problemach zawodowych, socjalno-bytowych, wychowawczych. Wiele uwagi poświęcono w dyskusji sprawom związanym z ideowo-polityczną funkcją zawodu dziennikarskiego.

Kompleks zagadnień poruszonych w dyskusji, zgłoszone wnioski i postulaty znalazły odzwierciedlenie w przyjętej uchwale. Stwierdza się w niej m. in., że dziennikarze polscy jasno widzą swoje zadania i są gotowi wnieść twórczy, aktywny wkład w dzieło dalszego rozwoju kraju. Uchwała podkreśla potrzebę dalszego wzrostu aktywności stowarzyszenia, doskonalenia i kształcenia kadr dziennikarskich, rozwoju klubów twórczych, pogłębienia specjalizacji zawodowej i integracji środowiska.

Zjazd wybrał nowe władze stowarzyszenia. Zarząd Główny, Naczelny Sąd Dziennikarski, Główna Komisję Rewizyjną. Przewodniczącym ZG SDP wybrano ponownie red. Jana Mietkowskiego, wiceprzewodniczącymi: red. red. Irenę Dryll, Janusza Roszkowskiego, Piotra Ziarnika, funkcję sekretarza generalnego powierzono ponownie Zbigniewowi Tempskiemu.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Dalszy ciąg ze str. 1

przez nich partii robotniczych stała się doniosłym, praktycznym potwierdzeniem możliwości rewolucyjnych dynamicznych przemian będących konsekwencją powiązania nauki z praktyką ruchu robotniczego. Wprzęgnięcie odkryć nauk przyrodniczych do produkcji, a osiągnięć nauk społecznych do ruchu robotniczego spowodowało najdonioślejszy przewrót w dziejach świata — powstanie nowej formacji ekonomiczno-społecznej, formacji socjalistycznej. Wielkość tego przewrotu zawiera się w jego głęboko humanistycznym sensie, udostępnienie klasom uciskanym, a przede wszystkim klasie robotniczej całego dorobku kultury materialnej i duchowej ludzkości, likwidacji podstawy wszelkiego ucisku i wszelkiej niewoli — prywatnej własności oraz zapoczątkowanie procesu pełnego wyzwolenia i rozwoju osobowości człowieka.

„Zasługi Marksa i Engelsa wobec klasy robotniczej — pisał Lenin — można w niewielu słowach wyrazić w sposób następujący: zaszczepili oni klasie robotniczej świadomość klasową a marzenia zastąpili nauką".

Wielkość i siła marksizmu, zyskująca od zarania ruchu komunistycznego do chwili obecnej, stale rosnącą popularność — co podkreślają aktualnie nawet niektórzy burżuazyjni krytycy marksizmu — wynika z jej naukowego charakteru, logiki i spójności wewnętrznych ocen i wizji społeczno-gospodarczej, ideologicznej i politycznej świata. Ten naukowy walor reprezentowanej przez ruch robotniczy ideologii był silnym imperatywem wiążącym i pobudzającym do rewolucyjnych działań. „My nie sekciarze — mówił Waryński w czasie procesu „Proletariatczyków" w 1885 roku — ani też, nie oderwani od rzeczywistego życia marzyciele. Socjalistyczna teoria otrzymała prawo obywatelstwa w nauce".

W dobie pojawiających się coraz częściej na Zachodzie wielu zwątpień, a w tym także w możliwości nauki, przeciwstawić możemy, jakże humanistyczną marksistowska wizję przyszłości, w której nauka nie będzie podzielona ale zjednoczy się wokół problemu człowieka. „Przyrodoznawstwo — pisał Marks w „Rękopisach ekonomiczno-filozoficznych" z 1844 roku — w przyszłości wchłonie naukę o człowieku, podobnie jak nauka o człowieku wchłonie przyrodoznawstwo; nauka będzie jedna". Przed stu laty Marks sformułował także jedną z najdonioślejszych prawidłowości rozwoju nauki jako bezpośredniej siły wytwórczej. Dziś to pojęcie w pełni obiektywizuje się w praktyce rewolucji naukowo-technicznej. Kraje socjalistyczne urzeczywistniające podstawowe idee marksistowsko-leninowskiej aksjologii, wypływającej z naukowo uogólnionych dążeń klasy robotniczej do „ludzkiego życia" — jak wyraził się Marks — traktują naukę jako jeden z głównych instrumentów rozwoju, która w przyszłości, w okresie komunizmu, stanie się powszechną, doniosłą formą aktywności ludzi w oddziaływaniu na przyrodę, tak, by w rezultacie cała produkcja była uprzedmiotowioną nauką.

Takich funkcji, tak ogromnej roli nauki i konkretnych perspektyw dla jej rozwoju nie określił żaden z dotychczasowych przedsocjalistycznych ustrojów społecznych.

JEDNOŚĆ NAUKI I PRAKTYKI

Wielką zasługą klasyków marksizmu było wykazanie społecznego charakteru nauki. Wskazali oni na organiczny związek nauki z całą kulturą materialną i duchową społeczeństwa, bez którego niemożliwe jest zrozumienie i wykrycie prawidłowości jej rozwoju. Z tej przesłanki metodologicznej wysunęli doniosłe implikacje, determinujące stan nauki oraz jej funkcje i zadania w społeczeństwie. Zwrócili przede wszystkim uwagę na uzależnienie rozmaitych dziedzin wiedzy naukowej od poziomu sił wytwórczych, zaś szczególnie silnie podkreślili uzależnienie rozwoju nauki od przemysłu i techniki. Na ten temat znajdujemy interesujący fragment w „Ideologii niemieckiej", w którym czytamy: „Feuerbach... przypomina tajemnice, które odsłaniają się tylko oku fizyka i chemika; ale gdzie byłyby nauki przyrodnicze bez przemysłu i handlu. Nawet owe „czyste" przyrodoznawstwo otrzymuje przecież swój cel zarówno jako tworzywo dopiero przez handel i przemysł, przez zmysłową działalność ludzi".

Dwustronną zależność nauki i techniki, niezwykle trafnie określił w późniejszym okresie Engels: „Jeśli technika... zależy przeważnie od stanu i potrzeb nauki, to nauka zależna jest w daleko większym stopniu od stanu i potrzeb techniki. Gdy w społeczeństwie pojawia się pewna potrzeba techniczna, pomaga ona postępowi nauki więcej niż dziesięć uniwersytetów". Stąd też nauka, w obiektywnym wyrazie nie była dla twórców naukowego socjalizmu „spontanicznym wytworem umysłu ludzkiego" — jak sądzili ówcześni myśliciele, lecz stanowiła wytwór sił społecznych i przemysłowych, którym służyła.

Marks uważał, że nauka jest odrębną, lecz konieczną częścią procesu produkcyjnego społeczeństwa nowożytnego. Na tej podstawie wysnuł wniosek, że podstawową funkcją społeczną nauki jest rola jaką odgrywa ona w rozwoju praktyki społecznej, to jest w rozwoju sił wytwórczych oraz regulowaniu stosunków społecznych. Ta głęboka myśl legła u podstaw leninowskiej koncepcji polityki naukowej wypracowanej jeszcze w okresie komunizmu wojennego.

W tym niezwykle trudnym i dramatycznym okresie, pierwszych miesięcy po rewolucji, nauka i jej twórcy byli w centrum uwagi Lenina. Był on głęboko przekonany o doniosłej roli nauki w praktycznym przetwarzaniu teoretycznych — do okresu rewolucji — założeń nowego ustroju. **Problemowi zaś praktyki poświęcał szczególną uwagę, gdyż od tego uzależniał dalsze losy rewolucji i ruchu komunistycznego nie tylko w Rosji ale i na całym świecie.**

„Teraz wszystko sprowadza się do praktyki" — mówił, gdyż ona miała być zasadniczym argumentem dokumentującym sprawdzalność marksizmu w konkretnej rzeczywistości.

Tuż po rewolucji wysunął postulat wprzęgnięcia wszystkich sił naukowych Rosji do rozwiązywania zadań budownictwa socjalistycznego. Wydawało się to wówczas nierealną mrzonką, ponieważ Rosja przedrewolucyjna pozostawiła w spadku słaby potencjał naukowy (istniało zaledwie 21 wyższych uczelni, w których kształciło się 40 tys. studentów). Spośród pozostałego grona pracowników

społeczna funkcja nauki

JAN NOSKO

naukowych, tylko mała garstka opowiedziała się za rewolucją, a znaczna część wyemigrowała. **Mimo to Lenin wprowadza naukę na naczelne miejsce w hierarchii potrzeb państwa widząc w niej nie tylko ogromną szansę rozwoju, ale jeden z głównych elementów warunkujących możliwość zbudowania nowego ustroju.** W sposób zdecydowany postawił na szerokie wykorzystanie osiągnięć nauki światowej. „Wiemy, że społeczeństwa komunistycznego nie można zbudować jeśli nie odrodzi się przemysłu i rolnictwa, przy czym należy je odnowić nie na starą modę. Trzeba je odbudować na bazie opartej na ostatnim słowie techniki".

Opowiadając się za wykorzystaniem specjalistów burżuazyjnego chowu, walcząc z inteligencką histerią z jednej strony a przesadną rewolucyjnością z drugiej, Lenin tworzy zręby polityki naukowej, którą stale weryfikował i doskonalił.

Wprowadza zasadę centralnego kierownictwa państwowego w dziedzinie nauki. W kwietniu 1918 r., a więc w okresie kiedy toczyła się zażarta walka z kontrrewolucją, Lenin, w „Szkicu planu prac naukowo-technicznych" postawił przed uczonymi olbrzymie zadanie kompleksowego zbadania naturalnych sił wytwórczych kraju i odrodzenia jego ekonomiki. Za życia Lenina utworzono 12 wielkich instytutów naukowo-badawczych, a w tym Centralny Instytut Aerodynamiczny, Instytut Radiologiczny, Fizyko-Techniczny, Badań Geologicznych, Państwowy Instytut Optyki oraz Instytut Chemii Stosowanej.

Dla praktycznego wdrażania osiągnięć nauki fundamentalną rolę odegrał leninowski plan elektryfikacji kraju — słynny plan GOELRO. Po raz pierwszy w dziejach, w planie tym znalazła swoje odzwierciedlenie leninowska zasada jedności nauki i praktyki. Doświadczenia pierwszych lat po rewolucji zostały przez Lenina uogólnione sformułowaniem doniosłego zadania nauki, odzwierciedlającego jej rolę w życiu społeczno-gospodarczym — tworzenie bazy materialno-technicznej socjalizmu i komunizmu, które to zadanie stało się podstawową wytyczną polityki naukowej naszego obozu.

Tak więc praktyka Związku Radzieckiego, a w następnym okresie pozostałych krajów socjalistycznych, jest pełnym potwierdzeniem społecznego charakteru nauki w warunkach ustroju socjalistycznego, dobitnie argumentująca jedną z zasadniczych tez Marksa o funkcji i zadaniach nauki w dziedzinie rozwoju sił wytwórczych.

PARTYJNOŚĆ NAUKI

Jedną z najważniejszych cech marksistowsko-leninowskiego poglądu na naukę jest silne podkreślenie jej związków z ideologią oraz płynących stąd konsekwencji dla różnorodnych uwarunkowań działalności badawczej. Szczególnie istotne jest zwłaszcza wyjaśnienie roli klas panujących, w stemplacyjny charakter, który w poważnym stopniu wynikał z lekceważącego stosunku do pracy fizycznej, jako niegodnej wolnego człowieka, co było uwarunkowane panującą w tym czasie ideologią właścicieli niewolników. W okresie średniowiecza uogólnienia naukowe nie mogły przekraczać ram dogmatów religijnych. Ci zaś, którzy je przekraczali, wyzwalając naukę spod wpływu kościoła torowali drogę dla ideologii burżuazyjnej.

Każdy uczony, każdy pracownik naukowy, czy chce, czy nie chce jest członkiem jakiejś klasy lub warstwy. Lenin pisał: „...żaden żywy człowiek nie może nie stawać po stronie tej lub innej klasy (skoro zrozumiał ich stosunki wzajemne), nie może nie cieszyć się powodzeniem danej klasy, nie może nie smucić się jej niepowodzeniem". **A zatem za postawą uczonego musi kryć się jakaś ideologia, jakiś pogląd filozoficzny, który nie jest wyabstrahowany od określonej rzeczywistości społecznej danej epoki.** Dotyczy to nie tylko nauk humanistycznych i społecznych, ale także innych dyscyplin np. fizyki, matematyki, chemii.

„Przyrodnicy, niezależnie od tego, co o sobie sądzą — pisał Engels — ulegają filozofii. Kwestia polega na tym, czy chcą się poddać złej filozofii, która jest w modzie, czy też pewnej formie teoretycznego myślenia, które jest ugruntowane na znajomości dziejów myślenia ludzkiego".

Również w samym procesie poznania badacz nie jest wolny od określonego nastawienia filozoficznego. W zależności od reprezentowanej filozofii, nadaje on różne znaczenie nie tylko faktom, lecz i metodom poznania naukowego. Doprowadzało to niekiedy do bardzo ostrych polemik. Tak np. w drugiej połowie XIX wieku toczył się niezwykle ostry spór pomiędzy zwolennikami światopoglądu materialistycznego Maxwellem i Boltzmanem a pozytywistami Machem i Ostwaldem. Spór dotyczył możliwości wyjaśnienia zjawisk cieplnych na podstawie teoretycznej koncepcji kinetyczno-molekularnej. Maxwell i Boltzman — twórcy tej koncepcji — tłumaczyli te procesy jako wynik chaotycznego ruchu niedostrzegalnych przez organa zmysłowe atomów. Z ich punktu widzenia wykorzystanie hipotezy atomistycznej, której prawdziwość lub fałszywość mogła być ustalona tylko przez praktykę, było w pełni dopuszczalne. Pozytywiści — Mach i Ostwald kategorycznie negowali słuszność takiego podejścia, ponieważ był on sprzeczny z ich poglądami filozoficznymi zakładającymi idealną teorię naukową wykluczającą wprowadzenie do nauk ścisłych obiektów nieobserwowalnych.

Świadectwem ścisłej więzi między nauką a filozofią były konsekwencje kryzysu w matematyce, zaistniałego na przełomie XIX i XX wieku, w związku z ujawnieniem tzw. paradoksów teorii mnogości, stawiających pod znakiem zapytania niesprzeczność tej dyscypliny naukowej.

W konsekwencji szereg różnorodnych programów zbudowania niesprzecznej matematyki powstało na gruncie krytyki dotychczasowych filozoficznych wyobrażeń, dotyczących np. natury matematyki, jej miejsca wśród innych nauk. Jedność nauki i filozofii można by było dokumentować szeregiem dalszych przykładów np. teorią Darwina i wiążącym się z nią sporem, lub historią powstania mechaniki kwantowej.

Poszukując związków między treścią pracy naukowej, jej uogólnieniami a podstawą badawczą, marksiści zwrócili uwagę na dwa elementy określające społeczne uwarunkowanie działalności naukowej. Pierwszy z nich, to specyficzny styl myślenia — o którym wspominał Engels, będący usystematyzowanym zbiorem wyobrażeń o najefektywniejszych metodach osiągania nowej wiedzy, ideale teorii naukowej, stopnia jej logicznej ścisłości, charakterze dopuszczalnych abstrakcji. Z tego płynął określony stosunek do dawnych osiągnięć w poznawaniu rzeczywistości. Drugim elementem określającym działalność uczonego jest cały system wartości funkcjonujący w danej epoce historycznej, będący wytworem złożonego dialektycznego oddziaływania rozmaitych elementów kultury danego etapu rozwoju społeczeństwa.

Zarówno specyficzny styl myślenia jak i ogólny system wartości mają historyczny charakter i zmieniają się pod wpływem historii rozwoju społecznego. **„Myślenie teoretyczne każdej epoki — pisał Marks — jest produktem historycznym, który w różnych czasach przybiera nader rozmaite formy i zarazem wyraża nader różną treść".**

Dla polityki naukowej istotne jest to — co moim zdaniem warto podkreślić — że sposób myślenia zmienia się pod wpływem pojawienia się nowych sposobów opanowania rzeczywistości, ogólny zaś styl myślenia ewoluuje względnie powoli i jest procesem bardzo złożonym, niekiedy z przejawami przeciwstawnych tendencji, wymagających znacznego okresu czasu dla ich przezwyciężenia.

Uczeni powinni więc zdawać sobie sprawę z tych różnorodnych uwarunkowań swojej pracy jeśli chcą obiektywnie wyrażać swą epokę. Jest to sprawa trudna. Marks był zdania, że wiele zależy od postawy badacza, który spojrzenie swoje powinien kierować nie tylko na świat, lecz i na siebie, winien sobie zdawać sprawę z ciążącej na nim odpowiedzialności. Uważał wprawdzie, że każda nauka powinna być uprawiana dla niej samej i że przy naukowym badaniu nie należy sugerować się z góry jej ewentualnymi wynikami, sądził jednak iż uczonemu — jeśli nie chce sam swego poziomu obniżyć — **nie wolno nigdy wyrzekać się czynnego udziału w życiu społecznym, że nie powinien zamykać się w czterech ścianach swej pracowni czy laboratorium, izolować się.**

W odniesieniu zaś do zadań budownictwa socjalistycznego funkcje ideologiczne nauki i jej twórców rosną niepomiernie, gdyż nauka winna nie tylko dynamizować siły wytwórcze, ale służyć także rewolucyjnym przemianom w sferze świadomości, przenikać całą sferę nadbudowy społecznej. Wiąże to się z naczelnym zadaniem każdego społeczeństwa budującego socjalizm — tworzeniem „nowych ludzi" i nowych stosunków. **Stąd leninowska dyrektywa o partyjności nauki a szczególnie nauk o społeczeństwie, o konieczności aktywnego udziału w praktyce życia społecznego naukowców i utrwalania odkryć naukowych wśród ogółu społeczeństwa.**

Przedstawione wyżej, niektóre poglądy klasyków na naukę, dostarczają wiele materiału do refleksji nad wzorem osobowym współczesnego uczonego. Jest to temat niezwykle ważny i bardzo aktualny, gdyż w ostatnich latach w naszym kraju nauce postawiono niespotykane dotąd zadania, a na jej rozwój przeznaczono ogromne środki. Od postawy każdego pracownika naukowego zależy przyspieszenie lub opóźnienie dalszych społeczno-gospodarczych i ideowych przemian naszego społeczeństwa. Potrzebne są lepsze rozwiązania techniczne i technologiczne, szybciej wdrażane do przemysłu, coraz niecierpliwiej oczekuje się na skuteczniejsze kształtowanie postaw. Jaki zatem powinien być współczesny uczony, pracownik nauki, nauczyciel akademicki? Sądzę, że nasze łódzkie doświadczenia w tej dziedzinie najlepiej odzwierciedla fragment wypowiedzi I sekretarza Komitetu Łódzkiego PZPR, B. Koperskiego wygłoszonej na plenarnym posiedzeniu poświęconym nauce. Brzmi on: **„Znajomość oraz zdolność przewidywania tendencji rozwojowych nauki i gospodarki składają się na wzór społeczno-osobowy uczonego, który nie tylko prowadzi w sposób kompetentny badania naukowe i publikuje ich wyniki, lecz jest jednocześnie współorganizatorem przeobrażeń społecznych, ekspertem i działaczem, aktywnie uczestniczącym w praktycznym wykorzystaniu zdobyczy nauki".**

Mgr Jan Nosko kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KŁ PZPR

NA PRZEŁOMIE DWÓCH STULECI

Mówimy o tym często — i słusznie — że ostatnie lata XIX i pierwsze nowego, XX stulecia, był to w dziejach polskiego ruchu robotniczego okres szczególnie ważny. Były to bowiem czasy dynamicznego rozwoju ruchu, a zarazem nasilającego się jego rozdwojenia, które miało tak silnie zaważyć na jego dalszych kolejach. Były to lata formowania się i rozwoju nowoczesnych form jego organizacji — partii politycznych o zróżnicowanych, jak o tym dobrze wiemy, programach ideowych. Zbyt często jednak mówiąc o tych sprawach jak gdyby tracimy z oczu ogólniejsze uwarunkowania interesujących nas procesów i zdarzeń. Bywa przecież nieraz, że ograniczamy nasz horyzont do tropienia li tylko tego jednego wątku badanej rzeczywistości, tracąc z pola widzenia inne, w stosunku do niego opozycyjne i konkurencyjne. W związku z tym nie zawsze potrafimy ukazać miejsce, jakie przypadło ruchowi robotniczemu w całokształcie zróżnicowanych nurtów ideowo-politycznych naszego kraju, w interesującej nas epoce. Co się tyczy przełomu XIX i XX wieku godzi się wszak pamiętać, że były to równocześnie czasy tworzenia się i rozwoju nowoczesnego polskiego ruchu nacjonalistycznego, stanowiącego diametralną opozycję klasowego ruchu proletariackiego, że na ten sam czas — mniejsza tu o szczegółową chronologię — przypadają narodziny i rozwój ruchu ludowego, że aktywizowały się wówczas także i inne, liczne nurty polityczne, mające swoje określone społeczne zaplecze oraz zróżnicowane możliwości oddziaływania.

Nie na tym koniec. Niezmiernie często, gdy mówimy o dziejach naszego ruchu robotniczego, rozpatrujemy go li tylko w kategoriach naszej polskiej, narodowej historii, pomijając wszelkie jego międzynarodowe uwarunkowania i kontakty, które przecież miały dlań nieraz bardzo istotne znaczenie. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro ruch ten miał programowo charakter internacjonalistyczny, skoro wielu polskich działaczy robotniczych czynnie uczestniczyło również w innych partiach i organizacjach proletariackich w różnych krajach.

Powyższe refleksje nasuwają mi się przy lekturze nowej książki o dziejach polskiego ruchu robotniczego na przełomie dwóch stuleci, mianowicie pracy radzieckiego autora Nikołaja N. Puchłowa zatytułowanej „Polski ruch robotniczy 1890—1904", a opublikowanej w moskiewskim wydawnictwie „Nauka" w 1977 roku przez Instytut Słowianoznawstwa i Bałkanistyki AN ZSRR. Spora ta książka — liczy ona ponad 300 stron — przynosi zarys dziejów ruchu robotniczego we wszystkich trzech zaborach. Autor rozpatruje dzieje ruchu na szerokim tle przemian sytuacji społeczno-ekonomicznej w kraju, ukazuje głębokie zakorzenienie ruchu w realiach zmieniającej się rzeczywistości. Tropiąc rozwój jego form organizacyjnych — przedstawiając dzieje SDKPiL oraz PPS — zwraca szczególną uwagę na różnice, dzielące obie główne orientacje, odwołując się przy ocenach do poglądów w zasadzie już funkcjonujących w literaturze przedmiotu. To, co stanowi — naszym zdaniem — tu novum ujęcia omawianych zagadnień, polega przede wszystkim na skupieniu uwagi na stosunku do rosyjskiego ruchu robotniczego, w szczególności rosyjskiej socjaldemokracji. Nie trzeba powtarzać, jakie było znaczenie tego problemu i jak zasadniczo odmienne stanowiska zajmowały tu oba skrzydła naszego ruchu. Radziecki autor dorzuca tu garść nowych faktów, wydobytych ze źródeł polskich i radzieckich, pozwalających na bardziej precyzyjne, aniżeli dotychczas, formułowanie ocen. Idzie pod tym względem w kierunku, wytyczonym przez takich badaczy, jak u nas W. Najdus czy J. Kancewicz, w literaturze radzieckiej zaś przede wszystkim N. Jarzborowska, która jest zresztą naukowym redaktorem tej pracy. W znacznie mniejszym stopniu dotknął N.N. Puchłow relacji polskiego ruchu robotniczego i ruchów niemieckiego oraz austriackiego, zagadnień wciąż jeszcze mało zbadanych w naukowej literaturze. Oprócz naukowo-badawczych, praca radzieckiego autora postawiła sobie na celu zadania popularyzacyjne. Służy nim podanie w kilkudziesięciostronicowym aneksie obfitego wyboru dokumentów, dotyczących dziejów polskiego ruchu robotniczego; zainteresowany tematyką pracy czytelnik zyskuje tą drogą dostęp do źródeł, nieraz trudnych do osiągnięcia.

Dziełko N.N. Puchłowa jest jeszcze jednym świadectwem żywych zainteresowań współczesnej radzieckiej historiografii ważnymi problemami historii naszego kraju, zagadnieniami, które dziś stoją w centrum uwagi polskiej nauki historycznej.

ANDRZEJ F. GRABSKI

TERESA GABRYSIEWICZ-KRZYSZTOFIKOWA

OPINOGÓRA

Opinogórę
odkryłam na długo
zanim uderzyło
w niej
serce Romantyzmu
Wiosną
który to był rok
Z zieleni parku
entuzjazmem
w okoliczne wsie
Wiersze
słowniki obcojęzyczne
lub
masowa pieśń...
Chłopak dla mnie
zrywał zdziczałe
narcyzy
Wszystko co odwieczne
banalne
dźwięczało dla nas
najczystszym
kruszcem
Dwudziestoletni
zdobywcy świata
ani pomyśleliśmy
o Mistrzu Zygmuncie

MIARA

Odeszła Barbara śliczna
w wiecznie żywą przypowieść
czystą perlą zastygła
na perłowych portretach
odeszła z ciepła ramion
kamienną ścieżką żalu
na zawsze utrwalona
w sercu okaleczałym
śpiewano zbyt porannie
kwiat ścięty w wirydarzu
nie doczekała lata
i jego barw dojrzałych
Czy za wcześnie Barbaro
Różny jest smak cierpienia
Tobie nie była dana
rozczarowania męka
Nigdy na twojej twarzy
nie odliczano wieku
nie byłaś Jemu nudą
starością przesyceniem
Może Parki posiadły
moc doskonałej miary

JESIEŃ

Jerzemu

Przez klawiaturę ktoś
jesiennym pasażem
aż się zachłysnę muzyką
rozmarzę
W liście wejdę
w lepkie pobrodzę
troski daleko tam
na drodze
Chryzantemy rdzawe płomieniem
wilgotnym
jak wszystkie polskie
jesienie
Mgły na twarzy
w pejzażu mgły
Fryderyk
tak w preludium
Dłoń w dłoni — Ty

SPALSKIE SOSNY

Kiedy szpitalną nocą
twarze
z „Kaprysów" Goyi
wzywam
spalskie drzewa
Wyrastają sosny
murem obronnym
gonną palisadą
Mam znów cztery lata
pachną konwalie
to nie kroplówka
biała brzoza zza okna
nikt nie umiera
nie słyszę krzyku śmierci
Szumią sosny
Jak spokojnie
Może usnę

MIROSŁAW KUŹNIAK

NOCNY DYŻUR

Pokój pielęgniarek miał do połowy oszklone drzwi. Gdybym wstał i przeszedł kilkanaście kroków mógłbym, nie unosząc głowy, zajrzeć do oświetlonego wnętrza, ale wiedziałem, że tego nie zrobię. Wciśnięty wraz z taboretem w kąt między łóżkiem a kulawym stolikiem, chciałem być niewidoczny. Miałem nadzieję, że właśnie tu, w kącie, spędzę te przypisane sobie godziny bez potrzeby wychodzenia na ostrą, atakującą ze wszystkich stron biel. Stanowiłem zbyt mocny kontrast w tym swoim ciemnym garniturze i starannie zawiązanym krawacie.

— Co pan tu robi? Pielęgniarka podeszła do mnie tak cicho, że nie zauważyłem nawet kiedy zdążyła przejść te kilkanaście kroków od swojego pokoju do mojego ciemnego kątka.

— Siedzę. — Podniosłem głowę. Fartuch miała zapięty.

— O tej porze nie wolno obcym przebywać w szpitalu — głos jej brzmiał sucho.

— Mam zezwolenie ordynatora — sięgnąłem do bocznej kieszeni marynarki.

— Niech pan pokaże. — Rozwinęła złożoną we czworo kartkę. Pochyliła się nad rządkami liter.

— Wczorajszej nocy była tu pańska matka? — spytała oddając mi starannie złożoną kartkę.

— Tak. Dzisiaj na mnie kolej.

— To pana pierwsza noc w szpitalu? Współczuję. — odeszła kilka kroków. Pochyliła się nad łóżkiem.

— Zobaczymy jak się czuje nasz pacjent. Dostał na sen, prawda? Niech pan uważa. — Odeszła szybkim i cichym krokiem pewnie lawirując między łóżkami.

Trzy dni temu matka przyszła ze szpitala zapłakana. Siostra przełożona poinformowała ją, że pielęgniarki odmówiły przyjmowania przy ojcu nocnych dyżurów. Matka zaproponowała podwojenie stawki za noc. Ale żadna nie chciała przyjąć dyżuru. Byłem wściekły, uważałem, że matka proponowała za mało.

— Mogłaś dać im trzy, cztery razy więcej niż poprzednio. Tysiąc złotych za noc. Za tyle na pewno któraś z nich by się zgodziła.

— Pomyśl, skąd ja na to wezmę pieniądze? Tyle mnie już ta choroba kosztowała, a co będzie za dzień, tydzień, miesiąc?

— Nie wiem. Nie obchodzi mnie to, co będzie za miesiąc. Wiem, że teraz potrzebna jest nocna pielęgniarka, a my mówimy o pieniądzach.

— Mówimy i dobrze się stało, że mówimy. Czy wiesz, ile mi ojciec zostawił pieniędzy? Nie wiesz? Szkoda.

Ordynator przyjął mnie natychmiast. Gdy powiedziałem mu o stanowisku pielęgniarek bezradnie rozłożył ręce.

— Proszę pana, cóż ja mogę zrobić? Przepisy mówią, że na każdym piętrze muszą być dwie pielęgniarki i salowa. Mamy kłopoty ze średnim personelem, a zwłaszcza z pielęgniarkami. Przecież pan wie, że nawet tego minimum nie możemy zapewnić. Jedna pielęgniarka i jedna salowa na każde piętro. To wszystko.

— Pan doktor mówił, że ojcu potrzebna jest szczególna opieka.

— Tak. Pański ojciec jest nieprzytomny, a próbuję wstawać.

Jeśli będzie taki niespokojny, jak dotąd, nie ręczę za jego życie.

— To, co mamy robić?

— Proszę pana — ordynator podniósł się zza biurka i przeszedł po pokoju — prywatnie mogę panu poradzić, żeby pan porozmawiał jeszcze z pielęgniarkami. Może któraś zgodzi się na dodatkowy dyżur. Ale to radzę panu prywatnie, bo służbowo — pokręcił głową — nic panu nie pomogę.

— Matka już rozmawiała z siostrą przełożoną. Dlatego przyszedłem do pana.

Rozłożył ręce. Wolnym krokiem podszedł do krzesła i usiadł ciężko. Otwierałem drzwi, gdy cichym głosem powiedział:

— Niech pan wróci.

— Niekiedy, w wyjątkowych przypadkach — mówił cicho nie patrząc mi w oczy — zgadzamy się na opiekę rodziny przy chorym. W wyjątkowych wypadkach, tak. No, chyba mamy właśnie taki wyjątkowy przypadek, prawda? Uśmiechnął się kącikami ust. Zaraz panu wypiszę odpowiednie zaświadczenie.

Przez dwie pierwsze noce dyżurowała matka. Po drugiej przywiozła ją karetka. O świcie matka zemdlała na progu szpitala. Od razu, na miejscu, lekarze stwierdzili ogólne osłabienie i wyczerpanie. Przez cały dzień patrzyłem na nią leżącą w łóżku z bladą twarzą, na której osiadły dwa ciemne koła siniaków. Patrzyłem na nią i myślałem, czy wstanie, czy będzie mogła wstać? Mamo, wstań, proszę cię wstań? Prosiłem ją niemo, gdy za oknami coraz bardziej ciemniało, a ja z przerażeniem myślałem, że zbliża się godzina, w której ona powinna ubrać się i wyjść do szpitala, gdzie czekał na nią ten skrzypiący taboret i to prężące się, niespokojne ciało, które ja nazywałem ojcem, a ona mężem.

— Pójdę — powiedziała i uniosła lekko głowę.

— Leż — ja pójdę — powiedziałem, choć jeszcze przed chwilą byłem pewien, że nie zdołam powiedzieć tych słów.

— Ty? — spojrzała na mnie zdumiona. Podniosła jeszcze wyżej głowę znad poduszki. Ty? Tak, ja.

— Ubierz się porządnie — powiedziała zrezygnowanym głosem.

Ojciec upadał powoli. Właściwie zsuwał się po masce samochodu. Wyglądało to tak jakby przesuwał się zwolniony kadr filmu. Patrzyłem na niego zdziwiony. To było pierwsze uczucie, dopiero później przyszedł strach i ta paskudna myśl: po co wsiadałem do tego auta, po co? Świdrowała mi ta myśl głowę, a ojciec leżał na boku, wyciągnięty na całą szerokość samochodowej maski.

Prawie od samego domu jechaliśmy w milczeniu. Propozycja ojca była zaskakująca. — Ubieraj się — powiedział — pojedziemy z matką na wycieczkę.

— Daj spokój, przecież robi się ciemno. Porozmawiać możemy tu, w domu. Właściwie już rozmawiamy. Nie zauważyłeś? — starałem się, aby wypadło to odpowiednio ironicznie.

— Zauważyłem. Muszę coś załatwić na Julianowskiej. To spory kawałek. Możemy po drodze porozmawiać. Nie zwróciłeś uwagi, że jazda samochodem nastraja do poważnych rozmów?

— Zawsze kpisz sobie ze mnie. Nie chcę jechać tym gratem.

— Nie będę się z tobą kramarzył. Chcesz nie chcesz — twoja sprawa, ale przypominam ci, że to ty chciałeś ze mną rozmawiać. Nie mam teraz czasu, więc proponuję ci rozmowę w drodze, a ty grymasisz jak trzyletni chłopczyk. No już ubieraj się!

Jechaliśmy w milczeniu. Tak, to prawda, chciałem rozmawiać z ojcem, ale nie tak miała wyglądać sceneria tej rozmowy. W tym przeklętym samochodzie słowa, które sobie przygotowałem zabrzmiały głupio i niepoważnie. One powinny paść tam, w mieszkaniu, w tym pokoju, który tak często wyśmiewałem: z ciemnymi polityrowanymi meblami, taniutkimi kopiami niegdysiejszych mistrzów i stosami kryształów na kredensie. Nie byłem pewien, zaledwie przeczuwałem, że ojciec wiedział o tych przygotowywanych przeze mnie słowach. Wiedział, że dostosowałem je do niego, do tego pokoju, do tych wszystkich rzeczy, którymi otaczał się przez całe życie. Może dlatego tak nagle, nieoczekiwanie zaproponował wieczorną przejażdżkę samochodem przez puste, wymarznięte ulice. W chwili, gdy pomyślałem sobie to wszystko, poczułem do niego, znów, po raz nie wiem który, podziw za przenikliwość i umiejętność szybkiej improwizacji.

— Stuka coś w stylu samochodu — przerwała milczenie matka.

— Tak. Słyszę. Zaraz zjadę na bok.

Robiło się coraz zimniej.

— Wysiadaj. Musisz mi pomóc. — Ojciec silnie trzymał drzwi samochodu, które szarpał wiatr.

— Mieliśmy rozmawiać.

— Najpierw pomóż mi zmienić koło. Wpierw robota, później przyjemność. Zostań w środku — rzekł do matki zatrzaskując za mną drzwi.

Na mrozie najszybciej drętwieją ręce. Przez dłuższą chwilę mocowaliśmy się z zamarzniętym zamkiem bagażnika.

— Chuchaj, bo inaczej go nie odmrozimy — rzucił ojciec.

— Sam wiem, co mam robić — zdenerwował mnie nagle jego władczy ton.

Lewarek był tak zamarznięty, że przy dotknięciu parzył palce. Z trudem wtłoczyliśmy go w zaczep podwozia. Powoli samochód przechylał się na bok.

— Cholera, trzeba było przed podniesieniem zwolnić śruby — sapał ojciec umieszony nad wygiętym kluczem.

— Trzeba, trzeba. Przecież to ty masz samochód, powinieneś wiedzieć, co się robi przy wymianie koła.

Ojciec klęcząc popatrzył na mnie z dołu:

— Mógłbyś raz się przymknąć z tymi kazaniami i wziąć do roboty. Trzymaj klucz.

Przyklęknąłem obok niego. Klucz był mały i wyślizgiwał się z ręki. Naparłem na niego mocniej. Szarpnąłem. Ojcu kapelusz spadł z głowy.

Podniósł go i włożył, a później już wyprostowany powiedział: — daj sobie spokój z tymi kwadratowymi ruchami. Tu trzeba pomyśleć.

Z rozmachem rzuciłem klucz w śnieg. — To myśl, a nie gadaj!

To przecież twój samochód, skąd ja mam wiedzieć, jak wymienia się koła. No skąd?

— Daj spokój z tym swoim — twój, mój. Dla jasności samochód jest nasz, a koła tak czy inaczej trzeba wymienić.

Ponownie opuściliśmy samochód. Po chwili śruby były już zwolnione. W czasie tej pracy czułem jak powoli wraca do mnie to wszystko, co tak długo i mozolnie układałem, to, co miałem mu dzisiaj powiedzieć. No, pomyślałem, nie udała ci się, staruszku, zmiana dekoracji. Nic się nie zmieniło, wszystko jest po staremu.

Z głośnym trzaskiem wbił osłonę śrub. Po raz ostatni popatrzył na przykręcone koło. — Wsiadaj — rzucił i powoli zaczął podnosić się z kolan.

W środku samochodu było ciepło, nagromadzona para oddechów osiadła na szybach. Słyszałem jak zamyka bagażnik. Obszedł jeszcze raz samochód sprawdzając wszystkie koła. Ruszył w końcu do drzwi, ale jeszcze zawahał się i opierając się o maskę spojrzał na reflektory. Nagle zaczął powoli jakby w zwolnionym tempie zsuwać się rękami z maski.

— Dlaczego ojciec tak się grzebie — spytała matka wtulona w kąt tylnego siedzenia. Wyszedłem z samochodu. Jego ręce już prawie zsunęły się poza krawędź maski. — O Boże, moja głowa — powiedział nim upadł na bok.

Pochyliłem się nad nim i szarpnąłem za ramię: tato, co ci jest? Miał przymknięte oczy.

Podszedłem do drzwi od jego strony, od strony kierowcy. Włączyłem długie światła i nacisnąłem klakson. Na pustej ulicy zabrzmiał niski buczący sygnał.

— Co robisz? — matka zerwała się z siedzenia. — Gdzie ojciec?

— Wysiądź — powiedziałem nie odrywając ręki. Nie wiem dlaczego stałem właśnie tak wyprostowany przy otwartych drzwiach przyciskając ręką ciemne kółko klaksonu.

— O Boże, Julek, co ci jest! Żyjesz? — rozszlochała się matka.

— Nie stój tak, wyłącz ten przeklęty klakson i biegnij do telefonu — krzyknęła na mnie. W ciszy, która nagle wybuchła słyszałem pisk hamującego obok samochodu.

Długo łomotałem do drzwi pobliskiej fabryki, nim otworzył mi strażnik.

— Czego? — burknął nie spuszczając łańcucha. Do telefonu po pogotowie — wysapałem zdyszany.

Gdy wróciłem ojciec leżał na kocu. Obok stały trzy samochody, a wokół niego stał już spory tłumek. Wizgot „erki" słychać było z daleka. Młody lekarz pochylił się nad ojcem. Wylew — powiedział do szlochającej matki — musimy go zabrać, pani pojedzie z nami.

— Syneczku — matka zapłakana — spojrzała na mnie — muszę jechać, pilnuj samochodu. „Erka" zawyła i od razu ruszyła szybko. Tłumek rozchodził się powoli. Spojrzałem na stojący z zapalonymi reflektorami samochód. Pilnuj go — powiedziała matka z tą skrzętnością, która mnie zawsze denerwowała. Nawet teraz, w nieszczęściu, nie zapomina o swojej rzeczy — pomyślałem z nagłym żalem o matce.

Wyłączyłem reflektory i objąłem rękami kierownicę. Zakręciłem. To tak wygląda świat z miejsca dla kierowcy — pomyślałem, bo nieraz przecież marzyłem o tej chwili, gdy usiądę na tym miejscu, tu, gdzie do tej pory wolno było tylko jemu zasiadać. O Boże, co się dzieje z ojcem? Czy żyje? — pomyślałem z nagłym wstydem, że tak łatwo, tak szybko przyjąłem do wiadomości to, co się tutaj rozegrało.

Często wyobrażałem sobie zakończenie tego wieczoru, a właściwie rozmowy zaplanowanej na ten wieczór. Wyobrażałem sobie, że wychodzę trzasnąwszy drzwiami, efektownie, tak jak może, jak powinien wyjść człowiek, który wie, że wychodzi po swoją dojrzałość, po siebie dorosłego, stojącego po tej drugiej stronie rodzinnego domu.

Okazało się, że to nie ja wyszedłem z trzaskiem drzwi, lecz ojciec. Znów mnie wyprzedził z tą swoją przenikliwą bystrością gracza, który umie przewidzieć kilka ruchów przeciwnika. Wyszedł, a ja zostałem w zimnym samochodzie z nielogicznym przykazaniem matki: pilnuj go. Pilnuj go na przekór nieszczęściu, śmierci, która otarła się o nas tak blisko, na przekór temu, że wali się cały nasz świat. Pilnuj go

Oto pilnuję, bezradny, bo nie umiejący prowadzić tego przeklętego, znienawidzonego przeze mnie, grata. Po co mam go pilnować?

Zatrzasnąłem drzwi i z trudem przekręciłem klucz. Do przystanku było kilkanaście kroków. W mieszkaniu dopadłem telefonu. Pogotowie? Tak, był, ale już został odwieziony. Dokąd? Przecież to szpital dla wariatów? Tak, dla wariatów także, ale nie tylko — uspokaja mnie głos telefonistki — jest tam również oddział neurologiczny. Pan rozumie? Z wylewem tam się wozi. Do widzenia.

Siedzę przy telefonie i nie mogę zdecydować się, czy zadzwonić do tego szpitala.

Mieszkanie, które przed dwiema godzinami opuściliśmy w trójkę wydaje mi się jeszcze bardziej obce. W pokoju zapaliłem tylko boczny kinkiet. W jego blasku połyskuje ciemna politura stołu. Jej idealną gładkość zakłócają drobne okruszki tytoniu rozsypane wokół popielniczki. Dopiero teraz rozumiem jak bardzo oboje czekali na tę dzisiejszą rozmowę, jak jej się bali. Matka — ten wzór dobrej gospodyni, ścierająca po ojcu każdy pyłek, który mu się zdarzyło zaprószyć — zostawiła nie starty stół.

Tak długo czekałem na tę odrobinę bałaganu w ich czystym, sterylnym życiu, że teraz patrząc na ten stół czułem, że rośnie we mnie odprężenie i po raz pierwszy mocno odczułem strach o życie ojca.

Z mojego taboretu nie było widać twarzy ojca. Zaraz po przyjściu usiadłem tam, gdzie stał ten kręcony taborecik. To nawet lepiej, że on mnie stąd nie może zobaczyć, pomyślałem. Bo gdyby nagle odzyskał przytomność... Co bym mu powiedział?

Fragment większej całości.

Tadeusz Błażejewski

powszedni dzień literatury

Foto: W. Parys

...Życie nie zna litości ni współczucia,
płynie niepohamowanie naprzód i nikt
nie jest w stanie go powstrzymać.

(J. Koprowski, „POTOMKOWIE TESPISA")

Jan Koprowski słynie wśród przyjaciół i znajomych z pogodnego dowcipu i poczucia humoru. I ja liczę na to, że wybaczy mi, iż w sytuacji tak dostojnej używam żartobliwego nieco motta, wybranego z tekstu jego znanej powieści. Sytuacją, o której mowa, jest jubileusz sześćdziesięciolecia, jaki ostatnio obchodził ten znany poeta, prozaik, eseista, tłumacz, sekretarz Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, a naszemu miastu i wydawnictwu zawsze bliski autor. W uznaniu zasług minister Janusz Wilhelmi udekorował jubilata Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W uczczeniu rocznicy miało swój skromny udział i Wydawnictwo Łódzkie, które z punktualnością godną naśladownictwa w przyszłości wznowiło jedną z bardziej znaczących książek Koprowskiego — zbiór opowiadań „Zielone drzewa".

Blisko ćwierć wieku spędził Jan Koprowski w naszym mieście i przeżył tu — jeśli nie najlepsze lata twórcze, to z pewnością bardzo doniosłe dla rozwoju twórczego dorobku. Wyjechał przed pięciu laty, ale w dalszym ciągu utrzymuje ścisły kontakt ze środowiskiem, zaś dodatkowym bodźcem są sprawy wydawnicze oraz spotkania autorskie.

Jan Koprowski urodził się 10 lutego 1918 roku we wsi Pokrzywnica w województwie kieleckim. Talent literacki objawił wcześnie — jako szesnastoletni młodzieniec zadebiutował wierszem „Wiosenna orka" opublikowanym w piśmie „Głos Wsi". Wkrótce potem zetknął się z warszawskim środowiskiem literackim i jeszcze przed wybuchem wojny wydał dwa tomiki poezji „Do mojej ziemi" (1936) oraz „Hellada we wrzosach" (1937). Wojna nie sprzyjała kontynuacji twórczości literackiej Koprowskiego nie tylko w myśl ogólnej zasady, że „inter arma silent Musae", ale z powodów całkiem konkretnych: w okresie okupacji wywieziony został w głąb Rzeszy i pracował jako robotnik najpierw w Cottbus, a następnie w Brunszwiku. Od razu po zakończeniu działań wojennych powrócił do zatrudnień literackich jako redaktor pisma „Na obczyźnie". Pracę w Polskiej Misji Wojskowej łączył z uczęszczaniem na Uniwersytet Berliński, gdzie u następców Hegla studiował filozofię. Powróciwszy do kraju osiadł na krótko w Szklarskiej Porębie, i aktywnie uczestniczył w interesującym w owym czasie życiu literackim Dolnośląskiego Oddziału ZLP.

Do Łodzi zawitał w roku 1950 i od razu dał się poznać nie tylko jako utalentowany twórca, ale i rzutki oraz konsekwentny organizator życia kulturalnego. Współpracował jako kierownik literacki Teatru Nowego z reżyserem Kazimierzem Dejmkiem. W pozbawionej wtedy pism literackich Łodzi współorganizował i redagował najpierw „Łódź Literacką", następnie „Kronikę" i wreszcie prowadził przez kilka lat (bezpośrednio przed odejściem do stolicy) zespół „Odgłosów". Szczegółowe dzieje dwu pierwszych pism przedstawił w interesującym artykule zamieszczonym w XVIII roczniku „Prac Polonistycznych". Doceniona została i twórczość artystyczna i redakcyjny trud — Jan Koprowski otrzymał w 1966 roku literacką nagrodę Łodzi.

Jeszcze mieszkając w fabrycznym mieście pracował czas jakiś w „Literaturze na Świecie", z którą utrzymuje zresztą ścisły kontakt do dnia dzisiejszego i często wypowiada się na jej łamach o książkach i zjawiskach literackich niemieckiego obszaru językowego. Kiedy w roku 1972 zaczął ukazywać się w Warszawie nowy tygodnik „Literatura" Jan Koprowski objął w nim funkcję zastępcy redaktora naczelnego.

Jego dorobek jest zróżnicowany formalnie i tematycznie. Jednako chętnie wypowiada się w wierszu, jak i w powieści oraz opowiadaniu, najczęściej jednak w krótkim szkicu. Wiąże się to chyba nie tyle ze specyfiką talentu, ile z „wszędobylskością" autora „Z południa i północy" oraz „Na Wschodzie i na Zachodzie". Nie ma chyba takiego miejsca w Europie, gdzie działyby się jakieś ważne literackie sprawy i wcześniej czy później Jan Koprowski tam nie stanął. Znów żartobliwy ton, lecz naprawdę niewielu znajdzie się u nas pisarzy posiadających tak rozległe i trwałe międzynarodowe kontakty ze swymi kolegami po piórze.

Lektura kolejnych zbiorów wierszy uzmysławia dobitnie dwa poetyckie oblicza autora „Nocnych rodaków rozmów": subtelny liryzm i publicystyczną pasję. Zaduma nad sobą i najbliższymi, jak w wierszu „Stan posiadania":

Nie mamy nic prócz siebie —
mamy bogactwo

Nie mamy nic prócz miłości —
mamy szczęście

Nie mamy nic prócz życia —
mamy nadzieję

nie może nie iść w parze z refleksją patriotyczną:

W Warszawie i Łodzi
W Londynie i innych miastach
ciągle tylko o jednym
czym był
czym jest
czym będzie ten kraj.

Napisałem kiedyś, że poezja Koprowskiego — to odmiany nadziei, nadziei oglądanej przez pryzmat pytań egzystencjalnych, niepokoju moralnego, wynikającego zarówno z przeżyć i doświadczeń wojennych, z determinant historycznych, jak i najściślejszych osobistych poszukiwań. Określając kondycję człowieczą nie skłania się poeta w stronę modnej niemalże bez przerwy metafizyki, jego wiersze nierozerwalnie związane są z „tym krajem" i posiadają nieczęsto spotykaną wśród współczesnych utworów poetyckich cechę — konsekwentną prostotę wyrazu. Prostotę, z której Koprowski uczynił swój program artystyczny.

Pierwsza powieść powstała w Szklarskiej Porębie. „Opowieść o moim ojcu" rozpoczynają znamienne słowa: „Mój ojciec niczym się w życiu nie wyróżniał. Nie był bohaterem, nie posiadał odznaczeń i orderów, nie brał udziału w żadnej z wojen, nie pracował w podziemiu. W ogóle nie dokonał niczego takiego, o czym opowiada się w książkach. Nie umiał nawet pisać i czytać. Mimo to, a może raczej właśnie dlatego postanowiłem opisać jego życie. Opowieść o moim ojcu będzie zatem opowieścią o człowieku zwyczajnym, takim jakich spotyka się wszędzie na każdym kroku. O bohaterach pisało się przecież ciągle, o zwykłych ludziach mało kiedy". W słowach tych zmieścił się niemal cały program — pełny zwrot w stronę prostego, zwyczajnego człowieka. Wśród tych właśnie ludzi, uwikłanych w zwykłe codzienne sprawy, pisarz dostrzega i wyławia „niezniszczalne wartości ludzkiego życia". Ta tendencja od początku towarzyszy utworom Koprowskiego. Gdy uporał się już z własną genealogią, gdy dokonał rozrachunku z przeszłością, zmienił trochę punkt widzenia. Uwidoczniło się to w „Potomkach Tespisa" oraz w większości opowiadań. Mianowicie narrator jakby zdystansował się wobec przedstawianych spraw i wydarzeń, pojawiać się poczęła żartobliwa autoironia, a nawet ujęcia parodystyczne i pastiszowe.

Świat, w jakim obraca się narrator opowiadań Jana Koprowskiego, ludzie, z którymi się styka i o których opowiada — to jakby jedna wielka rodzina. Nie darmo tedy tytuł najnowszego zbioru opowiadań brzmi: „Wieczory rodzinne". Feliks Fornalczyk powiada, że Koprowski reprezentuje postawę współczującą, a zarazem pełną szacunku wobec każdego pojedynczego człowieka i jego codziennych prawd życiowych. Ja określiłbym tę postawę jako tkliwą, pełną ciepła i wyrozumiałości, ale i zaangażowania w tylko co wspomniane codzienne prawdy życiowe. Zwróćmy uwagę na wyjątkowe wprost znaczenie realiów w prozie Koprowskiego, przywiązywanie wagi do najdrobniejszego przedmiotu. Chodzi przy tym nie tylko o rzetelność autorskiej informacji, chodzi o poszanowanie prawdy szczegółów. O człowieku powiem stanowią nie tyle jego intencje, co otoczenie: dom, rodzina, środowisko zawodowe itd. Człowiek opisany przez Koprowskiego — to człowiek żyjący zawsze wśród innych. Także pisarz. Do najlepszych, najcelniejszych fragmentów „Potomków Tespisa" należą te strony, na których przedstawione zostało funkcjonowanie współczesnego środowiska literackiego oraz współzależność między słowem a czynem wśród twórców literatury.

Koprowski należy do tego typu ludzi pióra, którzy nie potrafią ograniczyć się jedynie do zacisza w godnego gabinetu i przynosić systematycznie wydawcy coraz to nowe dzieła, nie bacząc zupełnie, co się wokół nich w życiu związkowym i na świecie dzieje. Jego aktywność literacka polega nie tylko na władaniu piórem, po prostu musi odnotowywać powszedni dzień literatury rozumianej najszerzej — jako dzieła, komentarze do nich, twórcy, ich bolączki i rozterki, ich przyjaźnie i animozje. W tym celu uprawia od lat gatunki paraliterackie: felieton, reportaż, list z podróży, wspomnienie. Wiele z nich ukazało się w wydaniach książkowych.

Każde spotkanie, rozmowa, wyjazd służbowy czy prywatny, ciekawsza lektura — wszystko to znajduje natychmiast ślad na papierze. W ten sposób powstają interesujące komentarze do bieżącego (choć nie tylko) życia literackiego. Recenzując kolejny tom szkiców zatytułowany, podobnie jak stały felieton w „Literaturze" — „U nas i gdzie indziej", nazwałem autora wytrwałym kronikarzem. Któż bowiem z równą wytrwałością włącza się w kronikarski nurt współczesnego piśmiennictwa?

Stałym zainteresowaniem darzy autor polsko-niemieckie stosunki literackie. Na fakt ów wpłynęły bezsprzecznie biograficzno-wojenne powikłania oraz konsekwentna specjalizacja. Poczynając od pierwszego po wojnie kongresu pisarzy niemieckich z 1947 roku Jan Koprowski tradycyjnie reprezentuje Związek Literatów Polskich na różnego rodzaju zjazdach i spotkaniach pisarzy, najczęściej w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Ale największą bez wątpienia namiętnością autora „Dnia powszedniego literatury" jest tropienie i natychmiastowe wychwytywanie poloników. Namiętność owa przejawia się w baczniej obserwacji rozmaitych publikacji, zabytków, muzeów, repertuaru kin czy teatrów, w poszukiwaniu śladów pobytu wielu bardziej i mniej znanych Polaków na obczyźnie. Jednocześnie, z wielką satysfakcją, wykorzystuje sytuację, by przypominać cudzoziemcom, że „nie wyskoczyliśmy sroce spod ogona", boć posiadamy ponad tysiącletni byt państwowy i równie stara kulturę.

Podstawową dewizą szkiców Koprowskiego jest przekonanie: „nikt nie może niczego odkryć za nas dla nas". I rzeczywiście — niczego nie odkrywa za czytelnika, dzieli się z nim jedynie wrażeniami, impresjami, w taki wszakże sposób, że zmusza do zastanowienia się, do głębokiej niejednokrotnie refleksji. Dodajmy, że — podobnie jak w bezpośrednich spotkaniach — Koprowski posiada wielką łatwość w nawiązywaniu kontaktu z czytelnikiem. W wytworzeniu atmosfery bezpośredniości pomaga mu przede wszystkim prostota językowa oraz duża, wręcz gawędziarska, swoboda narracji.

Znaczna część utworów Jana Koprowskiego doczekała się tłumaczeń na niemiecki, francuski, hiszpański, rosyjski i litewski. On sam jest również aktywnym tłumaczem, przekłada głównie poetów niemieckiego obszaru językowego (między innymi w jego opracowaniu ukazały się zbiory wierszy Petera Huchela oraz Georga Trakla).

Przypominając — z okazji jubileuszu 60-lecia — sylwetkę twórczą Jana Koprowskiego w piśmie, które przez kilka lat prowadził, nie sposób na zakończenie z niejakim sentymentem nie stwierdzić, że coś z niego przecież w Łodzi zostało. Sam zresztą w szkicu „Podróże po Polsce", wchodzącym w skład tomu „Jak nas widzą, jak nas piszą", przygotowanym do druku przez Wydawnictwo Łódzkie, wyznał:

„Nie mógłbym wykreślić ze swojego życia lat spędzonych na Kielecczyźnie, w Łodzi, na Dolnym Śląsku. Nie chodzi o to, że wykreślać ich nie ma potrzeby. Chodzi o to, że wszędzie tam zostało coś ze mnie i zewsząd tam poszło coś ze mną w świat — do innych miast i innych ludzi".

A CO ZE „WSIĄ"?

Tom drugi „Historii co tydzień" Kazimierza Koźniewskiego zyskał równie wysokie i pochlebne oceny, co tom pierwszy. W tomie drugim zawarte są szkice o tygodnikach społeczno-kulturalnych z lat 1944—1950. Znalazły się tu omówienia takich pism jak „Odrodzenia", „Kuźnicy", „Nowin Literackich", „Twórczości", „Przekroju", „Tygodnika Powszechnego", „Dziś i jutro", „Odry". Lesław Bartelski w recenzji „Spór o literaturę" („Nowe Książki" nr 24, 1977 r.) pisze, że Koźniewskiemu zawdzięczamy „obraz niebanalny, ukazujący sprzeczności i powikłania tamtego czasu, jego zdumiewającą dynamikę, gdyż trzeba sobie szczerze powiedzieć, że czasopisma literackie nadawały ton ruchowi umysłowemu po wyzwoleniu. Miały o wiele większy wpływ na postawy czytelników aniżeli współczesne, kształtowały świadomość, toczyły walkę o pozyskanie sprzymierzeńców". Bartelski stwierdza, że „Historia co tydzień" jest pozycją niezwykle cenną i ważną, chociaż „nie ze wszystkim można się z autorem zgodzić". A nie można się zgodzić, stwierdza autor recenzji, ze zdawkową oceną niektórych tytułów (np. dwutygodnika „Warszawa", czy braku omówienia innych, np. tygodnika „Wieś").

Chciałbym właśnie poświęcić kilka zdań temu pismu. Pierwszy numer „Wsi" ukazał się jeszcze w Lublinie z datą 15 października 1944 roku. „Wieś" należy przeto do najstarszych pism w Polsce Ludowej. Od lutego 1945 roku pismo przeniosło się do Łodzi. Redakcja zajęła lokal przy ul. Piotrkowskiej 96, w gmachu, który należał do „Czytelnika". „Czytelnik" (z Jerzym Borejszą na czele) był pierwszym wydawcą pisma. Potem patronat nad „Wsią" objął Związek Samopomocy Chłopskiej.

Bartelski dał dość ostrą cenzurkę „Wsi" nazywając ją „lewacką" i pisząc, że „lektura tego czasopisma po latach nie jest zbyt pociągająca". Ale jednocześnie zwrócił uwagę, że ten tygodnik „odgrywał w życiu umysłowym (mniej literackim) sporą rolę". Odczuwam żal, że brak jest omówienia tego pisma w „Historii co tydzień". Nie ulega chyba wątpliwości, że pismo „Wieś", w latach, które obejmuje książka Koźniewskiego, rysowało się w panoramie życia kulturalnego i politycznego także, bo „Wieś" od pierwszego numeru wystąpiła jako rzeczniczka przemian) bardzo wyraźnie. Absolutnie nie można jej pominąć, przypominając życie umysłowego tamtego czasu.

Koźniewski bardzo wnikliwie ocenia tamten czas, kiedy pisząc o roli „Kuźnicy" (której pierwszy numer ukazał się w Łodzi w początkach czerwca 1945 roku) powiada: jasne już było, że w Polsce rewolucja nie obędzie się tylko pojednawczą łagodnością, że nie może się ona zatrzymać tylko na pierwszych literach alfabetu. „Rozpoczęła się już właściwie mała wojna domowa. Rewolucja łagodna ze stron obu przybierała na srogości (...) I choć niemal wszyscy twórcy, artyści, muzycy i pisarze gotowi byli rozpocząć z rządem lojalną współpracę, to jednak u wielu z nich ta lojalność państwowa bynajmniej nie oznaczała akceptacji ideowej" I w tym czasie „niezbędne było podejmowanie działań zmierzających do pozyskiwania coraz szerszych kręgów dla sprawy rewolucji".

„Wieś" od pierwszego numeru pełniła tę rolę. Co prawda, niektóre sprawy były zbyt krańcowo traktowane, obciążały one konto przeważnie redaktora naczelnego, ale z drugiej strony trzeba powiedzieć, że Jan Aleksander Król był autorem wielu głębokich i ważkich (czasami wzruszających) publikacji, listów otwartych do różnych osobistości, w których ujmował się za krzywdą, bronił sprawiedliwości, a zawsze stał na stanowisku sojuszu robotniczo-chłopskiego, nawiązywał do postępowych tradycji ruchu ludowego.

Król widział zadanie pisma w „podniesieniu kultury ludowej do kultury narodowej", w likwidowaniu barier klasowych i wewnątrzklasowych. Wokół pisma skupiał przeważnie inteligencję wywodzącą się z ludu, pisarzy chłopskich, literatów, publicystów, profesorów wyższych uczelni zajmujących się problematyką wiejską.

Ukazały się dwa bardzo interesujące szkice o tygodniku „Wieś". Wiesław Jażdżyński opublikował w książce „Tranzytem przez Łódź" swoje ciekawe, barwne, miejscami ironiczne, ale zawsze głęboko udokumentowane „Kartki z dziejów „Wsi". Zaś w XVII tomie „Rocznika Łódzkiego" z roku 1973 Krystyna Śreniowska opublikowała rozprawę „Problematyka historyczna tygodnika „Wieś" w latach 1945—1949". Śreniowska omawia dorobek tygodnika, trzeba przyznać, że bardzo bogaty, w zakresie ocen prasy ludowej i ewolucji ideologicznej publicystów i działaczy chłopskich. Wiele miejsca w piśmie poświęcano problematyce historycznej dotyczącej postępowych tradycji. Śreniowska ocenia wysoko rolę pisma, które „walczyło o samodzielną chłopską myśl społeczno-polityczną (...). Pismo walczyło o nowatorski obraz dziejów Polski i w związku z tym dokonywano rewizji oraz nowej oceny problemów związanych z działalnością dla ludu i ruchem ludowym".

Problematyka historyczna nie jest jedynym nurtem publicystyki „Wsi". Jażdżyński omawia w swoim szkicu inne zagadnienia poruszane na łamach tygodnika (na przykład dyskusję o inteligencji), sprawy literatury (jeszcze w 1945 roku ukazały się eseje Jana Wiktora „Rozważania o literaturze"). Przypomnieć wypada, że „Wieś" była jakiś czas organem Oddziału Wiejskiego ZZLP. Wiele miejsca poświęcono dyskusji „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?". Duże znaczenie miał wielki zjazd pisarzy skupionych wokół pisma (i związanych ze wsią) w 1947 roku w Rytwianach. Na łamach „Wsi" pojawiły się najcelniejsze nazwiska pisarzy i poetów, których dzisiaj zaliczamy do pisarzy „nurtu ludowego" poczynając od Stanisława Piętaka, Józefa Ozgi-Michalskiego, Józefa Mortona i Teodora Gośdzikiewicza, (piękną kartę ma w piśmie Anna Kamieńska), nazwiska starych pisarzy ludowych: Macieja Czuły, Piotra Wyrobka, Józefa Kapuścińskiego, Piotra Stopczyka, nazwiska krytyków (listę rozpoczynają Stefan Lichański, Zygmunt Kałużyński, Maria Janion i Maria Żmigrodzka), tu rozpoczynał swoją drogę tłumacza Tadeusz Chróścielewski, pojawiają się nazwiska ludzi nauki — Witolda Kuli, Witolda Łukaszewicza, Stanisława Śreniowskiego, Heleny Brodowskiej, Zdzisława Skwarczyńskiego. Przepraszam, że nie wymieniam wszystkich. Te właśnie ważkie problemy i znani autorzy, a nie choćby najbardziej tkliwe wspomnienia z okresu pracy w macierzystej „Wsi", wywołują żal, że „Wieś" nie znalazła się w „Historii co tydzień". Tym bardziej, że książkę Koźniewskiego bardzo cenię, a dla autora mam wielki podziw.

TADEUSZ PAPIER

RYSZARD BINKOWSKI

milczące skrzydła

W cukierni Karola Vauchera, który w myśl ustnej tradycji niektórych mieszkańców Warty ufundował stypendium dla najzdolniejszego ucznia gimnazjum w Piotrkowie, zbierali się uczestnicy powstania styczniowego. Vaucher był Szwajcarem i przyjacielem Polaków, dziś na budynku cukierni znajduje się tablica informująca, że kwaterował tutaj Józef Oxiński, dowódca I oddziału powstańczego w Sieradzkiem.

Idąc wąskimi, wybiegającymi na błonia uliczkami, wszędzie natykam się na ślady przeszłości. Dom, w którym urodził się sławny lotnik, zdobywca Ameryki Południowej, ppłk Stanisław Skarżyński; kościół parafialny pod wezwaniem Św. Mikołaja z XIV wieku, ratusz (siedziba Urzędu Miasta i gminy) z 1842 r. i XV-wieczny klasztor oo. Bernardynów; obelisk Kościuszki, który w Warcie lustrował chorągwie kawalerii narodowej i, ale to już za miastem, popiersie Reymonta w pięknym parku w Małkowie.

Karola Vauchera nie na próżno nazywano przyjacielem Polaków. To był dobry człowiek. W księdze kontowej zapisywał, co kto zamawiał, obok zaś notował uwagi o kliencie. Ten nie zapłacił, ale co tam, porządny obywatel. Ten też nie zapłacił, ale że obarczony liczną rodziną, dług mu się anuluje. O księdzu Vaucher napisał, że nie zapłacił i uciekł do Anglii, bo groził mu proces za zgwałcenie nieletniej panienki.

Ostatnio budowlańcy ukradli miastu Kościelną Górę, ale za to podczas remontu cukierni znalazły się w kominie dwie dobrze zakonserwowane szable.

Mnie osobiście w tchnącym przeszłością mieście, do którego bezpardonowo wciska się nowoczesność, zainteresowało coś innego. Wyczytałem, że w XVII i XVIII wieku miasto słynęło z bójek i że mieszczanin Jadani zamordował młynarza Bartosza Piechotę, prawdopodobnie za rażące kradzieże w przemiałach zboża.

Potem zobaczyłem ogólny widok Warty według drzeworytu, którego fotografię pomieszczono w czasopiśmie „Kłosy" z 1876 roku. Na pierwszym planie wiatrak mierzył skrzydłami w niebo i ziemię.

Następnie dowiedziałem się z przewodnika, że w Warcie znajduje się wiatrak z 1885 roku, drewniany, szalowany, kryty gontem kozłak, którego właścicielem jest **Kazimierz Binkowski.**

Poczułem się jak w rodzinie i ruszyłem do Warty.

W drodze trafił się przypadkowy pasażer.

— Jest u was wiatrak? — spytałem dla pewności.

— A co nie ma być? — odparł.

— Nie chodzi?

— Nie, ale stać stoi.

— To czemu nie chodzi? — wdałem się w groteskowy dialog.

— Bo właściciel umarł, a zięć nie miał ochoty. Woli robić pasze na elektrycznym śrutowniku.

— Szkoda.

— Szkoda — powtórzył z westchnieniem. — Binkowski robił najlepszą mąkę pszenną...

I sekretarz Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR, STANISŁAW NOWAK, twarz miał nieco zafrasowaną.

— Przykra sprawa — oświadczył. — Było u nas tych wiatraków bez liku, ale taki na wiatr został tylko jeden. Bo Bajerski, Jabłoński i Słowiński obmurowali swoje i przerobili na młynki elektryczne. Kontyngentów nie ma, chłop ma więcej zboża, więc popyt na przemiał rośnie. Mąkę wymienia się w piekarniach na chleb.

— Co z wiatrakiem Binkowskiego?

— Sam nie mogę patrzeć, co się tam dzieje. Binkowski zostawił wiatrak na chodzie, a teraz płakać się chce, jak się popatrzy. Osobiście jako przedstawiciel instancji partyjnej robię wszystko, żeby wiatrak uratować. Ale sprawa się komplikuje przez brak funduszów. Na szczęście pani dr Kaleniewicz z PTT-K kupi go wreszcie od Binkowskich. Można by tam zrobić schronisko, kawiarnię, albo po prostu wyremontować i pokazywać wycieczkom. Ale czy będą na to pieniądze?...

Sekretarz rozłożył bezradnie ręce.

2.

Wjechaliśmy na szczyt łysego pagóra. Kiedyś było tu puste pole, teraz z jednej strony huczy betoniarnia SKR, z drugiej płaszczy się w dole kolorowy budynek zakładu konfekcyjnego. A dalej, jakby zanurzone w niebieskawej mgle, leży miasto, strzelając w niebo wieżami ratusza, kościoła i klasztoru.

Wiatrak sylwetką przypomina grzyba kozlaka. Budowla robi ponure wrażenie, przygniata smutkiem i martwotą. Ale jest coś, co jakby podrywa wiatrak do życia: ustawione na krzyż skrzydła zdają się czekać na podmuch wiatru. To jednak złudzenie, bo osadzone w nałożonych na wał bursztykach miecze śmig, jak młynarze nazywają skrzydła, są nagie i milczące, bez opierzenia.

Tuż nad ziemią ręce bezmyślnych wandali wynaratały wielką dziurę; ciemne wnętrze cuchnie moczem i kałem, pośród którego walają się puszki po konserwach, stosy petów, prezerwatywy i butelki po sikaczu.

Wiatrak, z wyjątkiem pokrycia połaci dachu, krytej blachą na ażurowym deskowaniu, jest cały z drewna. Druga połać dachu jest kryta gontem na łatach.

Żądne niszczenia tępaki, nie mogąc dostać się przez drzwi na górny pomost, rozbiły schody, których żałosne szczątki gniją w trawie pod drewnianym balkonikiem.

Jurek Racięcki, świeżo upieczony maturzysta, wnuk Kazimierza Binkowskiego, przyniósł z zakładu konfekcyjnego, gdzie szyją prześcieradła i poszewki, długą drabinę, przystawił do balkoniku, wszedł tam i wielkim kluczem otworzył drzwi wiatraka.

Wdrapałem się za nim na pierwszy, a potem na drugi pomost. Rzeczywiście, wszystko jest tu drewniane, nawet zębate koła ciągnące całą skomplikowaną maszynerię. Belki stropów z oflisami toporowane, wyższy pomost szalowany deskami.

— Pan się zna trochę na tym? — zapytałem.

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Dziadek umarł czternaście lat temu, miałem wtedy sześć lat...

— Ale zachodził pan na wiatrak?

— Owszem. Ale wiatrak znał tylko dziadek.

Przez uprzejmość starał mi się co nieco wyjaśnić. Pokazał wystający na zewnątrz drąg, którym ustawiało się wiatrak pod wiatr.

— Tamto — rzekł wskazując zawieszone pod dachem dwie metalowe kule — służyło do regulacji obrotów. Jak się je podniosło, obroty były mniejsze. To zależało od wiatru.

Od kamieni młyńskich odchodziła ślimacznica odprowadzająca mąkę. Dwa razy do roku kamień musiał być przekłuwany. Wyciągało się metalową oś, unosiło na linach kamień i odświeżało rowki, żeby ziarno było lepiej ścierane.

Jurek pokazał mi jeszcze tzw. cylindry, w których na cienkiej osi obracały się łopatki obciągnięte gazą: tutaj oczyszczało się mąkę; sypała się do zaczepionych u dołu worków.

Zwrócił uwagę, że wsparty na kożle obrotowym słup, zwany przez niektórych stomperem, na którym obracał się wiatrak, jest jeszcze bardzo solidny, zabezpieczony metalowymi obręczami.

Ponieważ nic więcej nie mógł powiedzieć, wróciliśmy do mieszkania wdowy, **Walentyny Binkowskiej.**

— My z córką — oświadczyła — nosiłyśmy tylko obiady na wiatrak. Co my możemy wiedzieć?

— Kiedy pani poznała męża, był już młynarzem?

— No, pewnie! — odparła z dumą. — Młynarze z dziada pradziada; jego ojciec miał trzy młyny w Uniejowie. Ale najgorzej to mieć męża na wiatraku — dodała.

Foto: Archiwum

— Dlaczego?

— Bo wciąż tam siedzi, dzień i noc. Zimą też spał na wiatraku. Pilnował, przecież ludzie powierzyli mu pszenicę. A jego pilnowali Żydzi. Bo oni mieli pszenicę dziewiczą, zebraną z pola bez deszczu. Rabin przychodził i patrzył, czy czysto się robi, mąka musiała być koszerna. Najbardziej się bałam, jak grzmiało. Ale w Zaduszki to mąż musiał spać w domu. W taką noc nie mógł mnie zostawić...

— Ja niekiedy zastępowałam ojca — powiedziała córka, matka Jurka. — Ale tej maszynerii nigdy nie poznałam. Wiem tylko, że to była żmudna, wyczerpująca praca. Na przykład mąkę nosiło się w tzw. ćwierciach na głowie. Na wzgórzu stał jeszcze wiatrak Tylińskiego, ale spłonął. W nasz też uderzył piorun. Wiatrak zaczął się palić, ale drugi piorun ugasił pożar. Innym razem od pioruna zapaliła się śmiga, ojciec z trudem ugasił płachty...

— Co to są płachty?

— To jakby pióra, takie cienkie listwy, które ojciec sam wystrugiwał. Miały dwa milimetry grubości, na pięć centymetrów szerokie, zakładało się je na śmigi. Ojciec miał na dole warsztat i wykonywał naprawy, wszystkie roboty stolarskie. Był taki stolarz wiatraczny, jedyny specjalista, nazywał się Kazimierz Kamiński, ale umarł. No i wiatraków też już nie ma...

— A z naszego co zostało? — westchnęła pani Walentyna. — Ukradli czterdzieści metrów stalowej linki, koziołki i kołowrotek, na którym ciągnęło się wiatrak i ustawiało do wiatru. Wyjęli furtkę, więc kazałam zabić deskami. Wyrwali deski. Różne parki na kochanie się pchają, chuligani, wagarowicze. Jak dozorca z betoniarni odpędzał, to go obrzucili kamieniami...

— O, idzie Józek! — wykrzyknęła córka. — On na śmigach się woził i grał z ojcem w karty!

Porwano z ulicy **Józefa Neymana**, pracownika PTT-K. Drobny żwawy, bardzo elokwentny, zaczął ze swadą:

— Wiatrak trzeba zachować w krajobrazie, to już ostatni Mohikanin. Chcemy go wykupić i uratować. Rzeczoznawca wycenił na 55 tysięcy...

— Jest jeszcze pół morga ziemi — przerwała mu Binkowska.

— Dogadamy się! Tylko boję się, żeby nie było tak jak ze spichlerzem w Małkowie. Wykupiono go, ale nie każdy jest Pendereckim, toteż spichrz tak długo czekał na renowację, aż się rozleciał. Kupimy wiatrak, dmuchnie wiatr i też się rozleci. Bo na remont potrzeba co najmniej wagon drewna...

Józef Neyman był bardzo przejęty jubileuszem 25-lecia PTT-K w Warcie. Ogólnopolski rajd, sesje, wystawy itp. Sam o wiatrakach niewiele mógł powiedzieć ale stwierdził, że żyje jeszcze dwóch ludzi, którzy znają się na tym.

3.

Wprawdzie **Jan Bajerski**, liczący sobie siedemdziesiąt lat i nękany astmą, bo chorobie zawodowej nie umknie, przerobił wiatrak na młyn elektryczny, lecz młynarzem jest z dziada pradziada i o wiatraku nie zapomniał.

Przecierając zaczerwienione oczy oświadczył:

— Mój ojciec twierdził, że za jego młodości w Łodzi było 110 wiatraków. A ja pamiętam, że po pierwszej wojnie w Warcie mieli wiatraki: Słowiński, Gąsiorowski, Racięcki, Sieradziński, jeden Żyd, Tyliński, Grabiński, Binkowski, no i ja. W ciągu sześćdziesięciu lat ginęło osiem, został jeden, u Binkowskiego.

— Pan też się przestawił na nowoczesność.

— W samą porę, dzięki temu syn został w zawodzie młynarskim. Robimy taką mąkę z pszenicy, że zjeżdżają ludzie z Łodzi, Warszawy, spod Kalisza i z Turku.

— Pan sam budował wiatraki?

— Nie, nasz był przywieziony w częściach ze Zduńskiej Woli. Mistrzem w robieniu kół młyńskich był Gąsiorowski. Wielkie koło na wale, co ciągnęło kamień młyński, miało 92 palce grabowe, a inne koło, zwane cywie, miało 9 palców. Cywie było osadzone na żelaznej sztandze, którą zwano wrzecionem. Ale — machnął ręką — do pisania to za skomplikowane. Nudne by było, niezrozumiałe. Lepiej podać coś z ciekawostek...

— Na przykład?

Zastanowił się marszcząc siwe brwi.

— Przed wojną — rzekł z uśmiechem wspomnienia w oczach — byłem na wycieczce w Gdyni. Popłynęliśmy w morze. Wszyscy źle się czują, a ja znakomicie zniosłem kołysanie. Bo, widzi pan, wiatrak jest tak zbudowany, że poddaje się wiatrowi. Kiedyś przez Wartę przeszedł cyklon. Poszły wszystkie dachy ze stodół a wiatraki zostały nie tknięte. Przesiedziałem ten cyklon na wiatraku, który kołysał się jak okręt na morzu.

— Wiatr może pomóc, ale może też przeszkadzać młynarzowi.

— Raz w nocy zgasła mi latarnia. Przystawiłem głowę do otworu, tak dmuchało, że aż mnie cofnęło. Byłem ustawiony pod wiatr, dzięki Bogu, toteż zbiegłem na dół i zacząłem wypierzać śmigi.

— Czyli zdejmować z nich płachty?

— Tak! Ale to trzeba umieć robić. Samemu kłaść się na ziemi i układać płachty tak jak łuski na rybie, bo inaczej dmuchnie i pójdą w pole! Najgorszy dla młynarza jest marzec, wiatr wieje z różnych stron. Jedna śmiga ma osiem metrów długości, jak zawieje z boku lub z tyłu, może urwać wszystkie śmigi. Trzeba co trochę ustawiać wiatrak pod wiatr...

— I robił to jeden człowiek?

— Bez trudu. Do słupa obrotowego wmontowany był dyszel. Jego drugi koniec wychodził ukośnie z wiatraka i był oparty o ziemię. Do tego końca przywiązywało się linę, którą nawijało się na położony na koziołkach wałek z uchwytami podobnymi do tych u steru na okręcie. Ciągnęło się wielki ciężar, toteż koziołki ustawiało się między wbitymi w ziemię palami. Takie pale znajdowały się z czterech stron wiatraka koziołek był między nimi jak gdyby zaklinowany. Przy silnym wietrze groziło zapalenie, trzeba było z wyczuciem regulować obrót śmig nie tylko kulami, ale i opręgowanym stawidłem. Duże obroty powodowały silne tarcie, ale że główne części wykonane były z drzewa modrzewiowego, wyciekała z nich dymiąca żywica, która hamowała obroty. Pamiętam jak nieraz takie gorące krople spadały mi na kark. Byłem wtedy w strachu.

— Wszystko z drewna, łożyska się wycierały...

— Nie! Jest znakomity środek na to. Tarte miejsca uszczelniało się świńską szczeciną, a najlepsza była sierść dzika.

— Młynarz mógł przewidzieć wiatr?

— Stale patrzył na niebo, w dzień i noc. Ja dziś mogę panu przewidzieć pogodę na urlop. Słońce będzie w drugiej połowie lipca i w sierpniu, wrzesień też będzie piękny. A tak na co dzień, to musi pan wiedzieć, że jak w pochmurny czas słońce ukaże się z południa, to pogody nie będzie. Pogodę wróży przejaśnienie od północy..

— Młynarza poznaje się po jakości mąki?

— Nie tylko. Również po ustawieniu śmig, jak zatrzymuje wiatrak. Śmigi muszą być na krzyż, dolna prostopadle do ziemi. Jak krzywo, to młynarz paprok. Ale jeśli dolna śmiga wystawała lekko z prawej strony wiatraka, to był znak żałoby. Wiatrak tak stał przez trzy dni.

Śmigi wiatraka Kazimierza Binkowskiego tkwią w tej pozycji od czternastu lat.

A Jan Bajerski przerobił wiatrak na elektryczny młyn. Z dawnego wiatraka pozostały stropy i grubaśne, żywiczne belki, na których leżał kilkutonowy wał. Za łożyska służyły gładkie kamienie polne. Przez lata obracał się na nich drewniany wał i oparł się tarciu.

Rozrzewniony Bajerski z dumą pokazał mi pozostawione na pamiątkę dwa ostatnie, wbite w podłogę, drewniane gwoździe.

Niedawno pewien bednarz kupił na klepki stary wiatrak. Cóż, drewno jak dzwon, z przedwojennej bany. Ale przy rozbiórce drzewo przywaliło bednarza i zabiło. Świadkowie wysnuli wniosek, że nie należy rozbierać wiatraków.

SAMORZĄD I MECENAS

Rozmowa z MARKIEM NOWAKOWSKIM przewodniczącym Zarządu Łódzkiego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich

Foto: W. Parys

— W dniach 3 i 5 marca 1978 roku obradować będzie Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza ZŁ SZSP. Skłania to do próby bilansu zamierzeń i rezultatów, oraz do refleksji nad przyszłością łódzkiej organizacji SZSP.

— Działalność polityczno-wychowawczą, podstawową dla Związku, można uprawiać na kanwie dwóch nurtów: kultury i nauki. Sądzimy, że istnieje spójność obu tych nurtów. Sama nauka, jako zdobywanie wiedzy, nie wystarcza. Jej uzupełnieniem w tworzeniu osobowości młodego człowieka powinna być kultura.

— Trwający w roku akademickim 1977/78 VI Festiwal Kultury Studenckiej jest dobrą okazją, aby sprawom kultury poświęcić również w naszej rozmowie więcej miejsca. Na wstępie chcę zapytać, jak przebiegały działania organizacji w drugim z wymienionych przez Ciebie nurcie — w nauce?

— Dwutorowo. Z jednej strony udział SZSP wyrażał się i wyraża w kształtowaniu procesu dydaktycznego na uczelni w taki sposób, aby wytwarzać w środowisku świadomość, że każdy student jest współtwórcą tego procesu, że musi czuć się odpowiedzialny za jego przebieg. Próbujemy wpływać na zwiększenie efektywności nauczania, na terminowe kończenie studiów poprzez współzawodnictwa, konkursy, premie, poprzez krytyczną ocenę realizacji procesu dydaktycznego i współdziałanie z władzami uczelni.

Drugi kierunek — to nauka jako twórczość. Pod tym względem jesteśmy mniej zadowoleni. Wprawdzie liczba kół, obozów naukowych i ich uczestników nie zmniejszyła się, ale zabrakło dość sprawnego kierowania nimi ze strony Związku, zabrakło idei, która skupiłaby cały studencki ruch naukowy.

— A co z akcją „Bełchatów", która przez kilka kolejnych lat była jedną z pierwszych tego rodzaju inicjatyw w Polsce?

— Niewątpliwie pozostała akcją sztandarową. Latem 1977 roku wokół Bełchatowa przebywało 296 uczestników, 11 kół naukowych ze wszystkich uczelni Łodzi. Badania studentów miały cel praktyczny, przyniosły wiele przykładów pożytecznej roboty, np. studenci AM skontrolowali zdrowie 1800 rodzin w trzech gminach województwa piotrkowskiego.

— Czy akcja ta będzie zatem kontynuowana w 1978 roku?

— Odczuliśmy pewne wyeksploatowanie się koncepcji, co jednak nie oznacza wycofania się z podjętych tam przedsięwzięć. Po prostu nie możemy już ograniczyć się do samej nauki.

— Domyślam się, że brak nowej zespalającej cały łódzki studencki ruch naukowy idei stanie się jednym z tematów konferencji?

— Jednym z najważniejszych. Wyłoniła się bowiem koncepcja powołania stowarzyszenia studenckiego ruchu naukowego. Jego celem byłoby sterowanie pracami naukowymi studentów. Zadanie stojącej na czele stowarzyszenia rady programowej polegałoby na proponowaniu tematów związanych z regionem łódzkim i ościennymi. Koła realizowałyby te tematy na zasadzie zleceń, odpłatnie, a uzyskane środki zasilałyby fundusze własne kół. Chcielibyśmy, aby znaczenie studenckiego ruchu naukowego w stosunku do pracy uczonych było takie, jakie są funkcje rzemiosła wobec sektora uspołecznionego.

— Czy projekt ten spotkał się z zainteresowaniem ewentualnych przyszłych zleceniodawców?

— Tak, już teraz na przykład takie tematy zlecają niektórym studenckim kołom naukowym władze województwa piotrkowskiego. W uzupełnianiu listy tematów liczymy na pomoc Rady Naukowej przy Prezydencie m. Łodzi.

— Od stosunkowo niedawna w centrum uwagi Związku znajduje się sprawa zatrudnienia, startu zawodowego absolwentów...

— Do bliższego zajęcia się tym problemem zmusiło nas życie: w ubiegłym roku akademickim wiele kierunków opuściły po dwa roczniki absolwentów. Większość pragnęła pozostać w Łodzi. Nie dla wszystkich było to możliwe. Trzeba pamiętać, że Łódź jest ośrodkiem ponadregionalnym, że musi być źródłem kadr dla województw: sieradzkiego, piotrkowskiego, kaliskiego, skierniewickiego i płockiego. Aktualnie w Łodzi jest ok. 6 procent pracowników z wyższym wykształceniem, w Warszawie ok. 10 procent, ale w takiej Jeleniej Górze — 1.5.

— Jakimi więc konkretnymi działaniami Związek próbuje zaradzić temu niekorzystnemu zjawisku?

— Staramy się nakłonić studentów spoza Łodzi do powrotu do rodzinnych stron. Powstały Regionalne Kluby Studentów Ziemi Piotrkowskiej, Sieradzkiej i Płockiej. Z Piotrkowa na przykład studiuje w Łodzi około tysiąc osób, 200 rokrocznie opuszcza mury uczelni. Naszym staraniom wyszedł naprzeciw z pomocą Komitet Wojewódzki PZPR w Piotrkowie. A wytwarzać chęć powrotu w studentach można tylko poprzez konkretne propozycje: praktyk, stypendiów, umów przedwstępnych zasiłków, mieszkań czy pożyczek na zagospodarowanie — jeszcze podczas studiów. Jako organizacja nie chcemy obiecywać „złotych gór". Namiawiamy jednak do realizmu i racjonalnego wyboru. Żeby akcja przyniosła efekty, musimy zaczynać ją wcześnie, wobec studentów II czy III roku. Sądzimy, że coraz częściej będzie następować zbieżność interesów i porozumienie w oparciu o konkretne propozycje władz.

— Wspomniałeś o stypendiach. W październiku 1977 roku wprowadzony został nowy system pomocy materialnej dla studentów. Jednym z jego elementów jest przyznanie grupom działania SZSP wyłącznego prawa do decyzji o wysokości i zasadności pomocy materialnej. Jest to dowód wielkiego zaufania dla studenckiej samorządności.

— I nakłada na nią dużą odpowiedzialność. Mogę wszakże powiedzieć, że Zarząd Łódzki ocenił pozytywnie sprawdzian, jakim dla naszych komisji ekonomicznych był sprawny i terminowy, a jednocześnie przemyślany i sprawiedliwy rozdział świadczeń. Zjawiska negatywne były marginesem. Warto jednak zastanowić się nad tym, aby przy podziale stypendiów mocniej niż dotychczas uwzględniać czynnik wychowawczy.

— Studencka samorządność nie wyraża się jednak tylko w rozszerzeniu uprawnień SZSP w podziale stypendiów.

— Z zagadnieniem samorządności wiąże się w ogóle sprawa integracji środowiska. Jednym z głównych celów naszego działania jest realizacja tezy „nic bez nas" umacnianie pozycji samorządów studenckich jako jedynego przedstawiciela interesów środowiska w osiedlach studenckich, gdzie jeszcze przed trzema — czterema laty obserwowaliśmy wyraźne osłabienie tendencji samorządowych.

— Mamy w Łodzi dwa osiedla studenckie, przy al. Politechniki i w rejonie ul. Lumumby. W którym z nich działania integrujące przyniosły lepsze wyniki?

— Bezsprzecznie łatwiejsze warunki ma pierwsze z nich. Jest to osiedle jednouczelniane (PŁ), gdzie w 8 akademikach zamieszkuje 3 tys. studentów. Osiedle posiada 2 stołówki, nieźle wyposażone kluby. Sądzę, że udało się tam wypracować dość dobry model samorządności studenckiej. Opracowano dobry regulamin rad mieszkańców. W gestii samorządu znajdują się wszystkie podstawowe sprawy socjalno-bytowe. Wzorcowo, i to w skali ogólnopolskiej, została rozwiązana sprawa małżeństw studenckich. Buduje się siłami społecznymi boiska, ciągi rekreacyjne, tereny zielone. Natomiast osiedle im. ZWM jest ludniejsze (5 tys. mieszkańców), starsze, o większym zagęszczeniu, lecz z jedną tylko stołówką i świetlicami które imitują kluby. Będąc osiedlem wielouczelnianym, bez centralnego inwestora, przez długi czas sprawiało wrażenie osiedla bezpańskiego. Do czasu jednak aż samorząd studencki otrzymał rangę komitetu osiedlowego FJN, z własnym okręgiem wyborczym. O pracy Komitetu świadczą miejsca w pierwszej trójce w ogólnopolskich konkursach studenckich samorządów i mocny autorytet wśród mieszkańców, zdobyty między innymi dzięki wartościowym akcjom kulturalnym.

— Na obu osiedlach zlokalizowano szereg otwartych obiektów sportowo-rekreacyjnych. Odnoszę wrażenie, że nie zawsze są one w pełni wykorzystywane, choć jak powiedziałeś, buduje się już nowe. Z niedawnych czasów studenckich została mi dość krytyczna ocena wychowania fizycznego wśród młodzieży akademickiej. Zajęcia WF jakże często ograniczały się do „macie piłki i bawcie się".

— Po ubiegłorocznym II Zjeździe naszego Związku przyjrzeliśmy się baczniej tym zagadnieniom. Myślę, że mamy pewne osiągnięcia na polu rekreacji, wypoczynku i turystyki. Natomiast faktem jest, że sport akademicki wyraźnie podupadł. Po prostu nie wytrzymał konkurencji z silniejszymi zamożniejszymi klubami. Uciekli do nich zawodnicy, trenerzy.

— Dla tych ostatnich nie bez znaczenia były lepsze perspektywy materialne?

— Zapewne, ale należy pamiętać, że sportowe wychowanie studentów nie kończy się na cotygodniowym WF, i że obowiązkiem nauczycieli akademickich jest szkolić studentów w ramach AZS. O czym „zapominają", biorąc chałtury w klubach.

— Poruszyliśmy już wiele zagadnień wynikających z prac i zamierzeń łódzkiej organizacji studenckiej Nie może przecież jednak umknąć naszej rozmowie najważniejszy cel Związku, jakim jest polityczne wychowanie nowej polskiej inteligencji. Stwierdziłeś na początku, że najlepszą płaszczyzną konkretyzowania pojęć ideologicznych jest kultura.

— Istotnie, bo właśnie w sferze kultury toczy się walka o socjalistyczną świadomość, o pełny, harmonijny rozwój osobowości młodego Polaka. Nie sposób jednak z nim mówić o sprawach ważnych i trudnych, jeśli, po pierwsze, dokładnie się go nie pozna. Dlatego założyliśmy sobie jak najczęstsze kontakty ze środowiskiem.

— Jak scharakteryzowałbyś więc tego „młodego Polaka" to środowisko, w którym działasz?

— Jest to środowisko, którego nie da się zbyć byle czym. Ma ono duże aspiracje i sporą wiedzę społeczno-polityczną, która jednak domaga się wciąż uzupełnienia i aktualizacji. Nie znaczy to, że tym ludziom brak już teraz krytycznego spojrzenia. Biorąc udział w przedkonferencyjnych spotkaniach z satysfakcją stwierdziłem, że studenci podnoszą trudne tematy z coraz większą odpowiedzialnością. Różnice w stopniu dojrzałości politycznej i obywatelskiej są nawet w porównaniu ze stanem sprzed 2—3 tylko lat bardzo wyraźne. Przypadki infantylizmu w myśleniu rzadkie.

— Stawia to przed Związkiem jeszcze większe wymagania, choć w pogłębionym podejściu do wielu spraw, w coraz dojrzalszej ideowej świadomości studentów widzę efekty konkretnych działań Związku.

— Odeszliśmy od abstrakcyjnych dywagacji, zbliżając informacje do życia. Sądzimy, że jej najlepszym źródłem są spotkania z ludźmi, którzy taką informację — pogłębioną i skomentowaną mogą zapewnić. Pod znakiem tego typu spotkań i dyskusji przebiegły obozy szkoleniowe aktywu w Soczewce koło Płocka i w Kotlinie Kłodzkiej.

— Masz na myśli obozy wakacyjne, które obejmują jednak tylko niewielki krąg ludzi. Jaką natomiast informacją polityczną służy organizacja najszerszym rzeszom swoich członków? Nie zapominajmy, że jest to spora armia ludzi. Na około 20,5 tys. studentów, na studiach stacjonarnych, ok. 16,5 tys. to członkowie SZSP, czyli około 70 procent.

— Nie zapominamy o tym by informacja polityczna, społeczna i gospodarcza docierała do rzesz studentów szeroko również w trakcie roku akademickiego. Refleksji sprzyjają choćby Kluby Myśli Politycznej w AM i Klub Wiedzy Politycznej przy ul. Lumumby. Liczymy na aktywność ekonomistów z instytutu UŁ. Uważamy, że atrakcyjną szansę pogłębienia refleksji ideowej czy obywatelskiej stwarza upolityczniony teatr, nie tylko zresztą studencki, czy trwający właśnie Rok Kulturalny.

— Dobiegł on już półmetka. Jak oceniasz obecność łodzian w ruchu kulturalnym wywołanym Festiwalem?

— Formuła VI Festiwalu Kultury Studenckiej nie ma nic wspólnego z Sopotem czy nawet studencką „FAMĄ". Co prawda nie brak Festiwalowi imprez o charakterze ogólnopolskich sprawdzianów, konkursów i konfrontacji (dwie z nich: Spotkania Teatralne i festiwal jazzowy odbędą się w Łodzi), ale pod hasłem wywoławczym „festiwal" kryje się przede wszystkim postulat zintensyfikowania działań upowszechnieniowych i popularyzatorskich. Zadaniem Związku staje się zaś zwiększenie opieki nad wszelkimi interesującymi debiutami artystycznymi, ideologiczny, organizacyjny i finansowy mecenat nad artystycznym „pokoleniem, które wstępuje".

— W marcu 1978 minie rok od pamiętnego IV Plenum ZŁ SZSP, na którym z inicjatywy nowo obranego Zarządu, zatwierdzona została uchwała „O dalszy rozwój kultury studenckiej w środowisku łódzkim".

— Uważam, że rok dzielący nas od tamtej uchwały przyniósł pewne sukcesy. Coraz większy jest udział w naszych poczynaniach studentów łódzkich szkół artystycznych. Ujawniło się wielu studentów piszących, śpiewających (wykonawców piosenki literackiej skupiło Studio Piosenki), kilkanaście małych grup teatralnych, a ostatnio grupa fotografików i plastyków.

— Od ponad roku słyszy się o próbach skupienia najciekawszych ludzi i zespołów w Akademickim Ośrodku Kultury. O ile mi wiadomo, znajduje się on wciąż w fazie przygotowań?

— Zakończył się remont i wystrój sal klubu „77". Nadal trwają prace remontowo-adaptacyjne w piwnicach budynku. Wierzę, że od 1 maja prace te się zakończą i otworzą podwoje: sala teatralna, kameralna i kabaretowa, pracownie i kawiarnia. Dalsze powiększenie bazy AOK będzie możliwe dopiero po przejęciu przez Zarząd Łódzki od MPK budynku w podwórzu przy ul. Piotrkowskiej 77. W opuszczonych przez ZŁ salach pałacyku znalazłyby wówczas miejsce: sala prób dla teatru Studenckie Stowarzyszenie Jazzowe, Studio Piosenki, Centrum Kultury Filmowej i Galeria Wystawowa Studentów PWSSP. Z postępów w dziedzinie kultury jesteśmy najbardziej zadowoleni. Jej rozwój nie jest może błyskotliwy, opory napotykamy szczególnie w tworzeniu bazy, ale jest to rozwój konsekwentny. Zgodny z wcześniej przyjętymi założeniami, z programem, w którym tak wiele miejsca poświęciliśmy przełamywaniu barier konsolidacji twórców, tworzeniu modelu animatora kultury i ideowo-artystycznemu mecenatowi.

Foto: Archiwum

Rozmawiał:
TOMASZ SOLDENHOFF

LEONID I. BREŻNIEW

MAŁA ZIEMIA

Publikujemy następny fragment wspomnień Sekretarza Generalnego KC KPZR, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, marszałka Związku Radzieckiego, LEONIDA ILJICZA BREŻNIEWA. Wspomnienia te dotyczą walk toczących się w Zatoce Cemesskiej na Morzu Czarnym w 1943 roku.

Przekładu dokonał Eugeniusz Iwanicki, według tekstu zamieszczonego na łamach „Litieraturnoj Gaziety".

3.

Tak więc nadeszła noc desantu. Dobrze pamiętam nastrój panujący na przystani. Nie widziałem ani jednej chmurnej twarzy. Twarze były raczej wesołe, malowała się na nich niecierpliwość. Marynarze biegając, ciągali skrzynie i krzyczeli: „Połundra!" Pamiętam, zapytałem kogoś:

— Co to znaczy — połundra?

Wyjaśniło się, że to znaczy — uwaga. W taki oto sposób poznałem znaczenie tego słowa.

Noc z 3 na 4 lutego 1943 roku była bardzo ciemna. Kutry cicho odeszły wraz z desantem z Gelendżiku ku Zatoce Cemesskiej. Stamtąd, z rubieży rozwinięcia na sygnał rakiet rzuciły się ku brzegowi. Jednocześnie, po nabrzeżnym pasie, uprzednio wstrzelonym, uderzyła nasza artyleria. W huk wybuchów wdarły się ogniste salwy katiusz (po raz pierwszy w czasie wojny na trałowcu „Skubria" została zmontowana wyrzutnia rakietowa). Dwa kutry torpedowe na dużej szybkości przecięły drogę okrętom desantowym, stawiając zasłonę dymną i zakrywając je w ten sposób od ognia z brzegu. Kuter strażniczy uderzył w rejon przetwórni rybnej, dławiąc punkty ogniowe przeciwnika, ocalałe po przygotowaniu artyleryjskim. W chwili, gdy kunikowcy rzucili się na brzeg, nasze baterie przeniosły ogień w głąb.

Na wojnie nie wszystko idzie zgodnie z planem. Często bitwy rozwijają się zupełnie inaczej, niż zostało to nakreślone na mapach sztabowych. A wówczas bezcenna staje się odwaga, wierność i inicjatywa każdego dowódcy i pracownika politycznego, każdego żołnierza i marynarza. Historycy wojenni wiedzą, że była przeprowadzona próba zajęcia przyczółka także w innym miejscu — 30 kilometrów stąd, w rejonie Południowej Ozierejki. W rzeczywistości był tam skierowany główny desant, lecz przeszkodził sztorm, nie pozwalający okrętom wyjść w morze, za późno przybyły też na pozycje wyjściowe jednostki lądowe. A zryw kunikowców, niespodziewany dla nieprzyjaciela, zakończył się pełnym sukcesem, co natychmiast zostało przez nas wykorzystane.

Pozorowany desant zamienił się w pomocniczy, a następnie stał się głównym. Od niego rozpoczęła się epopeja Małej Ziemi. Przedarłszy się przez zaporę ogniową, nasz oddział szturmowy zdążył zająć niewielki, lecz bardzo ważny kawałek brzegu w rejonie przedmieścia Noworosyjska — Staniczki. Zabito około tysiąca faszystów, wzięto cztery działa, z których natychmiast skierowano ogień na wroga. Po półtorej godzinie wylądowała tu druga grupa desantowa, następnie jeszcze jedna — w sumie 800 ludzi.

Na miejsce lądowania desantu przeciwnik rzucił nowe siły, bombarowało faszystowskie lotnictwo, w przyczółek zaczęła bić ciężka artyleria, jeden za drugim szły rozpaczliwe kontrnatarcia. Ale było już za późno: desantowcy zdążyli się umocnić. Zajęli kilka dzielnic Staniczek oraz tory kolejowe na przestrzeni trzech kilometrów. I choć straty były poważne, nie cofnęli się ani o krok. Żołnierze i marynarze zostali wierni przysiędze, wiedzieli, że trzeba utrzymać się, aż nadejdą główne siły, jeszcze czuli w sobie radosne uniesienie z udanego desantu. Takich ich zapamiętałem.

W ciągu kilku nocy na przyczółku wylądowały dwie brygady piechoty morskiej i brygada strzelców, pułk artylerii przeciwlotniczej oraz inne jednostki. Po pięciu dniach, w rejonie Staniczek i Myschako znajdowało się już 17 tysięcy żołnierzy z automatami i miotaczami min, działami i rusznicami. Następnie na Małej Ziemi wylądowało pięć oddziałów partyzanckich — „Za Ojczyznę", „Burza", Nord-Ost", „Nowy" i „Jastrząbek".

Przy okazji chcę powiedzieć parę ciepłych słów o partyzantach. Jeśli ktoś sądzi, że są to pewne odosobnione grupy, działające na tyłach wroga, to się myli. Wiele oddziałów tworzyło się samorzutnie, ale posiadały Sztab Centralny, kierowany przez partię, a także dokonywały poważnych operacji wojskowych w myśl zaleceń dowództwa wojsk regularnych. Tak też było i na Małej Ziemi, gdzie wszystkimi pięcioma oddziałami dowodził sekretarz Noworosyjskiego Komitetu Miejskiego Partii, P.I. Wasiew, współpracujący z naszym sztabem.

Ogólnie rzecz biorąc, desant na Małą Ziemię może stanowić przykład sztuki wojennej. Sukces lądowania pierwszego oddziału szturmowego, operacyjne skupienie sił, ruch pułków i korpusów po umocnionym, zaminowanym brzegu — wszystko to wymagało dokładnego współdziałania piechoty, oddziałów saperskich, marynarzy, artylerzystów. Ani na jedną, nawet najmniejszą pomyłkę, nie m ogli pozwolić „bogowie wojny": w wielu miejscach nasze nie mogli sobie pozwolić „bogowie wojny": w wielu miejscach nasze oddziały zbliżały się do nieprzyjaciela na odległość rzutu granatem. Jeszcze trudniej mieli lotnicy. Pamiętam, przed nalotem naszych samolotów żołnierze wykładali na przedpiersie okopów, podkoszulki, by w ten sposób określić swoje przednie pozycje.

Trzeba przyznać, że znajdowaliśmy się w wyjątkowo niewygodnym położeniu geograficznym. Mieliśmy wąski pas brzegu — długi, goły i równy — a Niemcy wszystkie wzniesienia, las. Może ktoś zapytać, jak to się stało, że ludzie przeżyli, jeśli spadały na nich setki ton śmiercionośnego metalu, jeśli siły przeciwnika wielokrotnie przewyższały nasze, jeśli z dookolnych gór wróg widział Małą Ziemię jak na dłoni? Wszystkiemu temu przeciwstawiliśmy doświadczenie, zimną krew, kalkulację i codzienny wysiłek.

W owym czasie dobrze zrozumiałem, że wojna — to przede wszystkim tytaniczny wysiłek. Wysiłek wczorajszych: hutników, ślusarzy, górników, rolników, kombajnistów, koniuszych, budowniczych, stolarzy. Wysiłek narodu, który przywdział mundur. Wykazanie nie tylko oddania i odwagi, ale i ogromnej wytrzymałości, uporu, umiejętności, wprawy. W istocie cała Mała Ziemia zmieniła się w podziemną twierdzę. 230 bezpiecznie ukrytych punktów obserwacyjnych stały się jej oczami, 500 stanowisk ogniowych — jej pancernymi pięściami, stworzono wielokilometrowe rowy łączności, tysiące gniazd karabinowych, okopów, szczelin. Konieczność zmusiła do przebicia chodników w skalnym gruncie, wybudowania podziemnych magazynów na amunicję, podziemnych szpitali, podziemnych elektrowni. Konieczność zmusiła — choć to niełatwe — do poruszania się jedynie transzejami, bo przecież wystarczyło się wychylić — i koniec. Wszyscy siedzieli tam długo, toteż kiedy faszyści zaczęli się cofać, niektórzy żołnierze zapadli na „chorobę siedzącą" — jak ją nazywaliśmy.

Wojska inżynieryjne wykazywały zadziwiającą pomysłowość. Leje po wybuchach, które raczej można by określić jako wykopy, saperzy połączyli transzejami i zamienili w schrony. Na wąskim skrawku Małej Ziemi stworzono trzy linie obrony w odległości jednego kilometra jedna od drugiej. Wzdłuż każdej z nich — pola minowe. Punkt dowodzenia desantu, wryty w skałę na głębokość 6 i pół metra, mógł niepostrzeżenie, rowami łączącymi, przerzucać wojska tam, gdzie powstało zagrożenie.

W rejonie Staniczek nie mieliśmy praktycznie pola neutralnego: przeciwnik znajdował się o 15—20 metrów od naszych pozycji. Ale przychodząc tam, widziałem, że przedni skraj — skraj nieustannego alarmu i niebezpieczeństwa — był gęsto zaminowany i opasany zasiekami. W czasie swojej pracy saperzy nieraz musieli podejmować walkę wręcz.

Umocniony przyczółek stał się swego rodzaju miastem-twierdzą. Powstały nawet ulice: Szpitalna, Saperska, Piechoty, Marynarska. Nie było na nich domów i nie wiadomo, kto wymyślił te nazwy, ale nie były to nazwy przypadkowe. Dla przykładu: Saperska — to parów odsłonięty od ognia, a Szpitalna — pagórkowaty teren, na wylot przestrzelany, skąd ludzie często trafiali do szpitala. Umocnienia były budowane pod ostrzałem, nie było maszyn ani materiałów budowlanych, mimo to nasi okopywali się z dużą pomysłowością; zadomowiali się w ziemi gruntownie, po gospodarsku, tak, by stąd już nie odejść. Każdego, kto budował tę twierdzę, można uznać za bohatera.

Szczególnie serdecznie wspominam starszych wiekiem saperów. Nie wysyłano ich, by na oczach wroga zakładali zapory minowe, „staruszkowie" zajmowali się — wydawać by się mogło — najbardziej pokojowym zajęciem: parę kilometrów od Gelendżika, w pobliżu Dżanchota, rąbali las, wiązali drzewa w tratwy i nocami dostarczali na Małą Ziemię. Ale jak dostarczali! Ciemnych nocy nad Zatoką Cemesską, jak wspomniałem, nie widzieliśmy. Do bezbronnych tratw zaczynała strzelać artyleria. Saperzy nie mogli odpowiadać na ogień, ani manewrować swoim niezwrotnym ładunkiem. Złazili więc do zimnej wody i uczepiwszy się bierwion kontynuowali swoją podróż. Jeśli w tratwę trafiał pocisk, saperzy ściągali pływające luzem pnie, aby nie utracić drogocennego drzewa. Jeśli tonął holownik, rakietami podawali umowne sygnały, czekając, aż zjawi się jakaś łódź motorowa. Oto, jacy byli ci „staruszkowie".

Dowódca Wydziału Politycznego 18 Armii, Leonid Iljicz Breżniew, na bojowych pozycjach 107 Samodzielnej Brygady Strzeleckiej na cyplu Myschako — Mała Ziemia pod Noworosyjskiem.

Na zdjęciu od lewej: dowódca Wydziału Politycznego 107 Samodzielnej Brygady Strzeleckiej, P.T. Szatalin, zastępca dowódcy 16 Korpusu Strzeleckiego d/s Politycznych, P.A. Sztachanowski, L. I. Breżniew, stoją: zastępca dowódcy 107 Samodzielnej Brygady Strzeleckiej d/s Politycznych W. W. Kabanow, dowódca Wydziału Politycznego 16 Korpusu Strzeleckiego, P.P. Konowalenko oraz redaktor gazety armijnej „Znamia Rodiny", W. I. Wierchowski. (kwiecień 1943 rok).

Fotokronika TASS

Czytelnik może odnieść wrażenie, że tysiące ludzi na przyczółku żyło wyłącznie atakami, bombardowaniem, walką wręcz. Nic podobnego, w ciągu długiego okresu czasu ukształtowało się tu życie, w którym znalazło się miejsce na to wszystko, czym zazwyczaj żyje człowiek. Czytano i wydawano gazety, odbywały się zebrania partyjne, obchodzono święta, słuchano wykładów. Zorganizowano nawet turniej szachowy. Występowały zespoły pieśni i tańca armii lądowej i floty. Pracowali artyści-plastycy: B. Prorokow, W. Cigal, P. Kirpiczew, którzy stworzyli wielką galerię bohaterów obrony.

Pamiętam przyjazd do nas brygady KC. Ludzie ci znaleźli się tu po raz pierwszy, więc poprosili mnie, bym ich poznał z żołnierzami Małej Ziemi. Popłynęliśmy tym razem kutrem torpedowym. Ledwo odbiliśmy, nasi wystrzelili rakietę. Był to sygnał: swoi czy nieprzyjaciel. A Niemcy kiedy podpływaliśmy na miejsce, walili bez przerwy. Ich działa biły stromotorowo. Toteż należało przycisnąć się do brzegu, przepłynąć jego skrajem. Ponownie wybuchały pociski, zupełnie blisko nas. Jeśli się nie wie, że to w ciebie, wówczas widok jest wspaniały. Na przyczółku była ustawiona, podobna do Car-dzwonu, bateria dalekiego zasięgu. Ją to mieszkańcy Małej Ziemi zamienili w punkt dowodzenia. Musieliśmy, ciągle pod obstrzałem, dostać się do niego; ja byłem do tego przyzwyczajony, lecz dla gości — myślę — było to wielkie przeżycie. Zapamiętałem wynurzającego się z ciemności marynarza, dźwigającego jakiś ciężar.

— Pomóż mi, braciszku — poprosił — niosę dla wszystkich.

Kiedy dziś, po upływie jednej trzeciej wieku, wspomina się o tym, co było udziałem żołnierzy, dowódców, pracowników politycznych naszej armii, nie chce się wierzyć, że wszystko to się zdarzyło, że można było to przetrzymać. Jednak wytrzymali. Wytrzymali wszyscy, przeszli przez to wszystko i zwyciężyli, rozgromili faszystów.

Tego dnia, przywożąc na Małą Ziemię nowych ludzi, którzy przybywali z Moskwy, jakoś inaczej spojrzałem na to co było już opatrzone i znajome. Widziałem to wszystko już wcześniej, lecz nagle z o b a c z y ł e m: nieustanne, śmiertelne zagrożenie, i trudności nie do zniesienia, i bezgraniczne bohaterstwo naszych żołnierzy.

Bywało oczywiście bardzo ciężko. Byliśmy odcięci od Wielkiej Ziemi. Brakowało soli, zdarzały się kłopoty z chlebem. Całe poddziały były wysyłane do lasu po dziki czosnek. W „katakumbach" była wilgoć, nocami żołnierze marzli i pracownicy oddziału politycznego musieli troszczyć się o opał, sprowadzać „kanonki", zbierać drewno na opał. A jednak Mała Ziemia pozostała ziemią radziecką, a ludzie pozostali ludźmi. Ludzie snuli plany, żartowali, śmiali się, świętowali nawet dni urodzin. Na przykład 15 lutego, tzn. na jedenasty dzień po pierwszym desancie, jeden z desantowców Szałwo Tataraszwili ukończył 23 lata. Jego nieodłączny towarzysz, Piotr Wiereszczagin, dał mu w podarunku 23 naboje z własnego magazynku. Był to najcenniejszy prezent, bowiem brakowało amunicji, a oczekiwano kolejnego ataku wroga.

Wiele rzeczy w tym życiu ocierającym się o śmierć, na pierwszy rzut oka nie pasowało do wojny. Pewnego razu szef oddziału politycznego 225 brygady piechoty morskiej, I. Dorofiejew, doliczył się w brygadzie 15 deputowanych rad miejskich, rejonowych i wiejskich. Postanowiono zwołać sesję. Jakie tu można było rozpatrywać problemy? Te same, co w czasie pokoju: potrzeby ludności, usługi. Jako pierwsza zapadła decyzja o budowie łaźni. Zbudowano ją! Jak to się mówi, w czasie wolnym od pracy postawili wspaniałą łaźnię. Mnie także do niej zaprosili. Była niewielka, lecz parę trzymała dobrze. Wysoko ceniono na Małej Ziemi spryt, przedsiębiorczość, dowcip. A ludzi zdolnych było wielu. Pamiętam, jak pewien sprytny chłopak, wysłany po coś do Gelendżika, znalazł w górach bezdomną, wałęsającą się krowę. Postanowił dostarczyć ją na Małą Ziemię. Przygnał ją na przystań i prosił dowódcę łodzi motorowej, by ten wziął ją na pokład. Wszyscy wkoło się śmiali, ale myśl się spodobała: dla rannych będzie mleko. Krowę dostarczono całą i zdrową. Schowano ją w bezpiecznym miejscu, mleko odstawiano do szpitala, który znajdował się w piwniczy byłego sowchozu produkującego wino.

Rzecz tu jednak nie tylko w mleku. Krowa dostarczyła dużo radości ludziom, szczególnie tym, co na wojnę przyszli ze wsi. Po każdym ostrzale artyleryjskim lub bombardowaniu żołnierze biegli dowiadywać się, czy Krasula jest cała, czy nie zraniona i czule gładzili ją po pysku. Niełatwo to wszystko wytłumaczyć, lecz pojawienie się typowo pokojowego stworzenia w warunkach ogromnego napięcia pomogło ludziom utrzymywać równowagę ducha. Przypominało, że powrócą wszystkie radości, że życie trwa i trzeba tylko umieć je obronić.

Piękny upominek otrzymali obrońcy Małej Ziemi z okazji 1 Maja 1943 roku. Gdy się rozwidniło, ludzie wydali aż okrzyk podziwu i zaczęli się radośnie uśmiechać. W nocy, w różnych miejscach na terenie rozlokowania brygady żołnierze zatknęli czerwone sztandary. Rano ujrzeli je wszyscy, nie wyłączając oczywiście Niemców.

Pamiętam, jakie wstrząsające wrażenie w czasie wyświetlenia czarno-białego filmu, wywołało pojawienie się na ekranie czerwonej flagi w filmie „Pancernik Potiomkin". Tu, na Małej Ziemi, zrytej bombami i pociskami, usianej odłamkami, spalonej i skrwawionej, będącej w okrążeniu wroga, z.tknięte sztandary wszystkich dosłownie oszołomiły. Zgiełk rozentuzjazmowanych głosów przetoczył się nad tą udręczoną ziemią. Ten widok był drogi dla każdego. Po pierwszych uniesieniach wszystkich ogarnęła radość. Śmiano się ze szczęścia i w poczuciu własnej siły: „Patrz, przeklęty faszysto! Masz! Spróbuj go ugryźć!".

4.

Walki kwietniowe, jakie nastąpiły po pamiętnej przeprawie, kiedy to odbyłem przymusową kąpiel, należały do najcięższych na Małej Ziemi. O nich teraz opowiem.

Przygotowana przez faszystów operacja „Neptun" powinna była zlikwidować nasz przyczółek. W tym celu została utworzona specjalna grupa uderzeniowa Wetzla w sile 27 tysięcy ludzi, wspie-

Foto: Archiwum

rać ją miało 1200 samolotów, setki dział i moździerzy. Była planowana także operacja od strony morza, pod niemniej wymownym kryptonimem „Box". Do grupy „Box" włączono flotyllę kutrów torpedowych i łodzi podwodnych. Spoczywało na nich zadanie przecięcia naszych morskich linii komunikacyjnych i zniszczenie radzieckiego wojska w momencie, kiedy zostanie zepchnięte do morza. Tak to sobie wykalkulowali. Walki na Małej Ziemi, rozpoczęte 17 kwietnia, przybierały na sile. Każdego dnia nieprzyjaciel wprowadzał uzupełnienia. Wczesnym rankiem rozpoczynały ogień jego ciężkie baterie. Jednocześnie na niebie pojawiały się samoloty. Dosłownie wisiały nad nami, nadciągały falami po 40 — 60 maszyn, rzucając bomby na całą szerokość obrony całego frontu. Tuż za nimi szły nurkowce — także falami, potem samoloty szturmowe. Trwało to całymi godzinami, po czym następowały ataki czołgów i piechoty.

Faszyści atakowali dufnie, licząc, że w spowijającym Małą Ziemię dymie nie może pozostać żadna żywa istota. Ataki te trafiały na zacięty opór i wróg wycofywał się, pozostawiając setki zabitych. Wówczas wszystko rozpoczynało się od początku. Znów waliły ciężkie baterie, znów wyły pikujące bombowce nurkujące, srożyły się szturmowce. Powtarzało się to kilka razy w ciągu dnia.

Lotnictwo bombowe i szturmowe działało pod osłoną myśliwców. W związku z ogromną przewagą nieprzyjaciela w powietrzu nasze myśliwce, choć zadawały mu ciosy, jednak nalotów bombowych nie były w stanie powstrzymać. Radzieckie bombowce nad pozycjami wroga nie pojawiały się, co nieprzyjacielowi umożliwiało dokonywanie przegrupowań i przygotowanie się do ataku. Trwało to przez trzy dni, do 20 kwietnia. Był to termin, na który niemiecko-faszystowskie dowództwo planowało ostateczne rozgromienie obrońców Małej Ziemi.

Postanawiając zepchnąć nas do morza, Hitler na tym odcinku frontu postawił wszystko na jedną kartę. Sytuacja stała się trudna. Wówczas do obrońców Małej Ziemi został skierowany przez Radę Wojenną — a praktycznie przeze mnie — list-odezwa. Przekazywano ją z okopów do okopów, ze schronów do schronów. Ludzie własną krwią składali pod nią swoje podpisy. Jeden taki egzemplarz przesłałem J. W. Stalinowi, by mu uzmysłowić, jak walczą żołnierze.

„Zdobyty przez nas na wrogu skrawek ziemi pod Noworosyjskiem — mówiło się w odezwie — nazwaliśmy Małą Ziemią. Choć w istocie jest ona mała, ale jest nasza, radziecka i została zroszona naszym potem, naszą krwią. I dlatego nigdy nie oddamy jej żadnemu wrogowi... Przysięgamy na nasze bojowe sztandary, na nasze żony i dzieci, na naszą ukochaną Ojczyznę, że wytrwamy w oczekujących nas zmaganiach z wrogiem, złamiemy jego siłę i oczyścimy Tamań od faszystowskich szubrawców. Zmienimy Małą Ziemię w ogromny grób hitlerowski!"

Pierwszego dnia faszystowskiego natarcia otrzymaliśmy kategoryczną dyrektywę z Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa, by za wszelką cenę utrzymać przyczółek. Widząc w nim klucz do wyzwolenia Półwyspu Tamańskiego, Kwatera Główna przywiązywała do niego duże znaczenie, śledząc uważnie przebieg walk.

18 kwietnia, do sztabu Frontu Północnokaukaskiego, dowodzonego przez gen. pułkownika I. J. Pietrowa, wyleciała grupa przedstawicieli z Kwatery Głównej z marszałkiem K. F. Żukowem na czele. Tego samego dnia, wspólnie z komisarzem ludowym marynarki wojennej, N. G. Kuzniecowem i dowódcą wojsk lotniczych A. A. Nowikowem przybyli oni do sztabu 18 armii desantowej. Zawiadamiając mnie o tym, jeden z pułkowników sztabowych, przybyłych na Małą Ziemię, dodał:

— Marszałek chce się z wami zobaczyć.

— Czy to rozkaz? — zapytałem.

— Takiego rozkazu mi nie przekazał — odpowiedział pułkownik — ale powiedział, że chciałby z wami porozmawiać.

Mówiąc szczerze, ja także pragnąłem porozmawiać: wszystkich nas niepokoiła przewaga przeciwnika w powietrzu. Swój punkt widzenia na tę sprawę wyłożyłem naszemu dowódcy, Konstantemu Nikołajewiczowi Leselidze zaraz w pierwszym dniu niemieckich ataków. Stanowczo domagałem się wsparcia naszego lotnictwa. Rozmawiałem o tym również z członkiem Rady Wojennej, Siemionem Jefimowiczem Kołoninem, do którego zawsze żywiłem szacunek. Obydwaj byli śmiałymi, pryncypialnymi, doświadczonymi ludźmi, obydwaj zgadzali się ze mną, toteż liczyłem na to, że o sytuacji w powietrzu zameldują Żukowowi. Ja sam nie powinienem raczej w trudnej sytuacji opuszczać przyczółka. Tak też postąpiłem: pozostałem z żołnierzami na Małej Ziemi.

Jak później wspominał w swoich pamiętnikach, G. K. Żukow: „Wszystkich nas w owym czasie niepokoił jeden problem — czy żołnierze radzieccy wytrzymają próbę, jaką przypadła im w udziale w nierównej walce z wrogiem, który każdego dnia i nocy dodokonywał nalotów i prowadził nieprzerwany ogień artyleryjski na pozycje na przyczółku". Dalej, marszałek pisał, że chciał poznać moją opinię na ten temat: czy nasi żołnierze wytrzymają to piekło chociaż dzień, dwa, bowiem Kwatera Główna już podjęła ważne kroki, by nam pomóc.

Rzeczywiście, po dwóch dniach sytuacja diametralnie się zmieniła. Jeden za drugim przybyły trzy korpusy lotnicze z rezerwy Kwatery Głównej. Od razu wchodziły do walki. Przede wszystkim czerwonogwiezdne myśliwce osłoniły niebo nad Małą Ziemią. Gęsto zaczęły padać bomby na bojowe szyki wroga. Teraz walka toczyła się równymi siłami w powietrzu, a z czasem przewaga okazała się po naszej stronie, gdyż pilotom udało się zbombardować kilka nieprzyjacielskich lotnisk.

Trudno mi opisać, co działo się na niebie. Gdziekolwiek spojrzeć — pojedynczo bądź kluczami — zbierały się, zwierały się w śmiertelnych walkach nasze i niemieckie samoloty. Czarne pióropuszce dymu strąconych maszyn, przecinając się wzajemnie, waliły się ku ziemi. W ciągu trzech dni walk nasi piloci strącili nad Małą Ziemią 177 nieprzyjacielskich samolotów. O tych zaciętych zmaganiach szczegółowo opowiedział w swojej książce ich bezpośredni uczestnik, A. I. Pokryszkin.

Na naszym przyczółku decydowały się losy Noworosyjska i Tamania, toteż niemieckie dowództwo rzucało na pierwszą linię coraz to nowe i nowe jednostki. Osiem dni i nocy, jak w jakimś koszmarnym śnie, walczyli obrońcy Małej Ziemi, dopóki nie wyczerpały się siły wroga, dopóki resztki nieprzyjacielskich wojsk nie odpełzły na swoje pozycje wyjściowe. Jednakże kulminacyjny moment walk nastąpił 20 kwietnia 1943 roku i — co jest dość dziwne — dzień ten kojarzy mi się z pewnym zabawnym zdarzeniem.

Dowódcą naszego oddziału politycznego 225 brygady piechoty morskiej był M. K. Widow, walczący mądrze, chwacko, mający duży wpływ na żołnierzy, a na każdą uwagę dowódcy, by bez potrzeby nie ryzykował własnym życiem, odpowiadał: „Jestem komisarzem a nie zmokłą kurą!" Otóż w nocy z 19 na 20 kwietnia Michaił Kapitonowicz zebrał pracowników partyjno-politycznych, podsumował rezultaty walk, a później zapytał, czy wiedzą, dlaczego z taką wściekłością nacierają faszyści. Dlatego — odpowiedział sam sobie — że jutro przypada rocznica urodzin führera. Chcą skończyć z nami i zrobić mu z tego prezent. Dobrze by było i nam uczcić tę datę.

Dopóki omawiano różne propozycje, mało komu znany jeszcze wówczas malarz, Borys Prorokow, naszkicował rysunek, który natychmiast zaakceptowano. W ciągu nocy, narysował na prześcieradle monstrum podobne do świni, uciekające z Kaukazu. Świnia miała znane wszystkim wąsiki i loczek. — karykatura Hitlera udała się znakomicie. Prześcieradło umocowano na ramie, podparto wspornikami i ustawiono w strefie neutralnej, w miejscu dobrze widocznym.

Rano, 20 kwietnia, ze wszystkich okalających gór, ze wszystkich swoich pozycji hitlerowcy ujrzeli to powinszowanie. Jak można było przypuszczać, Niemcy nie odważyli się strzelać do swojego führera. Minęło sporo czasu, nim zadecydowali, co mają robić. W końcu, do ramy, z trzech stron zaczęli pełznąć faszyści. Ponieważ miejsce było przez nas dobrze wstrzelone, połowa pełznących poległa, pozostali zaczęli się wycofywać. Powtarzało się to trzykrotnie w ciągu dnia, aż do „urodzinowego prezentu" otworzyła ogień ich artyleria. „Przyłóż mu! Wal w niego!" — zaśmiewali się żołnierze.

Foto: Archiwum

Śmiech to groźna siła, świadectwo optymizmu, oznaka zdrowia psychicznego ludzi. Po odparciu przez nas kolejnego natarcia szedłem transzeją z Dorofiejewem. I znowu koło stanowiska ogniowego usłyszeliśmy śmiech. Podeszliśmy: okazało się, że przeprowadzał tam gawędę młodziutki podoficer-agitator.

— Towarzyszu dowódco, podsumowujemy wnioski wynikające z walki — zameldował.

— Jakież są te wnioski?

Stłoczeni wokół karabinu maszynowego żołnierze zaczęli zachęcać podoficera: „Opowiedz, opowiedz". Ten początkowo speszył się, ale pod wpływem kolegów nabrał odwagi:

— Hitler przechwalał się, że dziś zepchnie nas do morza. Na przykładzie naszej ukraińskiej bajki powiedziałem, co mu z tego wyszło. Oto, poszedł na polowanie, zabił niedźwiedzia, zdarł skórę z lisa, przyniósł do domu zająca, matka zarżnęła kaczkę i ugotowała kisiel. Spróbował, a kisiel gorzki.

Wspólnie z żołnierzami z przyjemnością słuchałem tego wesołego chłopaka. Jego niewymyślna bajka na dobrą sprawę znaczyła w tym momencie więcej i oddziaływała mocniej, aniżeli najbardziej poważna analiza przebiegu działań wojennych. Było to tym ważniejsze, że dzień ten, powtarzam, okazał się najcięższy ze wszystkich, jakie przeżyliśmy na Małej Ziemi.

Płonęła ziemia, dymiły kamienie, topił się metal, kruszył beton, lecz ludzie, wierni złożonej przysiędze, nie cofnęli się o krok z tej ziemi. Kompanie wytrzymywały napór batalionów, bataliony pokonywały pułki. Rozgrzewały się lufy karabinów maszynowych, ranni, odepchnąwszy sanitariuszy, rzucali się z granatami na czołgi. W walkach wręcz walczono kolbami i nożami. I ciągle wydawało się, że bitwa nigdy się nie skończy. Tam, gdzie wszystko dookoła było pokryte trupami nieprzyjaciela, zjawiały się nowe tyraliery. Niszczono je, lecz na nowo i na nowo pojawiały się szarozielone sylwetki. Nic w tym dziwnego, że w czasie kolejnego ataku jednemu z żołnierzy 8 gwardyjskiej brygady strzelców wyrwało się: „Cóż to, wyrastają spod ziemi?"

Tego dnia hitlerowcy mieli znaczną przewagę sił, ponosiliśmy ogromne straty i nieraz pojawiała się u mnie myśl: ilu jeszcze naszych chłopców legnie na tej ziemi? Ilu z nich nigdy nie powróci do domów? Uczucie żalu to na wojnie sprawa złożona. Wojna jest okrutna i śmierć podczas niej jest nieunikniona. Pożałujesz jednego, musisz w to miejsce wysłać drugiego. Moralne usprawiedliwienie jest jedno — być razem z żołnierzami w najcięższych chwilach, doświadczać tych samych niebezpieczeństw, co on. I robić wszystko, co tylko można, by ich uchronić od niepotrzebnego ryzyka, ulżyć ich ciężkiej doli.

Pośród ocalałych dokumentów z lat wojennych zachowała się dyrektywa, pod którą widnieje mój podpis. Wysłano ją do wszystkich organów partyjno-politycznych, do każdego pracownika politycznego w okresie dużo późniejszym, w końcu 1943 roku, w czasie walki pod Kijowem. Ale to, co wówczas napisałem, było dla mnie najważniejsze w ciągu całej wojny.

„Przejawiajcie nieustanną troskę o zachowanie sił i zdrowia żołnierzy. Regularne dostarczanie im gorącej strawy i wrzątku winno być nienaruszalną regułą. Należy zapewnić surową kontrolę, by wszystko, co państwo przeznacza dla żołnierzy i oficerów, docierało do nich w całości. Ludzi przejawiających beztroski i bierny stosunek do tej sprawy należy pociągać do surowej odpowiedzialności. Wyjątkową uwagę należy poświęcić pracy służb sanitarnych. Wydziały polityczne związków taktycznych winny wyznaczyć specjalnych pracowników odpowiedzialnych ze ewakuację rannych z pola walki i okazanie im na czas pomocy medycznej".

Dzisiaj, po upływie wielu lat od tamtych walk, wśród wielu spraw jesteśmy nadal zobowiązani pamiętać o tych, którzy przeszli przez wojnę. Otoczyć ich troską i opieką, pomagać im w ich sprawach bytowych — to moralny obowiązek organów władzy, wszystkich obywateli, to nakaz całego naszego życia. (cdn)

cdn.

Foto: Archiwum

KRZYWA W PIONIE

Najpierw całe lata kabaret był w Łodzi całkowicie nieobecny, nie licząc komercjalnych prób przypadkowych zespołów w przypadkowych kawiarniach. Mówiło się nawet, że w Łodzi „nie ma klimatu" dla ostrego, społeczno-politycznego kabaretu. Okazało się jednak, że był i klimat, byli potencjalni aktorzy, autorzy i animatorzy — tylko brak było wiary w powodzenie.

Nie licząc sympatycznego, ale raczej liryczno-poetyckiego niż satyrycznego „Show Henryka Czarneckiego", pierwszym z prawdziwego zdarzenia kabaretem ostatnich lat jest „Wielki szpan" Estrady Łódzkiej, o którym pisaliśmy tydzień temu.

Prawie natychmiast po nim wystartował kameralny zespolik **Domu Środowisk Twórczych** z programem **„Krzywa w pionie".** Oczywiście nie zamierzam tu dokonywać żadnych porównań, bo miałyby się one jak pięść do nosa.

Kabaret DST jest przedsięwzięciem kameralnym, zrealizowanym środkami więcej niż skromnymi — jest to kabaret literacki, autorski i aktorski w równym stopniu. Nawet statystycznie — na szóstkę wykonawców trzech to pisarze: **Tadeusz Dobrzyński** (także muzyk i kompozytor), **Włodzimierz Krzemiński** („odgłosowy" Ćwiek) oraz **Karol Obidniak** (autor tekstów i reżyserii).

Obidniak jest z zawodu aktorem, nie dziwi więc zręcznie skonstruowana przez niego postać roztropka, bardzo zresztą miło przyjęta przez publiczność.

Znakomicie jednak sprawdzili się na estradzie amatorzy — **Dobrzyński i Krzemiński...** Pierwszy wypowiada (bo nie recytuje) własne wiersze—ballady satyryczne (np. świetny tekst o pigułkach na optymizm) w sposób lekko nonszalancki, ale jest to nonszalancja budząca sympatię i wiarę w autentyczną irytację autora sprawami o których opowiada publiczności. Jest to trochę na zasadzie: „Tak mnie to już wkurza, że aż mi się mówić nie chce".

Inaczej Krzemiński, który w programie pełni rolę gospodarza. Otóż Krzemiński ze swobodą i swadą opowiada o śmieszności kach i paradoksach naszego codziennego życia, z kamienną twarzą mówi rzeczy przewrotne — znane zresztą czytelnikom jego dowcipnych felietonów.

Pozostali twórcy kabaretu to aktorzy — **Danuta Kłopocka, Julitta Sękiewicz i Marek Kołaczkowski.**

Kłopocka, obdarzona ciekawym i świetnie ustawionym głosem, śpiewa liryczne piosenki, bardzo dobrze wkomponowane w całość programu. Julitta Sękiewicz z ogromnym wyczuciem estrady, w sposób nieco szelmowski podaje tekst, partnerując Markowi Kołaczkowskiemu. Ten ostatni, wspólnie z Karolem Obidniakiem, tworzy przezabawną parę w rozmówkach na temat dziwności tego świata.

W sumie jest to program bardzo interesujący, zmontowany i wyreżyserowany w dobrym tempie, program mówiący o rzeczach dziwnych i ciekawych, ale dziejących się w nas i wokół nas. Jeden jest tylko mankament — bardzo zresztą łatwy do usunięcia. Otóż program trwa zaledwie godzinę, jest więc po prostu za krótki. Zanim publiczność na dobre „rozgrzeje się", już czas zbierać się do wyjścia.

Zespół Domu Środowisk Twórczych udowodnił, jak można skromnymi środkami, siłami niewielkiego zespołu zrealizować ciekawy program kabaretowy mówiący o sprawach ważnych w sposób dowcipny i zajmujący.

JERZY WILMAŃSKI

Foto: W. Pary

Z WIZYTĄ W GDYNI

„NASZ CZŁOWIEK W HAWANIE"

W lutym na łódzkich scenach działo się akurat niezbyt wiele, skorzystałem tedy z zaproszenia i pojechałem do Gdyni, aby w Teatrze Muzycznym obejrzeć światową prapremierę musicalu według znanej powieści Grahama Greene'a „Nasz człowiek w Hawanie".

Lubię gdyński teatr, bo zawsze dzieje się tam coś nowego i ciekawego, zaryzykuję nawet twierdzenie, że bez znajomości dorobku tej sceny wszelkie sądy o stanie naszych teatrów muzycznych stają się automatycznie wątpliwe, czy wręcz bałamutne. Jeżeli Danucie Baduszkowej — co prawda po latach wysiłonej, niekiedy wręcz morderczej pracy — udało się wyjść z opłotków i zbudować placówkę niezwykle aktywną, budzącą powszechne zainteresowanie, ściągającą na widownię widzów wszystkich pokoleń i z wszystkich kręgów społecznych, znaczy to bowiem dowodnie, że nie sam gatunek jest chory, a co najwyżej chore są poszczególne teatry...

Baduszkowa też zaczynała od zera, albo prawie od zera, mając do dyspozycji ciasny, chylący się ku ruinie teatrzyk i zespół prawie w rozsypce, umiała jednak podjąć ryzyko i niemal natychmiast postawiła na musical, w tym na prapremiery dzieła rodzimych kompozytorów i autorów. Poniosła niejedną klęskę, bo cena przebudowy repertuaru z reguły bywa wysoka, ale coraz częściej zaczęły też się zdarzać i prawdziwe sukcesy, co z kolei zwróciło uwagę na teatr i pozwoliło zasilić zespół grupką utalentowanych wykonawców.

Teraz było już łatwiej, przeto Baduszkowa — początkowo nawet bez wyraźniejszej aprobaty ministerstwa — uczyniła następny krok i powołała do życia przyteatralne studio, które z czasem zaczęło zasilać teatr utalentowaną młodzieżą. Wśród wykonawców ostatniej premiery cała duża grupa to absolwenci i słuchacze „Studia", a ci ostatni — co stało się już regułą — nie tylko zasilają chór i grają epizody, lecz sięgają także po pierwszoplanowe role, z reguły odnosząc w nich autentyczne sukcesy.

„Szefowa" ma twardą rękę, ale też i znakomite oko, umie talenty wyławiać z tłumu. Jakiś czas temu byłem na przykład świadkiem zaciętej dyskusji, czy jedna z młodych słuchaczek „Studia" udźwignie, czy też nie udźwignie główną kobiecą rolę w „Promises — Promises", musicalu Burta Bacharacha będącym przeróbką głośnego filmu „Garsoniera". Po ekranowej kreacji Shirley Mc Laine powierzenie roli Fran Kubelik debiutantce było bezspornym ryzykiem, jednak Baduszkowa oświadczyła krótko „Ona to zagra i będzie się podobać", no i rzeczywiście Irena Pająkówna zagrała i podobała się ogromnie, znakomicie interpretując zwłaszcza wszystkie piosenki.

W „Promises — Promises" mieliśmy tedy niezwykle udany debiut, w „Naszym człowieku w Hawanie" było tych debiutów aż kilka, również zresztą zwieńczonych powodzeniem.

Najsamprzód jednak słów kilka o samym musicalu będącym dziełem polskich twórców: kompozytora **Jana Tomaszewskiego** (znanego łódzkim widzom z takich pozycji jak „Boso, ale w ostrogach", „Kaper królewski", „Wielka aleja", czy „Noc nad Gopłem"), autorki adaptacji **Wandy Wróblewskiej** i autorów doskonałych tekstów piosenek — **Mirosława Łebkowskiego i Stanisława Wernera.**

Rzecz początkowo miała przygotować gościnnie Amerykanka, choreograf i reżyser w jednej osobie, domagała się jednak daleko dających przeróbek, na które autorzy nie bardzo chcieli przystać, tak więc w rezultacie światową prapremierę „Naszego człowieka w Hawanie" zrealizował **Zbigniew Bogdański.** Trudno powiedzieć, czy stało się dobrze, mieliśmy bowiem rzadką okazję zobaczyć spektakl „wysmażony" w amerykańskim stylu i porównać go z naszymi musicalowymi dokonaniami, z drugiej strony rozumiem jednak cokolwiek autorów, którzy trzęśli się nad swoim jeszcze nie narodzonym dzieckiem.. Poród odbył się wszelako szczęśliwie, acz nie bez kłopotów, jako że spektakl — rozbity na cały szereg drobnych scen i scenek — jest piekielnie trudny w inscenizacji. Reżysera dzielnie wsparł tu jednak młody scenograf **Bogdan Żmudziński**, który zaprojektował ogromnie pomysłowy system dowolnie komponujących się ścianek umocowanych na wózkach, co nie tylko pozwoliło poprowadzić przedstawienie w dobrym tempie, ale ów ruch wózków uczyniło jednym z walorów widowiska.

Sama adaptacja wypadła wcale zręcznie, choć są też w niej pewne dłużyzny, tekstowe i muzyczne „przegadania", brakuje nadto naturalnego finału, który — moim przynajmniej zdaniem — autorzy powinni przekomponować i napisać raz jeszcze. W każdym razie perypetie Jamesa Wormolda — przypadkowo zwerbowanego do wywiadu angielskiego handlowca na Kubie z czasów Batisty, który swoimi wyssanymi z palca rewelacjami stawia na nogi tajne służby — stanowią doskonały materiał dramaturgiczny i mimo żartobliwej z początku tonacji, budzą z pewnością refleksje o niebo głębsze, niż te, które snujemy podziwiając „Carewicza".

Teksty piosenek, jak już wspominałem, dowcipne, cięte, niekiedy gorzkie i groźne.

Muzyka Jana Tomaszewskiego natomiast jakby troszeczkę nierówna, jakby pisana w pośpiechu, obok rzeczy doprawdy doskonałych przynosząca powtórzenia czy mniej ciekawe pomysły melodyczne. Może i tu warto by coś poprawić, bo „Nasz człowiek w Hawanie" — jeżeli nie zaraz, to za lat parę — zacznie z pewnością robić sceniczną karierę i niechby to było dzieło, jak to się mówi, „bez pudła".

O wykonaniu już tylko króciutko, bo koniec końców do Gdyni szmat drogi i nie będziecie państwo tam na spektakle jeździć (choć Teatr Muzyczny mógłby przyjechać z wizytą do Łodzi, tak jak mógł wybrać się do Warszawy — może warto pomyśleć o zaproszeniu, choćby dla rozsmakowania publiczności?!).

Józef Korzeniowski (Wormold) jak zawsze doskonały, ciepły, ludzki, ogromnie zabawny, choć budzony przez niego śmiech jest melancholią podszyty. Bardzo dobry i mający kilka bardzo dobrych piosenek **Zenon Bester** jako Hawthorne, as brytyjskiego wywiadu. Ładna rola **Andrzeja Popiela** (doktor Hasselbacher), który ogromnie od łódzkich czasów rozwinął sie aktorsko. Kolejna ładna rola **Urszuli Polanowskiej** (Beatrycze), doskonały debiut słuchacza „Studia" **Leszka Wierzbowskiego** (kapitan Segura), udane debiuty **Elżbiety Mach** i **Izabeli Schuetz** (Milly).

Wyliczyłem pośpiesznie, choć można by pewnie parę udanych ról dorzucić, nie chcę jednak zabawiać się w „zdalnego recenzenta", a raczej zwrócić uwagę na fakt, że sam gatunek muzycznego teatru kryje w sobie doprawdy ogromne i jeszcze nie odkryte w Łodzi możliwości...

JERZY PANASEWICZ

Teatr Muzyczny w Gdyni. Graham Greene: Nasz człowiek w Hawanie. James Wormold (Józef Korzeniowski) i kapitan (Leszek Wierzbowski).

Foto: T. Link

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI

RAPORT SOCJOLOGA

Foto: R. Tabaka

W aglomeracji łódzkiej działa w sumie, finansowanych przez różnych mecenasów 25 domów kultury oraz ok. 100 klubów i świetlic. Można postawić pytanie jakie jest miejsce ruchu kulturalno-wychowawczego dorosłych w wielkomiejskim środowisku. Jakie potrzeby społeczne, i w jaki sposób, zaspokaja rozwinięta znacznie sieć klubów i domów kultury? Czy kluby są jedynie pozostałością historycznie wcześniejszych koncepcji upowszechniania kultury, czy przeciwnie, i dzisiaj proponują one model rozrywki skutecznie konkurującej z takimi ośrodkami kultury w mieście, jak kino, teatr, kawiarnia, filharmonia, cyrk, restauracja, muzeum, itd.? Jaką publiczność skupiają i jaką mogłyby gromadzić kluby i domy kultury w mieście?

Żeby oświetlić przynajmniej niektóre z tych pytań przeprowadziłem na zlecenie i przy pomocy Łódzkiego Domu Kultury dwa sondaże socjologiczne. Rozesłano ankietę pocztową do 860-osobowej próby reprezentacyjnej mieszkańców miasta i przeprowadzono hospitacje klubów w aglomeracji. Ankieter odwiedził w ciągu ostatniego roku 113 placówek dobieranych losowo. Wszystkich zastanych w klubach pytano o dane demograficzno-społeczne, o odległość do miejsca zamieszkania, o cel wizyty w klubie, itd.

Pośród stwierdzeń wstępnych warto podać, że w dowolnym momencie wieczorem w klubie łódzkim zastaniemy średnio 23 osoby; jeśli jest impreza — to więcej, jeżeli nic ważnego nie dzieje się — to mniej. Jednakże w sumie, w ciągu całego wieczoru przewinie się przez dom kultury czy klub zapewne znacznie więcej uczestników. Dla uściślenia sprawy publiczności placówek kulturalno-wychowawczych nie poprzestaniemy na stwierdzeniu jak wygląda struktura wieku uczestników, na oglądzie wewnętrznym tylko. Poszukano jakiegoś obiektywnego, zewnętrznego punktu oparcia. Porównano mianowicie proporcje wieku bywalców klubów z odpowiednimi proporcjami ogółu mieszkańców Łodzi. Porównanie takie pozwoliło zmierzyć stopień „nadreprezentowania" w domach kultury mieszkańców niektórych w kategorii i „niedoreprezentowania" innych.

Porównanie dowodzi, że w domach kultury bywa prawie trzykrotnie więcej młodych ludzi do lat 25 niż mogłoby to wynikać ze średniej wieku mieszkańców. Za to ludzie w sile wieku produkcyjnego (25—60), bywają w interesujących nas placówkach dwukrotnie rzadziej niż można by tego oczekiwać. Oczywiście kierunek owych proporcji uczestnictwa zawsze pozostanie podobny, przylega on do ogólniejszych prawidłowości psychospołecznych, zgodnie z którymi „ludzmi zabawy" są raczej młodzi, poszukujący poprzez kontakty towarzyskie partnera do życiowej stabilizacji i przygotowujący się dopiero do wytężonego wysiłku produkcyjnego i kariery zawodowej.

W powszednim dosyć odczuciu ludzie starsi, emeryci i renciści, chętnie uczestniczą w wybranych formach aktywności klubowej. Kategoria bywalców w wieku poprodukcyjnym wydaje się na pierwszy rzut oka rzeczywiście bardzo licznie reprezentowana w wielu domach kultury. Jednakże zestawienie poucza, że nie docenia się na ogół obiektywnej liczebności ludzi w wieku poprodukcyjnym. Skoro co piąty mieszkaniec miasta ukończył 60 lat, to proporcja starszych w instytucjach kultury jest i tak mniejsza. W tym wypadku przyczyny pewnego „niedoreprezentowania" są zapewne zupełnie odmienne niż w omawianym wcześniej przykładzie ludzi w wieku produkcyjnym. Tutaj przyczyny nie tkwią już w subiektywnych wyobrażeniach i w fakcie nieuświadamiania potrzeb. Tu nie trzeba zachęcać, wystarczy zapewnić dogodne warunki aktywności towarzyskiej. Tymczasem na terenie klubów i domów kultury spotykają się dwa żywioły skrajnych, przypisanych wiekowi, usposobień temperamentalnych. Ruchliwa, hałaśliwa młodzież i towarzyscy ale poszukujący spokoju starzy ludzie. Przegląd zainteresowań obu grup dowodzi, że trzeba wobec nich stosować zupełnie odmienne formy pracy kulturalnej, i jest to rozpiętość mieszcząca się między dyskoteką a prelekcją przy kawie, między zespołem amatorskim a brydżem. Kierownicy placówek chroniąc emerytów przed ekspansywnością młodzieży wydzielają stale dni tygodnia na spotkania klubu seniora. Ale zebrana statystyka dowodzi, że najliczniej bywają ludzie starsi w placówkach zorganizowanych wyłącznie dla nich i na imprezach wyłącznie dla nich zaaranżowanych. Przeglądającemu metryczki bywalców domów dziennego pobytu, klubów „złotej jesieni", klubów seniora itp. rodzi się wątpliwość czy tak usamodzielnione kluby nie stały się miejscem spotkań ludzi podobnych sobie i izolowanych. Wciąż otwarty pozostaje w klubach problem integracji żywiołów sprzecznych, które jednak wyrażają dopiero razem podstawowe prawo natury.

Następnie analizowano strukturę społeczno-zawodową uczestników, przy tym skupiono się na analizie zawodów wyłącznie ludzi dorosłych. Okazało się, że wśród dorosłych przychodzących do placówek kultury zdecydowaną większość stanowią ludzie aktualnie lub do niedawna zatrudnieni w produkcji, w tym robotnicy 45,7 proc. **Kiedy więc patrzeć na ogólne proporcje bywających w łódzkich klubach i domach kultury to wydaje się, że proporcje te odbijają zasadniczy charakter miasta, są właściwe dla ośrodka przemysłowego i skupiska ludzi pracy.**

Naturalne wydaje się, że odpowiedziawszy na pytanie kto przychodzi do placówek, przejdziemy do zagadnienia celu owych wizyt.

Mieszkańcy Łodzi wypowiadający się w ankiecie pocztowej na temat swych wyobrażeń o dobrym wypoczynku znacznie częściej niż o domu kultury mówili m.in. o zabawach tanecznych, występach estradowych, resturacji—kawiarni, bibliotece. Tymczasem sporządzone zestawienie statystyczne dowodzi, że wszystkie te zainteresowania są obok innych, z powodzeniem zaspokajane w łódzkich domach kultury i klubach. Wielu bywalców już od dawna przychodzi tu właśnie na dyskotekę, na recital piosenki, na piwo lub kawę, pożyczyć książkę i przeczytać prasę. Mimo to wyników ankiety nie należy lekceważyć, świadczą one, **że łódzkie placówki mają jeszcze dosyć szerokie zaplecze potencjalnych uczestników.** Jeśli ludzie ci pozostają dotąd jedynie publicznością potencjalną, to dzieje się tak najwyżej z dwu powodów. Albo nie dociera do nich wystarczająca **informacja** o formach działania i imprezach poszczególnych klubów i jest to sprawa łatwiejsza do uregulowania. Albo też ankietowani mają wizję publiczności klubów, która im **nie odpowiada** z jakichś względów. Nie idzie im tylko o określoną formę aktywności ale i o grono współuczestników tej aktywności. Zapewne wielu starszych ankietowanych myśląc o zabawie nie identyfikuje jej z młodzieżową dyskoteką, lubi pić kawę lub piwo w lokalu o ustalonych tradycjach, uczestniczy w imprezach organizowanych przez Estradę. Dom kultury, który chciałaby dotrzeć i do tych uczestników musiałby wypracować sytuacje względnego rozwarstwienia publiczności młodzieżowej i dorosłej, zbudować i utrwalić jakgdyby **dwa równoległe systemy programowe.**

Proste przeliczanie zebranych danych zdałoby się dowodzić że w klubach przeważają zwolennicy form relaksowo-ludycznych nad ludźmi o zainteresowaniach oświatowych i nastawionych na samodoskonalenie. 61 proc. uczestników w momencie rejestracji uprawiało bezinteresowną zabawę lub wypoczywało, a 35 proc. kultywowało zajęcia oświatowe. Podstawowy jednakże jest fakt, że na czele wszystkich rozrywek znalazła się najszlachetniejsza forma samokształcenia jaka jest **amatorska aktywność artystyczna.** Już choćby jedynie to stwierdzenie sankcjonuje i nadaje głęboki społeczny sens utrzymywaniu rozległej sieci łódzkich klubów. Ludzie działający w zespole artystycznym poświęcają tej pasji wiele czasu i ujęcie ich w statystyce ma oczywiście inną wagę niż rejestracja uczestników jednorazowej dyskoteki czy publiczności imprezy estradowej.

Ogólnie można powiedzieć, że także wszystkie inne formy świadczą więc i lektoraty językowe, odczyty, kursy, zebrania itd. skupiają ludzi w mniejszych zespołach, poświadczając w zamian wykształcone i utrwalone ich zainteresowania. Liczby dotyczące aktywności oświatowo-kulturalnej nie mogą być prosto porównywane z pozostałymi sposobami jednorazowego wypoczynku. Miast więc podtrzymywać wstępne spostrzeżenie o przewadze w klubach bywalców o nastawieniach hedonistyczno-zabawowych, trzeba by w tym świetle postawić raczej pytanie, czy przewaga rozrywek jest tu dostatecznie wielka dla rozszerzenia społecznych wpływów, dla podniesienia atrakcyjności klubów. Od wielkości kręgu ludzi związanych na razie choćby luźno z domem kultury zależy bowiem baza rekrutacyjna uczestników bardziej wysublimowanych form aktywności kulturalnej.

Przy bardziej szczegółowym oglądzie okazało się, że wbrew niektórym opiniom o ruchu amatorskim robotnicy uczestniczyli w działalności artystycznej nieco częściej niż wyżej zwykle wykształceni pracownicy umysłowi. Dużą popularnością wśród robotników cieszą się takie rozrywki jak występy estradowe, dyskoteka (młodzi), gra w karty, mała zaś odczyty. W pracach społecznych i zebraniach na terenie klubu także większy udział mają robotnicy. Urzędników cechuje duża rozmaitość zainteresowań, wykorzystują oni równomiernie cały kilkudziesięciopunktowy zestaw propozycji. Młodzi urzędnicy rzadziej przychodzą na dyskotekę do domu kultury. Ludzie w wieku poprodukcyjnym, emeryci bywają w klubach zawsze na imprezach artystycznych, brydżu i spotkaniach towarzyskich. Nadto ludzie starzy bodaj częściej niż pozostali gotowi są podejmować zobowiązania pracy społecznej, chętniej też wysłuchują prelekcji.

W świetle zebranych danych przypuszczać wolno, że domy kultury i kluby tworzą w mieście sieć instytucji o funkcjach na tyle specyficznych, że ich działalność nie może być przyjęta przez jakiekolwiek inne profesjonalne placówki kultury. Kluby posiadają ten podstawowy walor, że **mogą swój program dostosowywać do potrzeb choćby najmniejszych kręgów i środowisk.** Efekty działalności placówek tego typu są najściślej związane z zaletą, którą określamy jako elastyczność. Kierując swe działania na konkretne grupy bywalców klub może organizować drogi ich awansu w kulturze w taki sposób, by dobierane działania, imprezy, wycieczki, itd. nie wyrażały z jednej strony nazbyt purystycznego systemu wartości, z drugiej zaś eliminowały odbiorczą gnuśność i rozrywkę zupełnie bezmyślną. Co więcej istnieje tu możliwość stałej obserwacji skutków poszczególnych przedsięwzięć. Na taką środowiskową elastyczność i zwrotność działania nie może sobie pozwolić teatr, filharmonia, muzeum ani żadna placówka profesjonalna gromadząca szeroką publiczność. **Jednakże tylko ta „placówka k-w" staje się prawdziwym, własnym i swojskim klubem dla wielu, której wnętrze bywa gustowniejsze od wnętrza śródmiejskiej kawiarni, której program posiada wyraźny profil i której kierownik respektuje wyobrażenia, zainteresowania i możliwości poznawcze poszczególnych grup uczestników.** Nie bez znaczenia dla sprawy jest też kwestia przestrzennego przypisania interesujących nas instytucji i zasadniczych rozwiązań modelowych w układzie osiedlowy dom kultury — klub przyzakładowy.

Ale to jest osobny temat.

WIESŁAW PUSZ

W PONIEDZIAŁEK na drodze świata

Kolejny tomik poetycki Feliksa Rajczaka ukazał się w 10 lat po dwóch pierwszych: być może, iż przybywało mu wierszy w trakcie pobytu w wydawnictwie — w ostatecznym swym kształcie zbiorek liczy kilkadziesiąt utworów w pięciu cyklach pod ogólnym tytułem „Ósmy świt"

Poniedziałek od dawien dawna i powszechnie nie cieszy się sympatią. A pierwszy poniedziałek po sześciu roboczych dniach tworzenia i niedzielnym odpoczynku stwórcy? Dla poety jest to moment konieczności samookreślenia: wszystko zostało stworzone wszystko jest dane — trzeba się w zastanej rzeczywistości odnaleźć. Owa próba podejmowana w prezentowanych wierszach Rajczaka w trudzie i skupieniu dzieje się w określonej scenerii i oczywistych uwarunkowaniach losu człowieka. Ale nie człowieka jako wyłącznie takiego, ale o s o b n e g o członka zbiorowości — posiadającego cechy właściwe nam wszystkim ale określonego przez swój szeroko rozumiany indywidualny rodowód i przez swe prywatne napięcia psychiczne domagające się poetyckiej ekspresji.

Poetyckie samookreślenie dokonuje się „ósmego świtu" najogólniej mówiąc między ziemią a gwiazdą między tym co przyciąga, a tym co odrywa i transponowane jest na krajobraz zakreślonych horyzontem pól i dolin oraz wiodącej przezeń drogi ze słońcem i gwiazdami nad nią, powietrzem i popiołem.

Pierwszy cykl — „Nad drogą świata" to zbiór refleksji dotyczących specyfiki tej szczególnej ludzkiej wędrówki, to szereg pytań i z trudem podejmowanych wyborów. Dominanta obrazowa i znaczeniowa tej grupy wierszy jest koło. Może to być koło chłopskiego wozu, toczące się po chłopskich drogach chłopskiego losu. Może to być koło widnokręgu i koło obracającego się, ujętego w wegetatywne cykle, czasu. Podstawowe pytanie tej części zbiorku — „czyj jesteś człowieku" — dotyczy wędrowca świadomego miejsca skąd odchodzi, a pragnącego określić ustaleniem swej przynależności cel życiowej wędrówki. Najistotniejsze konstatacje zawarte są bodaj w utworze „Powróciłeś z wiatru..."

Za wcześnie chciałeś odejść
Masz czas na powroty
Aż do śmierci
Nie wyrzekaj się domu
Obchodź go jak kamień
Pole

Pomiędzy rodną doliną
A górą za horyzontem
Jest chwila gorzkiej pamięci

Oczywiście nie chodzi o fizyczne pozostanie, ale świadoma akceptacje swego związku z ziemią — polem, ziemią — grobem rodziców, ziemią obracającą się wokół swej gwiazdy i jej przypisaną — jak i człowiek, każdy przypisany swej gwieździe. Można dążyć i poeta usiłuje to czynić, w górę i jasność, ale jest to droga trudna, tragiczna.

Piasek się sypie z płaskowyżu —
gwiazdy się wykłosiły
tuż nad drogą świata.

Będąc w drodze należy pozostać w s w o i m miejscu: narodzin i grobu („Za snem-ogrodem z wężami").

Drugi cykl to już nie rozważania nad drogą świata, ale „Żelazny wóz" na tej drodze: to zbiór poetyckich medytacji nie nad dziedzictwem ziemi, ale nad dziedzictwem ojczyzny.

Więcej w tej partii spokoju — dziedzictwo nie podlega waloryzacji, wybory są oczywiste, obowiązki konkretne. Obok wierszy okazjonalnych i okolicznościowych, zawsze ryzykownych, z których „przekonał" mnie jedynie wystylizowany, lecz mądry „Andrzej Frycz Modrzewski", mamy tu także grupę liryków formułujących bardzo indywidualne, prywatne opinie w sposób urzekający prostotą i urodą.

W trzecim cyklu — „Wawozy" prymat przed samoistną medytacją otrzymuje pamięć wędrowca. W owym krę-gu pamięci mieszczą się ci, co odeszli i „droga co wyniosła mnie z pola" i „to co przeszło". Stąd także przywołanie „przypomnienie" własnego zmierzchu, skonkretyzowane w ludowo żartobliwej „Nadziei".

„Pieśni przydrożne" — cykl kolejny, to rzeczywiście zbiór wierszy jakby powstałych nie na, ale przy drodze, w trakcie postojów i popasów. Więcej w zgromadzonych tu utworach literackiej stylizacji, nie musi to być i nie zawsze bywa wyłącznie liryczne wyznanie, sporo tu elementów konwencji — określona metaforyka (o oddalonych semantycznie członach), silna instrumentalizacja wypowiedzi, oejzażowość kilku wiejskich „obrazków". Oczywiście i tu nie brak typowej dla tomiku gorzkiej refleksji człowieka ledwie zaczynającego istnieć, a już przemijającego w zastanym, dawnym mu „krajobrazie" ale tego typu poetyckie konstatacje neutralizowane są orzekazaniem ich w obrazie narzucającym się przede wszystkim literacka stylizacja:

Wyżebrana moja mąka
Biała męka
Gdy żebraczy kij się jąka
I przyklęka

Ostatni cykl tomiku, „Sonety dla Romy", najlapidarniej określa incipit ostatniego utworu: „Wołami Ojca jadę do Italii". Jest to i rym razem, wbrew pozorom, nie tyle określona faza wędrówki czy odcinek drogi — co konkretna jej jakość. To zespół zależności i oddziaływań narzuconych kolejnym dziedzictwem — kultury historycznego Rzymu. Przybliżenie dokonywane trudem minionych pokoleń nie finalizuje się — w dotarciu. Jest to i niemożliwe, i zbyteczne — nie ma kanonicznego zespołu wartości kulturowych oczekujących na przybysza. Podróż zostaje przerwana, zaowocować może — jak sugeruje jeden z sonetów — „pokoma posadzona w ziemie"

Prezentujący wizje świata rozbudowana, ale koherentna, wyjątkowo zwarta i jednoznaczna, zbiór wierszy Rajczaka oddziaływuje jako całość. Co nie znaczy, że nie ma w „Ósmym świecie" wierszy wyłącznych; wskazywałem już na niektóre, a jest ich więcej. Rzadka urodę tych utworów osiąga autor używając dwóch z licznych poetyckich kunsztów: metaforyki o awangardowym rodowodzie i bogatej instrumentalizacji właściwej poezji ludowej. Wyselekcjonowanym okazem metafory wykorzystującej w przewrotny sposób wielorakie możliwości jakie wynikają z zakresów znaczeniowych użytych wyrazów, może być zwrot: „opuszczamy grób głębiej w naszą pamięć jak trumnę". Przykładem dokonanej w poetyce awangardy metaforyzacji całego utworu jest wiersz „Powietrze jak gaza..."

Z instrumentalizacją wypowiedzi mamy do czynienia ciągle — to przede wszystkim, niemal stała aliteracja. Tomik ten może służyć wręcz jako podręcznik — zarazem poradnik i przedmiot analiz aliteracji

Wyczulenie na możliwości języka niepodległy definicji lecz „faktyczny" słuch poetycki — demonstrowane w wierszach Rajczaka (także fraszkach i aforyzmach) — sprawiają iż pozostają w pamięci niezbywalne już zwroty — formuły jego autorstwa. Każdy z czytelników ma pewien tworzony w trakcie lektur zasób wykorzystywanych okazjonalnie enitetów zwrotów porzekadeł. Mawiałem już wielokrotnie za Rajczakiem między innymi, „Cieniu, matko, cieniu, bo goście w sieni". Teraz będę mógł, rezygnując z trudzenia się dłuższym wywodem przypomnieć np.:

Rozrywana dolepiana
moja ojczyzna gliniana.

„Ósmy świt" będąc świadectwem głęboko autentycznego borykania się poety z sobą — w poniedziałek na drodze świata — wciąga szczerością i swoistym, ludowym klimatem bogatych poetyckich medytacji; zapada też w pamięć szeregiem prostych i celnych powiedzeń.

Feliks Rajczak, Ósmy świt, WŁ, Łódź 1977, s. 128, cena 10 zł.

ZURYSKIE GNOMY

Cena złota znów idzie w górę.

Za uncję „aurum" płaci się w Zurychu 176 dolarów. Istotne są jeszcze tylko notowania na złoto w Londynie. Paryż odgrywa już raczej drugorzędną w tej dziedzinie rolę. W gruncie rzeczy te najważniejsze nitki trzymają w swych rękach „gnomy" z Zurychu, jak przebąkuje się o tym w europejskich kręgach bankowych. Gnomy, otóż to, gnomy — podziemne duchy, niewidoczne i złośliwe, które strzegą niezmierzonych skarbów. Zurykich gnomów podejrzewa się o ciemne intencje, chytre manipulacje, w ogóle przypisuje się im wszystkie te cechy, które charakteryzują wyzbytych z ludzkich odruchów brutalnych geszefciarzy.

Gnomy są niewidzialne.

Za to każdy, kto tylko ma na to ochotę, może zobaczyć przelatujące nad Szwajcarią ogromne czarterowe odrzutowce szejków arabskich z Perskiej Zatoki. Szejkowie wiedzą lepiej. Złoto to przecież najlepszy robotnik. Starczy sztabki poskładać w piramidki i czas zacznie już am pracować na ich korzyść. Ich wartość będzie wzrastać od samego leżenia. Szejkowie od ładnych już paru tygodni wywożą ogromne ilości złota z banków szwajcarskich na Bliski Wschód. Same sztaby.

Są szejkowie mniejsi i są szejkowie więksi.

Ci mniejsi nie bardzo mogą się rzucić na takie operacje. Na to trzeba bajecznych już fortun. Więc ci mniejsi szejkowie uciekają od dolara w sposób w Europie wypróbowany od dawna. Lokują płynną gotówkę dolarową w kosztownościach. Wykupują złote monety. Wykupują przede wszystkim diamenty. Z diamentami o tyle jest kłopot, że ich handlowe centrum rozmieściło się przy 47 ulicy w Nowym Jorku. Za jednokaratowy diament płaci się w Nowym Jorku już 8 tysięcy dolarów. Takie są ceny. Już rzeczywiście bajeczne. Płaci się bez targów i mówi „mit mazel und Broche". Wtajemniczeni o długich brodach i czarnych pałających oczach wiedzą co i jak. Swój swego poprze. Swój do swego trafi. Więc muzułmańscy szejkowie arabscy tego mniejszego kalibru mają te swoje duże kłopoty.

„Mit mazel und Broche"? — o, nie; przez arabskie usta takie zaklęcie nie przejdzie. Już wolą irańskich jubilerów. Więc ci mniejsi szejkowie z workami pełnymi „petrodolarów" na plecach, ruszyli wielką pielgrzymką do Teheranu. To miasto godnie się na ich przyjęcie przygotowało. Na głównym teherańskim bazarze otworzono w ostatnich trzech latach przeszło 100 nowych sklepów jubilerskich. Wszystkie są przepełnione. Bo też towar jest przedni. Rzeczy wspaniałe.

Widmo złota krąży po świecie popędzane do tajemniczego lotu przez wybrzuszone ponad wszelką miarę „petrodolary". Jak to się mówi — złotem nikt nie wzgardza. Amerykanie, ci zamożni, ze sporym kapitałem na kontach, część majątku lokują w południowoafrykańskich „Krugerrandy". To złote monety, których wartość nieustannie wzrasta. Europejczycy też wyzbyli się zaufania do „papierowego" złota.

Amerykanie, jak arabscy szejkowie, zaczynają gorączkowo rozglądać się za „inglots", za sztabami właśnie złota. Kiedyś nie było wodno. Kiedyś amerykański obywatel był odcięty od prawa posiadania „inglots". Od 1974 roku już wolno. Dawne ograniczenia zniesiono. Proszę, kto ma na to, niech sobie buduje złote piramidki, niech modli się do złotego cielca w swym domowym sejfie w obetonowanej piwnicy. Prawo już tego nie zabrania. W ogóle cały ten dziwny proces zaczął się w 1971 roku w Bretton Woods. Doszło wtedy do załamania się międzynarodowego systemu walutowego. W praktyce dolar został niemal całkowicie od złota oddzielony. Jego wartość w niewielkiej tylko mierze jest zależna od ilości złota w amerykańskim sejfie państwowym.

Tak jest w teorii. Bo w praktyce wciąż jednak całkiem inaczej to wygląda. Istnieje niewidzialny jak wszystkie gnomy, ale wciąż bardzo ścisły związek między wartością dolara i wartością złota. Gdy dolar spada, cena na złoto idzie w górę. Gdy dolar się podnosi, złoto upada. A że dolar od pewnego czasu raczej zjeżdża w dół w sposób dla wielu bankierów niepokojący, więc cena złota idzie spiralą w górę. I na złocie straci, kto przepłaci. Nie bardzo. W każdym razie nie w czasach, w których żyjemy. Jeszcze w 1976 roku gnomy w Zurychu żądali 103 dolary za uncję złota. Dziś żądają 176 dolarów. A specc utrzymują, że jeszcze pod koniec tego roku cena za uncję złota dojdzie do 197 dolarów.

Karpiński kiedyś wołał: — Nikt się potęgi nie dokupił złotem.

Może, ale ponętnych blondynek, to już na pewno złotem się dokupi. Arabscy szejkowie innych kobiet w ogóle nie uznają. Nie tylko Arabowie.

JAN BĄBIŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

nie żądano od nich parafy. Jednakże już w Tybindze wszystkich pięciu uzgodniło stanowisko: chcieli zakomunikować prasie, **„że dotychczasowe ustalenia w odniesieniu do wszystkich trzech zmarłych nie przemawiają przeciwko samobójstwu, lecz wszystkie dadzą się wytłumaczyć samobójstwem".**

BAADER BYŁ LEWORĘKI

Baader był leworęki, przypominają jego adwokaci. Jak wobec tego ślady dymu z prochu wystąpiły na prawej ręce? Czy pistoletu nie trzymał ktoś obcy? Kiedy lekarze dokonywali obdukcji zwłok, nie wiedzieli jeszcze o leworęczności Baadera. Zakładali, że Baader zastrzelił się jedną ręką, prawą — co, jakkolwiek laikowi mogłoby wydawać się to dziwne, jest zupełnie możliwe po odwróceniu pistoletu.

Ale okoliczności dopuszczają jeszcze inną interpretację: strzał został oddany z pistoletu trzymanego oburącz. Dawniej ślady dymu występowały szczególnie na ręce trzymającej broń, obecnie, w wypadku nowoczesnej broni, prawie się to nie zdarza. Ślady dymu i krwi oraz skrawki tkanki znajdują się raczej na tej ręce, którą podtrzymywano broń, żeby się nie obsunęła. Baader zatem, odwróciwszy pistolet do góry kolbą, mógł lewą ręką pociągnąć za spust, prawą podtrzymując 18 cm długości lufę.

Eksperci z Federalnego Urzędu Kryminalnego znaleźli wprawdzie na broni trochę rdzy i niewielkie ślady używania, ale nie znaleźli dających się wykorzystać odcisków palców. Może to dziwić także tylko laików — jak mówią eksperci, pistolet, oprócz krwi, był pokryty również warstwą tłuszczu (oleju), na którym linie papilarne prawie się nie odciskają. Często wystarczy pot na palcach, aby zatrzeć ślady linii papilarnych.

Strzały w celi Baadera zostały oddane przy użyciu specjalnej amunicji o nacięciach w kształcie krzyża, której w RFN wolno używać — ze względu na niszczycielskie działanie — tylko na polowaniu. Uderzając w cel pocisk taki otwiera się jak grzyb i powoduje rany takie, jak pocisk dum-dum. Do magazynka wprowadzono sześć nabojów, jeden tkwił jeszcze w lufie, trzy znaleziono w celi...

Baader został zabity **„strzałem z bliska, z wylotem lufy przyłożonym do głowy".** Nikt nie dałby się w ten sposób zastrzelić bez oporu, chyba że zostałby poprzednio obezwładniony, np. związany, albo uderzony w głowę, lub też odurzony jakimś środkiem. Nie stwierdzono jednak śladów użycia przemocy, żadnych sińców, ani otarć skóry czy zadrapań, które świadczyłyby o walce. Chociaż Baader w ostatnich tygodniach przed śmiercią zażywał przerażające ilości leków, to jednak łączna ich doza absolutnie nie wystarczała, aby ograniczyć jego świadomość lub przejściowo pozbawić go przytomności.

Sceptycy wysuwają dwie sprzeczne wersje — jedni twierdzą, że Baader zmarł w Stammheim, drudzy, że na pustynnym piasku Mogadiszu. To ostatnie twierdzenie opiera się na zagadkowym odkryciu śladów piasku na butach Baadera. Zmarły był obuty w stosunkowo nowe, sznurowane buty na krepie. Nie byłoby o czym mówić, gdyby nie fakt, że więźniowie z siódmego piętra zwykle chodzili w sandałach lub pantoflach gimnastycznych, a jeszcze chętniej w skarpetkach lub boso — mieli bowiem dosyć stałego zdejmowania butów podczas stałych kontroli i poszukiwania materiałów wybuchowych oraz grypsów.

PIASEK NA BUTACH?

Spostrzegawczy prof. Holczabek z Wiednia zwrócił podczas lustracji cel uwagę urzędników i adwokatów na to, że do butów przylepione jest coś, co wygląda jak ziarnka piasku i zalecił dokładne zbadanie, co to jest. Adwokat Helemann twierdził, że widział to dokładnie na obu podeszwach: „gruba warstwa jasnego, drobnoziarnistego piasku". Byłoby więc prawdą, twierdzenie zagranicy, że Baader został specjalnie przewieziony do Somalii — dokąd zresztą chciał wyjechać — aby porywaczom samolotu „Landshut" uwiarygodnić obiecywaną zamianę zakładników? Czy minister stanu Wischniewski nie mówił niejasno o pewnych informacjach, „wprowadzonych" do rozmów z Palestyńczykami? Ale tę awanturniczą wersję można podważyć w wielu punktach.

Po pierwsze: Opublikowany protokół rozmów radiowych między wieżą lotniczą w Mogadiszu a przywódcą oddziału porywaczy, „kapitanem męczennikiem Mahmudem", zawiera jedynie (nieprawdziwą) informację, że jedenastu więźniów zostało zwolnionych, ale że będą w Somalii nie wcześniej niż rano. Na skutek tej informacji, podanej około godziny 17, porywacze przedłużyli ultimatum do godz. 1.30.

Po drugie: Z planu obsadzenia cel nie wynika nawet przejściowe przeniesienie Baadera ze Stammheim.

Po trzecie: Przeciwko temu przemawia także rejestr odwiedzających. Jeszcze wczesnym popołudniem 17 października — po godz. 14 — Baader przez 70 minut rozmawiał w celi dla odwiedzających na VII piętrze z przedstawicielem Federalnego Urzędu Kanclerskiego, Hegelauem i z głównym komisarzem kryminalnym Klausem z Federalnego Urzędu Kryminalnego na temat swojego zwolnienia.

Po czwarte: Wieczorem, około godz. 23,10 połknął jeszcze grzecznie swoje tabletki.

Po piąte: Tak samo nie zgadzają się czasy lotów. Na przelot ze Stuttgartu do Mogadiszu samolot Boeing 707 potrzebuje około 8 godzin 15 minut do 8 i pół godziny, bez lądowania...

Rzekomy piasek na podeszwach nie został wspomniany, co dziwne, w protokóle z obdukcji zwłok, wspomniano tam natomiast o **„zabrudzeniu w formie ziaren"** na prawej nogawce spodni. Nie mogło ono powstać w czasie spaceru po dziedzińcu więziennym, bo czworo terrorystów wyprowadzano tylko na taras na dachu, gdzie nie ma żadnego piasku. Mogły to być jednak pozostałości robót budowlanych, prowadzonych wiosną, kiedy to więźniowie podobno całymi torbami „organizowali" sobie gips, znaleziony później w ich celach. Jeśli Baader chciał upozorować tajemniczą śmierć, to mogło mu przyjść do głowy „przystrojenie" butów „po afrykańsku".

Na słońce i południe wskazują też podobno okulary słoneczne, które Baader nosił rzekomo w godzinie śmierci. Faktycznie, przy zwłokach znaleziono okulary z niebieskimi szkłami, które przy upadku przesunęły się do góry i już prawie nie dotykały czaszki. Najwyraźniej były to te same okulary, które widać na niektórych zdjęciach z procesu.

Wszystkie te domysły szybko można by wyjaśnić, gdyby znany był dokładny czas śmierci. Ale nie można go było określić, bowiem lekarz i sanitariusze zapomnieli zmierzyć rano temperatury zwłok.

Sceptycy natykają się na jeszcze jedną osobliwość. Kiedy znaleziono ciało Baadera, miał on na sobie czerwoną bawełnianą koszulkę, która, jak twierdzono, była własnością kogoś innego. Zgodnie z raportem z obdukcji zwłok Baader był ubrany **„w niebieską koszulę w typie koszul drelichowych z nakładanymi kieszeniami"**, a pod spodem miał **„podkoszulek z długimi rękawami, w rdzawym kolorze".** Na prawej ręce oba rękawy były podwinięte. Znawcy więzienia w Stammheim nie widzą nic dziwnego w zamianie odzieży na oddziale terrorystów, bowiem do chwili wprowadzenia zakazu kontaktowania się więźniowie z VII piętra żyli w czymś w rodzaju komuny.

TYPOWY PRZYPADEK

O ile okoliczności śmierci Andreasa Baadera były niezwykłe, o tyle w wypadku Gudrun Ensslin na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się normalne.

Wisiała na górnej części wewnętrznych krat otwartego okna, umieszczonego w wykuszu. Wokół szyi zaciśnięty był podwójny kabel jej gramofonu, całkowicie pokryty plastikową izolacją. Podwójnie zawinięta pętla była pod podbródkiem kilkakrotnie zawiązana na supeł. Pętla musiała być zawiązana na szyi — miała zbyt małą średnicę, by można było wsunąć do niej głowę.

Jeśli przyjąć, że było to samobójstwo, to potrzebne były dłuższe przygotowania, zanim więźniarka poszła na spotkanie śmierci, zeskakując z krzesła. Być może tłumaczy to fakt, że... judasz w drzwiach został przesłonięty materacem.

Ciało, wzrostu 168 cm i wagi niecałych 50 kg, wisiało swobodnie, plecami do okna, z rękami i nogami luźno zwisającymi, z wyciągniętymi palcami stóp. Krzesło stało tuż przy zwłokach, zostało przypuszczalnie odsunięte na bok na skutek skurczów ciała powieszonej. Na górnej powierzchni krzesła, którym posłużyła się Ensslin, prof. Rauschke gołym okiem odkrył włosy, nici z wełnianych skarpet, resztki zaprawy tynkarskiej. Jednak policja kryminalna nie natrafiła na żadne ślady, które pozwalałyby wnioskować o współdziałaniu drugiej osoby. Nie znany jest jeszcze wszakże wynik analizy mikrośladów.

NIC NIE PRZEMAWIA ZA MORDERSTWEM

Przeanalizowano podejrzenia, że więźniarka została powieszona przy użyciu przemocy. W historii medycyny sądowej wypadki takiego powieszenia zdarzają się bardzo rzadko. Mordercy musieliby pochwycić ofiarę tak mocno, że na ramieniu w zgięciu łokcia pozostałyby krwawe sińce, nie mówiąc już o śladach obrony. Nie było ich u Gudrun Ensslin. Również pokazywane niekiedy w filmach podciąganie ofiary do góry na linie nie byłoby morderstwem doskonałym — na linie, a także na plastikowym kablu pozostałyby ślady tarcia. Takich śladów również nie było. Co prawda, policja zrezygnowała ze zbadania, czy na użytym do powieszenia kablu prądu słabego pozostały odciski palców. Powód: na kablu tej mocy nie da się ich odkryć.

Istnieje jednak możliwość odurzenia ofiary przed powieszeniem. Doniesienie w górę nieprzytomnej Gudrun Ensslin, ważącej około 49 kg, byłoby możliwe nawet bez pozostawienia śladów ucisku. Tyle, że analiza chemiczno-toksykologiczna, badanie krwi i moczu, nie dały — jak stwierdzili w swym sprawozdaniu lekarze dokonujący obdukcji — **„żadnych punktów zaczepienia, które pozwalałyby wnioskować, że na krótko przed śmiercią do organizmu wprowadzono substancje, mogące spowodować zakłócenie lub utratę świadomości".**

Ale co oznaczają ślady użycia przemocy, sińce i małe zadrapania na lewej piersi oraz sińce na obu kolanach Gudrun Ensslin? Również to lekarze sądowi tłumaczą w przekonywający sposób: śmierć przez powieszenie nie następuje z reguły przez złamanie kręgu szyjnego, jak to sobie wyobrażają laicy, lecz przez uduszenie, i to w czterech różnych fazach. Już po siedmiu-ośmiu sekundach następuje utrata przytomności, tętnice i drogi oddechowe zostają zaciśnięte. Po około pół minuty pojawiają się skurcze mięśni, podobne do występujących podczas ataków padaczki. W tej fazie samobójca może chwytać się za pierś i uderzać nogami w krzesło czy stołek — krótko mówiąc, te ślady są typowe, należało się ich spodziewać.

Określenie czasu śmierci było w wypadku Gudrun Ensslin równie trudne, jak w wypadku Andreasa Baadera. Jako najwcześniejszy możliwy czas lekarze podają okres między godz. 1,15 a 1,25 — a więc w godzinę po meldunku z Mogadiszu.

Obdukcji zwłok Jana-Carla Raspego dokonali wkrótce po jego śmierci na stole operacyjnym w szpitalu św. Katarzyny, i kazali sobie pokazać preparaty operacyjne, tzn. tkankę z okolicy wlotu i wylotu kuli po obu stronach czaszki. Po prawej stronie wynik testu na istnienie śladów osmalenia prochem był pozytywny. Śladów tych nie było natomiast na dłoni, w której Raspe trzymał broń; przy udzielaniu pierwszej pomocy i w czasie transportu ewentualne ślady na rękach zostały zatarte.

Analizy medyczne i kryminalistyczne pozwalały na wniosek, że strzał oddano z bliska, przypuszczalnie w pozycji półleżącej. Między ścianą a skronią Raspego było zbyt mało miejsca, żeby jakaś druga osoba mogła z tej strony przyłożyć broń do skroni. Po przejściu przez czaszkę 9-milimetrowy pocisk zadrasnął drewniany regał (w rysie pozostały czasteczki włosów i tkanki), a następnie wybił dziurę w ścianie. Na drugi dzień policja znalazła w tym miejscu pocisk. Prof. Mallach zakłada, że Raspe — ze względu na duży kaliber broni — nie miałby żadnych szans na przeżycie, nawet gdyby go znaleziono wcześniej.

Na broni, którą posłużył się Raspe, typu Heckler i Koch, a którą znaleziono w jego dłoni i zawinięto następnie w chustkę, także nie znaleziono — podobnie jak na broni Baadera — żadnych dających się odczytać odcisków palców.

Dotychczas nie stwierdzono, kiedy Raspe zadał sobie ranę postrzałową. Jesteśmy tu zdani na nieprecyzyjne informacje Irmgard Moeller — tej więźniarki, która przeżyła, leżała ona w celi naprzeciwko i rzekomo jeszcze między czwartą a piątą nad ranem rozmawiała z Raspem.

TELEFON W WIĘZIENIU

Nikt nie zapytał Moeller, w jaki sposób mogła się w ogóle porozumiewać ze swoimi towarzyszami z innych cel. Na podstawie bowiem wewnętrznego zarządzenia z 4 października 1977 roku kierownictwo więzienia w Stammheim zakazało więźniom odbioru wszelkich audycji telewizyjnych i radiowych oraz wszelkich kontaktów między sobą. Porozumiewanie się przez stukanie w ściany cel uniemożliwiono w ten sposób, że cele zajęte przedzielono pustymi. Nocą drzwi do cel uszczelniano grubymi wyścielanymi płytami, aby więźniowie nie mogli się porozumiewać okrzykami. Prawdopodobne jest, że Irmgard Moeller i inni więźniowie w nocy, kiedy rozgrywały się wypadki w Mogadiszu, porozumiewali się potajemnie za pomocą własnej sieci łączności, swego rodzaju „telefonem celowym", a ponadto odbierali również wiadomości radiowe...

Zarówno osobom odwiedzającym terrorystów urzędowo, jak i kapelanom więziennym czwórka więźniów dawała do zrozumienia, że nadal doskonale orientuje się w wydarzeniach, rozgrywających się w świecie zewnętrznym — jednakże strażnicy i odwiedzający zakładali, że te „strzępki informacji" pochodziły z nastawionych na cały regulator odbiorników radiowych „normalnych" więźniów z niższych pięter. Z radia więziennego, które podłączone jest do wszystkich cel, terroryści nie mogli korzystać. Już na długo przed ustawą o zakazie kontaktów elektryk więzienny odłączył cele czterech więźniów, na ich własne życzenie, od więziennej sieci radiowej, ponieważ obawiali się podsłuchu.

Jak stwierdził ekspert głównej dyrekcji poczty, którego 19 października 1977 roku wezwano do obejrzenia cel, odłączenia tego dokonano **„w sposób niejako uproszczony".** Właśnie w celi Irmgard Moeller — a nie poza korytarzem terrorystów — elektryk rozłączył przewody i nałożył na ich końce dwie klamerki, których nawet porządnie nie zacisnął. Więźniarka mogła w każdej chwili, posługując się pilnikiem lub po prostu paznokciem, doprowadzić przewód do dawnego stanu, łącząc oba końce drutów — było to niezwykle potrzebne od chwili, kiedy więźniom odebrano prywatne radia.

Kiedy przewód był głuchy, wystarczyło podłączyć do niego głośnik lub słuchawkę i telefon był gotów. Jan-Carl Raspe, mający duże uzdolnienia techniczne, przez manipulowanie wzmacniaczami gramofonów i sporządzenie specjalnych połączeń — wszędzie leżały całe stosy kabla — najwyraźniej tak udoskonalił instalację, że w ciągu 10 sekund można było stworzyć „znakomitą sieć łączności"... Nocą, gdy radio więzienne było wyłączone, Raspe przypuszczalnie retransmitował swym towarzyszom z korytarza terrorystów audycje ze swojego odbiornika tranzystorowego, który po jego śmierci odkryto zawinięty w pulower.

W ten sposób więźniowie na VII piętrze mogli nawet już po wprowadzeniu zakazu kontaktowania się występować jako zwarta całość; byli także cały czas poinformowani o przebiegu uprowadzenia Schleyera i samolotu Lufthansy. Nie dowodzi to jednak wcale, że przed 18 października 1977 r., lub też tejże samej nocy umówili się, że popełnią zbiorowe samobójstwo.

cdn.

co rzeczywiście wydarzyło się w więzieniu w Stammheim?

30 rocznica wydarzeń lutowych

Po zakończeniu II wojny światowej Republika Czechosłowacka odrodziła się w kształcie nieco odmiennym od innych państw wschodniej Europy. Tak się stało, gdyż podczas wojny doszło do współpracy wszystkich ugrupowań antyfaszystowskich. Emigracyjny rząd i prezydent Benesz, pomni historycznej lekcji z Monachium, zdecydowali się na współpracę z komunistami, a w polityce zagranicznej na sojusz ze Związkiem Radzieckim. Również czołowi działacze KPCz. z Klementem Gottwaldem widzieli potrzebę konsolidacji wszystkich sił postępowych przy budowie nowej Republiki. Zdecydowanej, zorganizowanej opozycji prawicowej w tym czasie nie było. Politycy mieszczańscy zaakceptowali program reform skierowany przeciwko kapitałowi monopolistycznemu, komuniści uznali, że program socjalistycznych przeobrażeń należy realizować bez nadmiernego forsowania i pośpiechu.

Stopniowo zaczęto wprowadzać w życie reformy społeczno-ekonomiczne, wśród których szczególnie ważne znaczenie miała reforma rolna i nacjonalizacja przemysłu. Akty te dokonywały się już w nieuniknionej walce politycznej, którą łagodziło aprobujące stanowisko prezydenta Benesza. Niemniej w Czechosłowacji, podobnie jak w pozostałych krajach Europy środkowej i południowo-wschodniej następował rozpad sojuszów sił politycznych pozostających dotychczas w różnych formach współpracy. Różnice w koalicji rządowej, walka na forum parlamentu, rozmaite nietrwałe rozwiązania kompromisowe — pod wpływem warunków wewnętrznych i zewnętrznych — doprowadziły do kryzysu politycznego.

Bezpośrednią przyczyną zaostrzenia sytuacji było podjęcie prób wyjścia z trudnej sytuacji gospodarczej Czechosłowacji w roku 1947. Rok ten przyniósł katastrofalny nieurodzaj. Komuniści proponowali, aby koszty pomocy dla wsi ponieśli kapitaliści, płacąc tzw. podatek milionerski. Prawica chciała skorzystać z pomocy państw kapitalistycznych, w ramach Planu Marshalla, który państwa europejskie będące w sojuszu z ZSRR zdecydowanie odrzuciły. Tym razem, mimo sprzeciwów opozycji i wahań Benesza przyjęto rozwiązania zaproponowane przez komunistów, którzy nalegali na dalsze przyśpieszanie reform, m. in. objęcie nacjonalizacją średnich przedsiębiorstw. Prawica natomiast domagała się stabilizacji stosunków społeczno-ekonomicznych w kraju.

Dla wszystkich ugrupowań politycznych było jednak oczywiste, że nadchodzi czas już nie kolejnych, szczegółowych rozwiązań, ograniczonych reform, ale moment wyboru dalszej drogi rozwojowej kraju, nieuniknionych przemian o charakterze polityczno-ustrojowym. Pozycja komunistów w owym czasie była silna. W 300-osobowym parlamencie w wyniku wyborów z maja 1946 roku posiadali 114 mandatów, a współpracująca z KPCz. partie socjaldemokratyczną reprezentowało 37 posłów. Lewicę popierali też niektórzy posłowie z innych partii.

Na początku 1948 r. (po zmianach w kierownictwie partii socjaldemokratycznej zbliżającej się teraz do centrum) ugrupowania prawicowe zdecydowały się na rozpoczęcie konfrontacji. Pretekstem były zmiany personalne w resorcie spraw wewnętrznych. 20 lutego na ręce premiera Gottwalda złożyło dymisję 12 ministrów, by zmusić rząd do dymisji, licząc na powołanie gabinetu bez udziału komunistów. Komuniści obawiając się — w ślad za przesileniem gabinetowym — zbrojnego wystąpienia prawicy, odwołali się do społeczeństwa, do masowych wystąpień, zmobilizowali robotników. 22 lutego KC KPCz. podjęły decyzję o powołaniu 10-tysięcznej milicji robotniczej. 25 lutego pierwsze oddziały milicji w Pradze i Bratysławie otrzymały broń.

W tym czasie na praskim Zamku, siedzibie prezydenta Republiki, trwały nieustanne rozmowy i konferencje. Benesz wahał się z przyjęciem dymisji ministrów, Gottwald nalegał na rekonstrukcję gabinetu, gdyż dymisję złożyła mniejszość i rząd mógł funkcjonować, tylko wymagał uzupełnienia. Prezydent znalazł się w dramatycznej sytuacji, musiał dokonać ostatecznego wyboru, którego do tej pory unikał. Ideowo związany z opozycją, nie chciał zrywać współpracy z komunistami i sojuszu z ZSRR. Do konfrontacji z lewicą zachęcali go polityczni przyjaciele. Poseł USA zadeklarował gotowość udzielenia Czechosłowacji 25 milionów dolarów kredytu. Z drugiej strony miały miejsce liczne demonstracje ludności domagającej się przyjęcia dymisji ministrów. Największa z nich odbyła się 21 lutego na Rynku Staromiejskim w Pradze, podczas której przemawiał Gottwald, a delegacja przedłożyła prezydentowi żądanie rekonstrukcji gabinetu.

25 lutego prezydent przyjął dymisję ministrów opozycyjnych i mianował nowych zaproponowanych przez premiera Gottwalda, wśród których oprócz komunistów znaleźli się politycy z partii ludowej, socjalistyczno-narodowej i demokratycznej. W ten sposób zakończył się kryzys gabinetowy, rozwiązany w znacznej mierze dzięki postawie Benesza, w sposób konstytucyjny. Czołowi opozycjoniści zaczęli opuszczać kraj, nielegalnie, lecz bez przeszkód ze strony władz. Prezydent faktycznie wycofał się z życia politycznego, ale do dymisji podał się dopiero po wyborach z 30 maja, które przyniosły zdecydowaną przewagę komunistom. Nowym prezydentem Zgromadzenie Narodowe wybrało Klemensa Gottwalda. Czechosłowacja wkroczyła na drogę socjalistycznego rozwoju.

Bezceremonialne wtrącanie się Waszyngtonu do wewnętrznych spraw Włoch i Francji, który niedwuznacznie dał do zrozumienia, że nie zniesie udziału partii komunistycznych w rządach tych państw, wyraźnie dowodzi, iż deklaracje Stanów Zjednoczonych o poszanowaniu suwerenności innych krajów, a w tej liczbie także zachodnioeuropejskich sojuszników NATO są demagogiczne i obłudne.

Ten impertynencki krok rządu USA wzbudził międzynarodowe oburzenie. Ale nie tylko. Wywołał także duże zaniepokojenie na Zachodzie, że polityka amerykańska może się rozwijać w duchu zimnej wojny. Należy przypomnieć, że podczas kampanii przedwyborczej J. Carter podkreślał ze szczególną siłą, że nie aprobuje wystąpień przeciwko możliwemu udziałowi komunistów w rządach Francji, Włoch, Portugalii, a więc podejścia tak charakterystycznego dla polityki zagranicznej Kissingera. Oto co mówił na ten temat podczas kampanii przedwyborczej obecny prezydent USA: „Powinniśmy szanować wyniki demokratycznych wyborów i prawo krajów do dokonywania własnego, swobodnego wyboru".

Całkowita stagnacja i niemożność rządów, przede wszystkim Włoch, a następnie Francji, zahamowania pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego, wzrostu inflacji i bezrobocia, poderwały popularność partii rządzących w tych krajach. Komuniści wyrażają żądania i aspiracje narodów tych krajów stworzenia jakościowo innych rządów i prowadzenia innej polityki. Taki jest, najogólniej rzecz biorąc, sens kryzysu politycznego w tych krajach, i właśnie w tej sytuacji Stany Zjednoczone zaczęły rzucać pogróżki pod adresem Włoch i Francji. Jeśli chodzi o Włochy, to zarówno dla Cartera jak i dla międzynarodowych korporacji USA problem polega na tym, żeby przeszkodzić Włoskiej Partii Komunistycznej w odegraniu wiodącej roli w politycznym kierownictwie Włoch, żeby mieć we Włoszech rząd, który będzie powolny strategicznym i finansowym interesom imperializmu USA. Publicysta tygodnika „Peoples World", ukazującego się w San Francisco, podkreśla, iż w Waszyngtonie wychodzi się z założenia, że Włochy, siedząc w długach po uszy (21 miliardów dolarów!), nie obejdą się bez pomocy Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a tam decydujący głos mają Stany Zjednoczone.

Co się tyczy Francji, to chociaż oświadczenie Departamentu Stanu, w którym wystąpił on jednoznacznie przeciwko udziałowi komunistów w rządzie, dotyczyło Włoch, to jednak grunt, na którym mogło ono powstać przygotowywano już podczas podróży Cartera do Francji. Prezydent USA uznał za konieczne spotkać się w Paryżu z przywódcą Francuskiej Partii Socjalistycznej — Mitterandem. Podczas tego spotkania Carter wyraźnie wypowiedział się przeciwko odnowieniu sojuszu z komunistami.

Oceniając dotychczasową działalność Jimmy Cartera na stanowisko prezydenta USA, nawet prasa amerykańska zwraca uwagę, iż coraz bardziej ulega on wpływom zwolenników polityki zimnej wojny. Wskazywałyby na to, m.in., decyzje jego rządu o rozpoczęciu produkcji rakiet skrzydlatych i bomby neutronowej, decyzje o zwiększeniu liczby amerykańskich wojsk w zachodniej Europie, o rozmieszczeniu arsenałów broni neutronowej w krajach NATO i ostatnio, niejako w tym kontekście, przeciwdziałanie udziałowi komunistów w rządach państw zachodnioeuropejskich, uczestniczących w Pakcie Północnoatlantyckim.

Obserwator polityczny „Washington Post" przypuszcza, że Carter, odpierając ataki prawicowych ultrapatriotów, po prostu daje przedstawienie licząc na efekty wewnątrzpolityczne. I jeśli cała ta gra na tym tylko polega, to, zdaniem obserwatorów, skończy się ona taką samą kompromitacją jak podobne gry prowadzone przez poprzedników obecnego prezydenta USA. Kennedy, na przykład, wziął jeszcze bardziej antykomunistyczny kurs wobec Kuby, niż jego konkurent w tej materii — Nixon. W konsekwencji doprowadziło to do największej klęski Kennedy'ego — tęgiego lania w Zatoce Świń i kompromitacji wobec całego świata. Militarna interwencja Johnsona w Północnym Wietnamie zneutralizowała wprawdzie jego krytyków z prawicy, ale doprowadziła do bankructwa rządu demokratów. Ostatnie, być może spektakularne, decyzje Cartera mogą go także wmanewrować w sytuację, z której trudno mu będzie powrócić do polityki odprężenia (na której opierał swój program przedwyborczy). Będąc przy tych sprawach, przypomnijmy, ileż to przedwyborczych obiecanek Cartera dotyczyło zmniejszenia środków na zbrojenia. Była wtedy mowa o co najmniej 5 miliardach dolarów, co nawet wzbudziło nadzieje Amerykanów na zmniejszenie wkładów na cele NATO. Ale to było dawno, a teraz prezydent USA zamierza asygnować na wydatki Pentagonu dodatkowo 10 miliardów dolarów w celu umocnienia militarnego potencjału NATO w zachodniej Europie.

Włosi są oburzeni brutalnym wtrącaniem się USA do wewnętrznych spraw Włoch. Nawet chrześcijańscy demokraci są zażenowani oświadczeniem Departamentu Stanu. Po nadzwyczajnym posiedzeniu w Białym Domu „w związku z kryzysem rządowym we Włoszech", w bezprecedensowym oświadczeniu Departamentu Stanu, które zaszokowało nawet samych Amerykanów, powiedziano dosłownie: „Nie życzymy sobie żadnego udziału komunistów w rządach krajów zachodnioeuropejskich. Ponadto chcielibyśmy osłabienia wpływów komunistycznych w każdym z krajów zachodniej Europy".

Nigdy jeszcze — pisze komentator polityczny mediolańskiej „Panoramy" — Biały Dom, nawet w czasach Nixona, nie występował z tak poważnymi, oficjalnymi ostrzeżeniami pod adresem Włoch, nigdy jeszcze Włoskiej Partii Komunistycznej tak otwarcie nie nazwano za oceanem „siłą antydemokratyczną". Mieszanie się USA do wewnętrznych spraw Włoch zaczęło się oczywiście nie od dzisiaj. Świadczy o tym działalność amerykańskich ambasadorów w Rzymie. James Dann, ambasador USA we Włoszech, w latach 1946—52, wzywał do użycia wszelkich możliwych politycznych, ekonomicznych i wojskowych środków, żeby tylko przeszkodzić komunistom w dojściu do władzy we Włoszech. Jego następca, C. Lucy, otwarcie głosiła, iż „długiem Włochów jest walka przeciwko komunistycznemu zagrożeniu". Ona zablokowała drogę amerykańskim inwestycjom do tych włoskich przedsiębiorstw, które znajdowały się w strefie silnych wpływów postępowych związków zawodowych. Ona popierała przeciwników Giovanni Gronchiego, wybranego na stanowisko prezydenta, dzięki głosom posłów do parlamentu z ramienia WIPK. W latach 1957—60 ambasadorem USA we Włoszech był James Zellerbach. To jemu udało się nakłonić rząd włoski do wydania zezwolenia na budowę ważnych strategicznie baz wojskowych na Półwyspie Apenińskim i na Sardynii. Następny ambasador, Frederic Reinhardt, za wszelką cenę próbował przeszkodzić działalności rządów lewicowo-centrystycznych, do których wchodzili socjaliści. Graham Martin, ambasador USA w Rzymie w latach 1969—73, był niezwykle hojny w pomocy finansowej dla prawicy włoskiej (ogółem w latach powojennych USA rozdały antykomunistycznym liderom we Włoszech około 50 miliardów lirów!). Martin wręczył 500 milionów lirów szefowi SID (wojskowy kontrwywiad), który później oskarżono o udział w spisku skrajnej prawicy dążącej do obalenia siłą rządu włoskiego. Martina wymienił John Wolphe. W 1975 roku gwałtowne protesty wywołał jego antykomunistyczny wywiad udzielony tygodnikowi „Epoca". W marcu 1977 roku, do stolicy Włoch przybył Richard Gardner, obecny ambasador USA we Włoszech, uprzednio doradca prawny właściciela koncernu „Fiata" i innych włoskich przemysłowców w Nowym Jorku. Jego konserwatywne poglądy są szeroko znane. Będąc pomocnikiem przedstawiciela USA w ONZ, zaproponował wstrzymanie amerykańskiej pomocy i eksportu USA do tych krajów Trzeciego Świata, które by odmówiły sprzedaży surowców na warunkach dyktowanych przez państwa kapitalistyczne. Gardner zawsze uznawał prawo CIA do finansowania działalności organizacji antykomunistycznych i prawicowej prasy za granicą, w tej liczbie także we Włoszech. Od pierwszych dni pełnienia swej dyplomatycznej „misji" w Rzymie rozpoczął zmasowaną kampanię przeciwko zbliżaniu się komunistów do władzy...

JERZY CZECH

W DUCHU ZIMNEJ WOJNY

GEN. HAIGA TAKTYKA SPALONEJ ZIEMI...

Przeciwko rozwijaniu nowej spirali zbrojeń, które chcą narzucić światu kraje kapitalistyczne, wypowiedziały się już miliony ludzi. Dzień po dniu rozszerza się międzynarodowy front walki przeciwko barbarzyńskiej broni masowej zagłady, jaką jest bomba neutronowa. Tymczasem 21 lutego opozycja w rządzie RFN — CDU/CSU opowiedziała się za wyposażeniem wojsk NATO w Europie w broń neutronową. Rzecznik SPD oświadczył w imieniu swojej partii, że powinni o tym zadecydować Amerykanie. Oznacza to, iż partie zachodnioniemieckie pozostawiają im decyzję w sprawie rozmieszczenia arsenału z bronią neutronową na terytorium RFN...

Jednakże amerykański generał Haig, głównodowodzący wojskami NATO w Europie, całą sprawę już przesądził. W wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Newsweek", bez owijania w bawełnę oświadczył, że nie może być nawet mowy o uchyleniu się od rozmieszczenia arsenałów neutronowych w zachodniej Europie. Nazwisko Haiga wiąże się w pamięci Wietnamczyków z taktyką spalonej ziemi, z bombami napalmowymi, z bronią chemiczną, która na dziesiątki lat wyjałowiła pola ryżowe, z setkami tysięcy kalek i zabitych. Kiedy Haig dowodził operacjami wojskowymi w Wietnamie, robił to w „imię obrony wolności i bezpieczeństwa Wietnamczyków..." Teraz z kolei dowodzi w Brukseli i „w imię wolności i bezpieczeństwa Zachodu" chce obdarować ludność krajów zachodnioeuropejskich nową bronią masowej zagłady. W tej „humanitarnej misji" sekunduje mu generalny sekretarz NATO — Luns.

W styczniu, radziecki minister spraw zagranicznych A. A. Gromyko uprzedził o następstwach, które może za sobą pociągnąć włączenie bomby neutronowej do arsenału krajów NATO i powiedział, że w interesie pokoju i zahamowania wyścigu zbrojeń ZSRR proponuje mocarstwom zachodnim porozumienie o wzajemnym zakazie produkcji broni neutronowej.

Krajom imperialistycznym nie jest obojętne, kto w oczach opinii światowej będzie ponosił odpowiedzialność za pierwszy krok na drodze uzbrojenia NATO w bombę neutronową. Ponieważ chodzi tu o amerykańską broń, ostatnie słowo w tej sprawie ma prezydent USA. Ale nie zamierza on lokować arsenału neutronowego na terytorium swego kraju, na przykład w Teksasie. Nie, ta broń masowej zagłady jest przeznaczona „na eksport" do zachodniej Europy. Zawsze to dalej od USA.

Stany Zjednoczone wolałyby naturalnie, żeby członkowskie kraje NATO same poprosiły USA o bombę neutronową, ponieważ w tym wypadku całą odpowiedzialność można by zwalić na barki określonych rządów i dlatego z napięciem czekają na decyzję swego głównego partnera w NATO — RFN. Oddanie broni neutronowej w ręce NATO-wskich generałów byłoby zaprzeczeniem zarówno odprężenia politycznego, jak i militarnego, i groziłoby wzrostem niebezpieczeństwa konfliktu jądrowego.

W historii ludzkości nie było jeszcze broni, która by zabijała „tylko" wszystko, co żyje, a pozostawiała w stanie nietkniętym dobra materialne. Zasadę działania tej broni trafnie scharakteryzował londyński „Times": „Żartownisie nazywają ją kapitalistyczną superbronią, ponieważ stawia ona dobra materialne ponad ludzkie życie..."

(C)

NASTĘPSTWA WYDARZEŃ NA CYPRZE
W BELGRADZIE WCIĄŻ TRUDNO
PAKIET ROZSĄDNYCH PROPOZYCJI

To, co zdarzyło się w ub. tygodniu na **CYPRZE**, wciąż ma niejasne tło. Zamordowanie delegata egipskiego na konferencję Organizacji Solidarności Narodów Azji i Afryki, (która obradowała w Nikozji), dyrektora dziennika „Al Ahram" — J. El Sebaia i niezapowiedziana akcja komandosów egipskich na lotnisku Larnaka — w momencie, gdy ponoć pomyślnie toczyły się rozmowy z porywaczami — wszystko to **wprowadziło stosunki egipsko-cypryjskie w stan wrzenia z finałem zerwania ich przez Kair.** Bezpośrednim powodem tej decyzji jest zastrzelenie 15 żołnierzy egipskich i spalenie samolotu, którym przylecieli. A doszło do tych faktów w sytuacji zupełnego zdezorientowania cypryjskiej gwardii narodowej, ponieważ, według oficjalnych źródeł nikozyjskich, nikt o interwencji komandosów nie wiedział.

Drugim następstwem zamachu na przedstawiciela Egiptu jest **wywołanie w Kairze burzliwych demonstracji przeciwko Palestyńczykom** (wznoszono np. okrzyki: „Po tym, co się stało, żadnej Palestyny"), chociaż sprawcy mordu nie reprezentowali żadnego z ugrupowań Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Kierownictwo tejże ostro potępiło zamordowanie Sebaia, nazywając to „barbarzyńskim i brutalnym aktem zdrady przeciwko narodowi palestyńskiemu". Komentatorzy twierdzą, że tak poważne zaostrzenie stosunków palestyńsko-egipskich może stać się pretekstem dla Kairu nawet do cofnięcia poparcia dla OWP. Rozwiązywałoby to ręce Sadatowi — i mógłby wówczas łatwiej realizować swą separatystyczną koncepcję uregulowania konfliktu bliskowschodniego.

Tak więc na całym dramatycznym wydarzeniu — czy to przypadek? — **korzysta znów Izrael.** Trudno w tym miejscu oprzeć się refleksji, że owa nerwowość utrzymywać się będzie tak długo, jak długo w sposób kompleksowy nie zostanie rozwiązany nabrzmiały problem bliskowschodni.

Zaczęliśmy przegląd od wydarzeń na Cyprze, gdyż na kilka dni odwróciły one uwagę od **BELGRADU**, gdzie trwają zmagania o treść komunikatu końcowego spotkania przedstawicieli państw — sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE. Przedstawiono kilka projektów, różniących się od siebie znacznie. **Stanowisko Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych jest jednoznaczne:** podstawą powinien być wspomniany Akt, gdyż nie ma od niego lepszego dokumentu. Komunikat końcowy z Belgradu powinien ułatwiać poszukiwanie tego, co korzystne dla wszystkich. Eksponowanie zaś tego, co dzieli lub przynosi jednostronną korzyść, jest sprzeczne z duchem Helsinek. Niestety, nie wszystkie delegacje przyjęły taki tok rozumowania.

Przebieg prac nad komunikatem nie jest zadowalający i agencje gubią się w domysłach, jak długo jeszcze potrwa spotkanie. Optymiści twierdzą, że być może rozstrzygnięcie przyniesie już bieżący tydzień, pesymiści mówią o marcu.

Pisaliśmy na tym miejscu wielekroć, że w br. zbierze się ONZ na specjalnej sesji Zgromadzenia, aby dyskutować wszechstronnie **PROBLEM ROZRBOJENIOWY.** Do sesji tej kraje socjalistyczne przywiązują dużą wagę. Potwierdza to **propozycja, jaką przedłożyliśmy w Komitecie Rozbrojeniowym w ub. tygodniu.** Aby dyskusja była owocna — trzeba, naszym zdaniem, doprowadzić do zawarcia kilku układów. Powinny one dotyczyć: pohamowania nuklearnego wyścigu zbrojeń i rozbrojenia nuklearnego, zapobieżenia wywołania takiego konfliktu, całkowitego i powszechnego zakazu doświadczalnych eksplozji jądrowych, wzmocnienia reżimu nierozpowszechniania tej broni, zakazu prac badawczo-rozwojowych, produkcji i składowania broni chemicznej, zakazu produkcji nowych rodzajów i systemów broni masowego zniszczenia, utworzenia stref bezatomowych, ograniczenia wojsk oraz broni konwencjonalnych, redukcji budżetów wojskowych, demilitaryzacji dna mórz i oceanów, podjęcia regionalnych środków, prowadzących do odprężenia militarnego.

W propozycjach tych są zarówno już zgłaszane, jak i zupełnie nowe. Niektóre zmierzają do nadania realizowanym porozumieniom cech powszechności. Jest to **rozległy pakiet starannie przemyślanych inicjatyw,** które wprowadzone w życie skutecznie zablokowałyby mechanizmy napędowe wyścigu zbrojeń i wprowadziły państwa na drogę rozbrojenia.

Jak wiadomo, różne czastki wielkiego problemu rozbrojenia dyskutowane są w większych lub mniejszych gremiach. Sesja specjalna może przedyskutować zagadnienie w sposób bardziej kompleksowy. Aby jednak wymiana poglądów nie utonęła w ogólnikach i przyniosła spodziewane wyniki — celowe jest skupienie uwagi na konkretnych sprawach. **Wnosza je na porządek dnia właśnie propozycje krajów socjalistycznych.** Kolejny to dowód, jak poważnie traktujemy najważniejszy obecnie ze światowych problemów — problem rozbrojenia.

W. SŁAWSKI

CZYSTA PRACA

Widok w ubiegłym tygodniu dokonał na łamach „Odgłosów" przeglądu prasy. Przy tej okazji zwrócił uwagę na felieton Aleksandra Małachowskiego z „Kultury" (19 luty 1978 r.), w którym to felietonie autor zajmuje się sprawami sportu. Widok przy tej okazji pisze „Lata całe nie czytałem tak mądrej, odkrywczej oceny wyczynowego sportu...". To ładnie ze strony Widoka, że się do tego przyznaje, ale z tego wcale nie wynika że o sporcie wyczynowym i jego ciemnych stronach nie pisano. Pewien prezes z Bielska-Białej powiedział o różnych machinacjach dziennikarzowi ten to opisał i prezes przestał być już prezesem, a nawet słyszy się, że w pracy robią mu trudności.

Cytowanie różnych myśli wyrwanych z kontekstu ma to do siebie, że często wypacza tok rozumowania autora. I w przypadku felietonu Aleksandra Małachowskiego też stało się coś podobnego. Aleksander Małachowski, wzywa bowiem do stworzenia sportu „czystego, bez ambicji międzynarodowych, bez ambicji wyczynowo-rekordowych; sportu propagującego na pierwszym miejscu tylko tę jedną sprawę, czystość działania, absolutną czystość wszystkich poczynań organizacyjnych". Tylko, że autor felietonu w „Kulturze" miesza dwie różne sprawy. Nie wyobrażam sobie sportu bez ambicji, bo równałoby się to rezygnacji z postępu. W końcu w siatkówkę można zawsze pograć na wczasach nawet na leśnej polanie, ale to zupełnie inna sprawa. Wchodząc w sportowe szranki każdy chce być lepszy, sprawniejszy i to już są ambicje wyczynowo-rekordowe. Tak zresztą było w sporcie od najdawniejszych czasów.

Czym innym są przecież machinacje, jakimi sport obrósł. Machinacje, które dla autora z „Kultury" i dla Widoka zaczęły utożsamiać się ze sportem. Tak może myśleć wiele innych osób i to jest przerażające. Ale trzeba przecież, nie rezygnując z istoty sportu, oczyścić go z tych wszystkich negatywnych naleciałości. I w takim dążeniu jestem po stronie Widoka i Aleksandra Małachowskiego.

Tak się dziwnie złożyło, że w tym samym tygodniu inny felietonista również zajął się sportem. Był nim Michał Radgowski z „Polityki". Widok oczywiście miał prawo wybrać w swoim przeglądzie prasy felieton A. Małachowskiego a nie M. Radgowskiego. Dla mnie jednak ciekawsze poglądy głosi M. Radgowski. Zwraca on bowiem uwagę na to, że niektórzy sportowcy są również... aktorami. I słusznie. Czy nie obserwujemy na boisku lub na telewizyjnym ekranie piłkarza, który ustawia się do kopnięcia piłki, aby to wyszło ładnie, aby publiczności się podobało, mniej dbając o wynik tego kopnięcia. Występowali na boiskach i stadionach sportowcy, którzy mieli szczególne predyspozycje do aktorstwa. Celują w tej dziedzinie piłkarze. Byli tacy, którzy wypinali na publiczność obnażone pośladki, a są i tacy, którzy swoje ciągoty aktorskie uzewnętrzniają w inny sposób.

Ale — powiada M. Radgowski — są sporty, w których nie można być aktorem. I podaje jako przykład — bojery. Ponoć jesteśmy urodzonymi bojerowcami, a inne nacje nazywają naszych chłopców „kawalerią północy" Zgadzając się z M. Radgowskim, że są sporty, o których A. Małachowski powiedziałby niewątpliwie „czyste", chciałabym zwrócić uwagę, że do takich sportów można również zaliczyć nasze narciarstwo klasyczne, a już biegi narciarskie bez wątpienia. Tu też nie ma prawie widowni, las wkoło i tylko wołanie trenera, który informuje o czasie rywali i instruuje co robić dalej. Tu nie ma przed kim grać zmęczenia, demonstrować wysiłku, tu trzeba walczyć z samym sobą i swoimi słabościami.

Józef Łuszczek wyrósł na bohatera w Lahti i bardzo dobrze. Tylko, że ci wszyscy, którzy wiążą z nim ogromne nadzieje na odrodzenie polskiego narciarstwa, zapominają najczęściej, że Józef Łuszczek przebiega w ciągu roku 8 tysięcy km, a w tym roku przebiegł już 3 tysiące km. Swoje sukcesy zawdzięcza ciężkiej, katorżniczej niemal pracy. Do Lahti przyjechał z trenerem na tydzień wcześniej i codziennie trenował na trasach, na których później toczył zwycięskie walki.

Ktoś porównał Józefa Łuszczka do Wojciecha Fibaka i stwierdził, że po sukcesach z Lahti biegi narciarskie stana się tak popularne, jak ten's. Wojciech Fibak ubiegłego roku nie zamknął znaczącymi sukcesami i tenis jest już trochę mniej popularny. Nie jest to dobra metoda na rozwijanie sportu. Coraz powszechniejszym przekonaniem staje się pogląd, że dobry wyczynowiec musi mieć talent. Musi, ale musi też ciężko pracować i o tym zaczynamy powoli zapominać. Ciężka praca sportowca jest tematem mało popularnym. Machinacje i wszelkie domysły, kogo, za ile i gdzie? — owszem. Tylko nigdy głośno a zawsze szeptem.

„Przegląd Sportowy" doniósł już, że „Zakopane szaleje". Kochani zakopiańczycy, wyście już raz szaleli, było to po powrocie Wojciecha Fortuny z Sapporo i co z tego wyszło? Może więc mniej radości, mniej szeptów, co on z tego ma, a więcej podziwu dla pracy i więcej czasu dla tejże pracy.

BOGDA MADEJ

WĘDRÓWKI ZIMĄ I LATEM

OPOWIEŚĆ

Edward Szuster

Brama, którą mijają, wywołuje w nim wspomnienie.

— W tym znów domu — mówi — w pierwszych miesiącach 1945 roku Włodek zorganizował sobie konspiracyjny lokal.

Syn z zainteresowaniem spogląda na mijaną kamienicę.

— Tak? A po co?

Zaskakuje go to pytanie. Odpowiedzieć na nie zwięźle nie potrafi, a szersze wyjaśnienie właściwych tamtym czasom rozterek, sentymentów i powiązań wymagałoby dłuższego wywodu.

— Z przyzwyczajenia — odpowiada. — Z przyzwyczajenia, na przełamanie, którego trzeba mu było trochę czasu.

— Co to ma być — dziwi się syn.

— Cytat z Pana Tadeusza.

— Co ci się przypomniało?

— A to — odpowiada — co wydarzyło się w tej fabryce w 1907 roku. Był to czas terroru wojskowo-żandarmskiego, porewolucyjnych represji, walk bratobójczych między socjalistycznymi, a nacjonalistycznymi bojówkami. Fabryka należała wówczas do Silbersteina i wybuchł w niej jakiś zatarg między robotnikami a właścicielem. Delegaci robotników postawili ultimatum: albo Silberstein przyjmie ich postulaty, albo zginie. Fabrykant nie godził się na ustępstwa, a delegaci także nie chcieli się cofać. Ostatecznie delegaci wyłonili spośród siebie grupkę złożoną z reprezentantów każdej działającej w fabryce partii i zobowiązali ją do zastrzelenia Silbersteina, którego zamknęli w jego gabinecie. No i zginął w tym gabinecie.

— A co było potem? — pyta syn.

— Gubernator bez sądu kazał rozstrzelać dwudziestu robotników tej fabryki. Rozstrzeliwania zakładników i odpowiedzialności zbiorowej, nie wymyślili hitlerowcy.

— To nie miało sensu — mówi syn po chwili zamyślenia. — To zabójstwo nie mogło przynieść niczego dobrego.

— A jednak ludzie zdecydowali się na to i to nie pod wpływem nagłej emocji, nie w afekcie, jak to się mówi w języku sądowym. Zrobili to po dłuższej naradzie.

— To nie miało sensu — powtarza syn.

— Tak i mnie się wydaje — zgadza się z nim. — W każdym razie trudno dziś zrozumieć tę decyzję. Co prawda ty też nie rozumiesz, czemu Włodek konspirował jeszcze po wojnie.

— Ale w końcu zdecydował się wyjść z konspiracji.

— A robotnicy w końcu zrozumieli, że zabijanie fabrykantów do niczego nie prowadzi.

Czują obaj, że dyskusja o wnioskach, jakie ludzie wyciągają z własnych pomyłek czy błędów, nie bardzo pasuje do wyprawy po świąteczne prezenty. Nie rozwijają więc jej dalej, nie próbują dociec, czy ludzie mogą uczyć się na błędach swych poprzedników, czy tylko na swoich własnych. Mijają ogród, za którym widać szkołę, do której chodził jego syn. Za szkołą jest — choć go nie widać — dom, w którym mieszkała ich babka i matka. W niedalekim budynku była przez lata całe operetka, a znów tego pasażu kiedyś w ogóle nie było, bo urządzono go wcale niedawno, choć rosną na nim spore drzewa. Gwarząc o tym dochodzą do katedry.

— Ciekaw jestem, kiedy ją odbudują — pyta syn spoglądając na okolony drewnianym parkanem teren prac zmierzających do likwidacji skutków niedawnego pożaru, który zniszczył dach świątyni. On nie ma żadnych informacji na temat tempa tych prac, wyraża jednak nadzieję, że nie potrwają one chyba zbyt długo. Grynszpanowa zieleń katedralnych dachów jest jednym z elementów obrazu miasta utrwalonego w jego pamięci; brak tej zieleni odczuwa dość silnie. Spogląda na drugą stronę ulicy, na wysoki prostopadłościan nowiutkiego, jeszcze nie zagospodarowanego biurowca.

— Maleją łódzkie kościoły — odzywa się sentencjonalnie

— Co takiego? — dziwi się syn.

— Maleją — wyjaśnia — bo obok nich powstają nowe, wysokie budynki. Ile ten ma pięter?

— Nie wiem — powiada syn. — Kilkanaście.

— Czy wiesz — pyta znowu — kiedy zbudowany został ten budynek za biurowcem, ten z czterospadowym dachem? Przed powstaniem listopadowym. Lubię tę część miasta.

Syn spogląda na ojca, tak, jakby to wyznanie zaskoczyło go nieco.

— Czemu? — pyta.

Wzrusza ramionami.

— Czy ja wiem? — mówi po chwili. — Lubię i koniec.

Znów uświadamiam sobie, że nie umie wytłumaczyć swemu synowi czegoś, co dla niego samego jest oczywiste. Czy to znaczy, że nie mogą się porozumieć, że w ogóle ludzie nie są w stanie się porozumieć? Chyba nie. Znaczy to tylko tyle, że na pytanie syna nie ma sensownej odpowiedzi. Czemu ksiądz lubi mięso, a organista kluski?

Dochodzą do wylotu ulicy, której kilka lat temu w ogóle nie było. Sąsiadujące z nią parterowe domki zaniepokoiły go, nie po raz pierwszy.

— Cholera — mówi. — Nie mam pojęcia.

— O co chodzi? — pyta syn.

— Nie mogę sobie przypomnieć — odpowiada on i nie czekając na dalsze indagacje wyjaśnia: — Tę ulicę, Milionową, przebito do Piotrkowskiej niedawno i przy tej okazji został rozebrany jeden taki domek. Zdaje mi się, że właśnie w nim była przed wojną przychodnia przeciwgruźlicza. Zdaje mi się, ale nie jestem tego pewien.

— A po co ci ta pewność?

— Bo w tej przychodni pracowała moja matka, a twoja babka.

— Rozumiem — mówi syn. — Ale można to przecież gdzieś sprawdzić.

Można — przyznaje w myśli. Można na przykład pójść do archiwum, czy do hipoteki, zagrzebać się w stare dokumenty i ustalić, co i kiedy w tym właśnie miejscu zbudowano, a co zburzono. Można odnaleźć starą książkę telefoniczną i odnaleźć w niej i numer telefonu, i adres przychodni. To wystarczy, bo numeracja domów na Piotrkowskiej nie zmieniła się. Tylko, że takie papierkowe poszukiwania może przeprowadzić każdy: ktoś, kto prawie pół wieku przeżył w tym mieście powinien bez pomocy dokumentów wiedzieć, co się w nim zmieniło.

— A teraz — oznajmia — zbliżamy się do byłego królestwa Geyera.

— Do Muzeum Włókiennictwa — stwierdza syn.

— Zgadza się. Do Muzeum Włókiennictwa i Zakładów Dzierżyńskiego. Przed wojną tu właśnie było geyerowskie królestwo. Geyerowskie i ciotki Dziuni.

Syn nie znał tej osoby, jakiejś tam dalszej kuzynki jego babki. Ciotka Dziunia na rok, czy dwa przed wojną wpadła na pomysł eksploatacji lodu ze stawu przy fabryce Geyera. Odziana w kudłaty i długachny fornalski kożuch, tkwiła nad stawem bacząc, by ludzie wynajęci przez nią do rąbania lodu nie sprzedawali go na własną rękę.

— A kto by chciał kupować lód w zimie? — dziwi się syn.

— Chyba nikt, — odpowiada on. — Ciotka Dziunia nieco przesadziła. Sama też swojego lodu nie próbowała sprzedawać od razu. Zwoziła go do jakiejś wielgachnej piwnicy i magazynowała licząc na dobry zarobek latem.

— I zarobiła?

— Wiosna okazała się zbyt ciepła, a piwnica nie dość okryta; do lata lód stopniał.

Przechodzą pod najstarszą z łódzkich fabryk, przystają przy balustradzie nad stawem. Nikt nie rąbie na nim lodu pewno i dlatego, że woda nie zamarzła, lecz odbija obraz ciemnoszarego nieba i marszczy się drobnymi, krótkimi falami poganianymi przez wiatr. Za stawem, pod drzewami parku i po jego alejkach, chodzą ludzie, którzy za czasów geyerowskich i ciotki Dziuni nie mogliby wejść do tego starannie zagrodzonego fabrykanckiego ogrodu.

Oparł się plecami o balustradę i spogląda na stojące po drugiej stronie ulicy budynki fabryczne.

— Widzisz te budynki? — pyta.

— Widzę — odpowiada syn. — Stare fabryczne budy.

— Stoją w miejscu, gdzie zaczęło się to wszystko.

— Co?

— Fabryki tego miasta. I w ogóle. Nad rzeczką Jasienią, której kawałkiem jest ten staw.

— A gdzie są inne kawałki?

— Pod ziemią, w kanale.

Stoją przez chwilę w milczeniu. Przychodzi mu na myśl inny staw: ten stworzony przez smardzewicką zaporę, wypełniający się dopiero wodą.

— Idziemy do tego „Uniwersalu" czy nie? — pyta po chwili syn.

Idziemy. Do domu wracają tramwajem.

W domu przegląda „Dziennik Łódzki". Dowiaduję się, że „od wczoraj trwa odbiór końcowy przetwórni wędlin na Teofilowie, która będzie uroczyście otwarta w piątek (21 grudnia). Obiekt, którego budowa kosztowała 165 mln złotych, wyposażony został w najnowocześniejsze maszyny z importu. Roczna produkcja 10,2 tys. ton wędlin i 4,2 tys. ton mięsa". W tej też gazecie, w artykule o sulejowskiej inwestycji, dziennikarka zauważa: „Mówi się, że nigdy nie może być tak, by nie mogło być lepiej. I rzeczywiście, wtedy gdy na budowach powiał inny wiatr, pozostały kłopoty z oczyszczalniami ścieków. Rzecz w tym, by Pilicę przestały zatruwać zakłady pracy jeszcze przed uruchomieniem wodociągu. Słowem, by w zbiorniku woda była czysta. Budowę oczyszczalni rozpoczęto bardzo późno. Przez pewien czas sytuacja tutaj przypominała pierwszy rok inwestycji. Kłopoty z oczyszczalniami ścieków szły równolegle z wielkimi i małymi radościami na place budów".

Odkłada gazetę i siada do maszyny.

— Nie było — uśmiechnęła się przekornie. — Nie było go i nie będzie Zobaczysz.

— Weź sobie inną — radziła Magda.

— Pójdę nad rzekę.

— Teraz?

— A czemu nie?

— Jak chcesz — powiedziała. — Jak Piotr przyjdzie, to cię zawołam.

Z cypla, na którym przed kilkoma godzinami pogadywałem z Pawłem, spojrzałem na wypełnioną mrokiem dolinę rzeki, na ledwo widoczne w dali lasy i na ciemne nad nimi niebo z kilkoma rozproszonymi gwiazdami. Gdzieś nad rzeką, tam gdzie niedawno przechodziłem, błyszczało jedno i drugie ognisko. Pewno rybacy umilali sobie nocne czuwanie. Ścieżką w wąwozu zszedłem na łąkę ku drzewom zwalonym u stóp skarpy. Przysiadłem na pniu sporej sosny i stwierdziłem, że mam w kieszeni zapałki — zostały tam widocznie, gdy zapalałem lampę — wstałem więc i nieco na oślep zacząłem szukać na zboczu suchych gałązek. Uzbierawszy ich sporą kupkę wlazłem w koronę zwalonej sosny, wyszukałem sobie odpowiednie miejsce i rozniecilem niewielkie ognisko, które podsycałem zielonym igliwiem dającym suty, biały dym, leniwie wznoszący się nad ziemią. Potem przysiadłem sobie opodal ogniska na konarze i niespiesznie karmiłem płomień, w którym cicho trzeszczały sosnowe igły i gałązki. Było mi dobrze. Zawsze jest mi dobrze, gdy mogę sobie tak właśnie, samotnie, w ciszy, gdzieś na uboczu, rozniecić niewielki ogień i patrzeć w jego płomień. Nie myślę wówczas o niczym — tak mi się w każdym razie zdaje — nie wspominam niczego, patrzę na płomień, słucham trzaskania ognia, wącham dym. (Dziś nie wąchałby tu żadnego dymu. Łąka jest zalaną wodą; ani tu siąść nie można, ani ognia rozpalić.).

Po jakimś czasie z ciepłego zamroczenia wyrwały mnie jakieś hałasy. Podniosłem głowę, słucham. Niedaleko brzegiem rzeki szło dwóch mężczyzn brzecząc jakimiś blaszankami i pogadując podniesionymi głosami, które nad wodą, po rosie, brzmiały szczególnie głośno i niosły się daleko.

— Ty — chrypiał jeden głos — patrz, jakiś pieprzony ogień pali.

— Niech pali — odparł głos drugi. — Niech pali, pieprzony, co ci to szkodzi.

— Dobra — zgodził się po chwili ten chrypiący. — Niech pali.

Przestali interesować się moim ogniskiem i szli w milczeniu zbliżając się do zakrętu rzeki

— Ty wiesz — odezwał się ten chrapiący — że ja mam cholerny charakter?

— Wiem — czknął ten drugi.

— Nie wiesz. Wcale nie wiesz, bo ty mnie jeszcze nie znasz.

— Znam.

Zabrzęczało coś, łomocące o trawę kroki ucichły.

— Nie wiesz. Dopiero jak ci przysunę, to się dowiesz.

— Nie wiem — gdaknął po chwili ten drugi.

Ruszyli. Znów zatupotały kroki, zabrzęczały jakieś blaszanki.

— Ja mam taki cholerny charakter, że nie wiesz.

— Wiem.

— A takich dziamgających, jak ty perliczek to znosić nie mogę.

— Ty, uważaj, woda!

— O cholera!

Słyszałem, jak gramolą się po piachu plaży i wyłażą na łąkę. Za chwilę podejdą do tego miejsca, gdzie Pilica uderza o wysoki brzeg i skręca podrywając skarpę stromym, wysokim osypiskiem Tam pewno poprzewracają się, zakopią w piachu, utkną. Pewno przypomną sobie, że ktoś tu pali ogień, i będą u tego kogoś szukać rady, czy wskazówek, jak iść dalej. Nie miałem żadnej ochoty na rozmowę z nimi choć pewno poczęstowaliby mnie gorzałą, jakiej niechybnie nie zapomnieli na te rybackie wczasy. Zasypałem ognisko piaskiem i poszedłem do innego wąwozu, którym też można się było dostać na górę.

cdn.

ENIGMA

Prezentujemy dziś drugą książkę Stanisława Strumpha-Wojtkiewicza „Sekret Enigmy". Pośród wielu tajemnic związanych z II wojną światową, najpilniej przestrzeganc sekretu Enigmy, czyli nader skomplikowanej maszyny szyfrującej.

Dopiero 30 lat po zakończeniu wojny wyszło na jaw, że uporanie się z jej pomysłową konstrukcja doprowadziło wreszcie do odczytywania na bieżąco rozporządzeń, meldunków i... rozkazów bojowych, wydawanych przez niemieckich przywódców i samego Hitlera.

Rozwiązanie tajemnic Enigmy było szczególnie ważnym, jeśli nie decydującym elementem zwycięstwa. Do takiego wniosku doszli autorzy brytyjscy, starannie — swoim zwyczajem — pomijając fakt, że źródłem wielkiego sukcesu była zespołowa praca trzech młodych polskich matematyków

Książka Wojtkiewicza opowiada właśnie o pracy tej trójki — Mariana Rejewskiego, Henryka Zygalskiego oraz Jerzego Różyckiego. Książka to nie tylko pasjonująca, ale i potrzebna — zważywszy, że na Zachodzie ukazują się na ten temat publikacje całkowicie rolę Polaków pomijające.

Stanisław Strupmh-Wojtkiewicz, „Sekret Enigmy", Iskry, cena 20 zł.

POLSKI CHLEB

Stanisława Strumpha-Wojtkiewicza zna bardzo wielu naszych czytelników. Być może, mimo podeszłego wieku, wciąż tkwi w nim dawny romantyk, co zresztą jest przywilejem i zarazem ułomnością wielu rodaków, ale — jak wyznaje Wojtkiewicz — „od młodości żywiłem uznanie, ba, nawet podziw dla tych, co obierając miejsce na trwałym gruncie rzeczywistości, z tej pozycji przystępowali do działań".

W książce „Polski chleb" czytelnik znajdzie rozwinięcie poglądu, że mąż stanu winien romantycznym odruchom Polaków przeciwstawiać chłodną rozwagę i decyzje wynikające z przesłanek ściśle rzeczowych, nie subiektywnych.

Tak więc o Sikorskim i Piłsudskim pisze Wojtkiewicz w rozdziale „Smutne karty historii". Także i w rozdziale następnym „Polemika z głosami we mgle" łatwo jest dostrzec rozprawę z przemyślną mistyfikacją postaw rzekomo naukowych czy patriotycznych. A w rozdziale „Pro domo sua" wyraża Wojtkiewicz własne, literackie upodobania — zajmując się — nie przez przypadek — wielkimi realistami: Tarasem Szewczenko i Maksymem Gorkim. Jest tam także mowa o Bronisławie Szwarcu — poecie i rewolucjoniście, który o Polsce ludowej marzył już przeszło sto lat temu. Wreszcie wielbiciele Żeromskiego przeczytają pewne korektury tyczące się początkowych fragmentów „Przedwiośnia". Przypomnijmy, że akcja powieści rozpoczyna się w Baku — mieście, które Wojtkiewicz zna doskonale, bowiem tu spędził dzieciństwo i młodość.

Nowa książka Strumpha-Wojtkiewicza jest przeglądem publicystyki pisarza na przestrzeni prawie trzydziestu lat.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, „Polski chleb", Iskry, cena 35 zł.

RZECZ WYOBRAŹNI

Profesor Kazimierz Wyka, wybitny historyk literatury, krytyk, eseista — trwale związany z Uniwersytetem Jagiellońskim, gdzie doktoryzował się i od roku 1948 był profesorem — zmarł 19 stycznia 1975 roku. Sprawny i operatywny Państwowy Instytut Wydawniczy rozpoczął prawie natychmiast publikować pośmiertną serię książek Profesora.

Niedawno pisaliśmy w tej rubryce o zbiorze esejów „Różewicz parokrotnie", aktualnie ukazała się kolejna pozycja z tej serii.

Jest to „Rzecz wyobraźni", drugie wydanie tego głośnego tomu rozpraw, przygotowane na podstawie konspektu sporządzonego przez profesora Kazimierza Wykę tuż przed jego śmiercią.

Zgodnie z nim tom powiększono o dwa szkice w rozdziale trzecim i cały rozdział czwarty Ta właśnie część nowa, zawiera prace poświęcone poezji i poetom, pisane w latach 1960—1974. Znajdziemy tu niezwykle interesującą analizę wierszy Leśmiana, Broniewskiego, Baczyńskiego, Przybosia, piękny szkic o Krakowie i Wyspiańskim, rozważania o poezji Harasymowicza, Białoszewskiego oraz o kunszcie przekładu Karola Dedeciusa.

Książka jest wydana pięknie i w sporym — dziesięciotysięcznym — nakładzie. Bardzo słusznie, bo publikacji prof. Wyki nie powinno zabraknąć na rynku księgarskim. Był to wszak jeden z najwybitniejszych badaczy i komentatorów naszej literatury — trzykrotny laureat Nagród Państwowych, redaktor i współpracownik wielu pism literackich, wieloletni dyrektor Instytutu Badań Literackich. Oprócz dziejów literatury okresu romantyzmu i Młodej Polski zajmował się również literaturą współczesną. W tym zakresie twórczość krytyczną Profesora reprezentują zbiory rozpraw o współczesnej prozie, poezji i sztuce.

Kazimierz Wyka, „Rzecz wyobraźni", PIW, cena 100 zł.

DZIEJE KARYKATURY

Jest to pierwsza książka omawiająca historię polskiej karykatury od jej narodzin po dzień dzisiejszy. Napisali ją wspólnie: historyk sztuki oraz grafik, karykaturzysta, zamiłowany poszukiwacz i kolekcjoner rysunków satyrycznych, współzałożyciel i wieloletni redaktor „Szpilek".

W swych badaniach nad początkami karykatury polskiej autorzy sięgnęli do najwcześniejszych przejawów humoru i satyry w rodzimej sztuce średniowiecznej. Fragmenty dekoracji rzeźbiarskiej kolumn klasztornych z XII wieku, iluminacje rękopisów czy rysunki na ich marginesach — wszystko, co zawiera elementy komizmu, groteski, humoru, bądź ostrej satyry zostało skrzętnie zebrane i przedstawione czytelnikowi.

Z owych zalążków tematycznych i ikonograficznych w anonimowej twórczości artystycznej, kontynuowanej i rozwijanej w nieoczekiwanych często rysunkach i drzeworytach, które nie zawsze przechowały się do naszych czasów, ukształtowała się karykatura — z biegiem lat wyodrębniając się w samodzielną dziedzinę sztuki.

Stała się orężem w walce z ciemnotą i zacofaniem, podejmowała problemy społeczne, polityczne i gospodarcze, kwitowała z pobłażliwym uśmiechem słabostki ludzkie, lub pokazywała w krzywym zwierciadle portrety osób i zdarzeń. Była niesforna, zawsze obecna, zawsze aktualna — pomagała burzyć stare i budować nowe.

Hanna Górska i Eryk Lipiński wydobyli z zapomnienia nazwiska ludzi, którzy uprawiając karykaturę traktowali często swą twórczość w tej dziedzinie jako zajęcie uboczne, lub wręcz wstydliwe. Wielu artystów pozostaje jednak nie znanych, mimo żmudnych poszukiwań nie udało się ustalić ich nazwisk.

Oczywiście historia karykatury nie może się obejść bez ilustracji Na koniec więc dodamy, że na 350 stron tekstu autorzy pomieścili ponad 300 ilustracji — od średniowiecznych drzeworytów do współczesnych karykatur najmłodszego pokolenia polskich artystów.

Hanna Górska. Eryk Lipiński, „Z dziejów karykatury polskiej", Wiedza Powszechna, cena 110 zł.

SZANSA WIELKOŚCI

„Opera zła jest najgorszym z gatunków sztuki, dobra — najlepszym" powiedział Diderot, a rzeczywistość każdorazowo potwierdzała słuszność jego celnie sformułowanej teorii.

Aforyzm Diderota kieruje naszą uwagę na obiektywną, immanentnie w danym dziele tkwiącą wartość artystyczną opery. A przecież opera to nie tylko nutowy i literacki zapis wizji artystycznej kompozytora i twórcy libretta, ale także sceniczna realizacja tych wizji, która dzisiaj spełnić musi wymagania współczesnego widza, a ze względu na swoje trudne w odbiorze podstawowe tworzywo, jakim jest muzyka, musi dla swych własnych potrzeb każde następne pokolenie odbiorców wychować, i to wychować tak, by odbiorca przyjmował prezentowane dzieło ze świadomością jego miejsca i roli w historycznym rozwoju tej dziedziny sztuki i — co więcej — by sceniczna prezentacja opery zwracała uwagę odbiorcy na istotne związki tego gatunku sztuki z innymi jej dziedzinami i kształtującymi ją prądami artystycznymi.

* * *

Wymagania, jakie stoją dziś przed teatrami operowymi są ogromne. Już choćby konieczne wewnątrz pojedynczej inscenizacji połączenie w organiczną całość dramaturgii jaką niesie w sobie muzyka operowa ze wszystkimi tworzywami teatru przy jednoczesnym muzyce ich podporządkowaniu, a więc budowanie pełnego w swym kształcie widowiska operowego jest sprawą niezwykle trudną i oczekujemy tu od realizatorów nie tylko umiejętności, ale i talentu, i odwrotnie — nie tylko artystycznej intuicji, ale także wiedzy, która będzie szła w parze z wielkim, a nieodzownym doświadczeniem. Niech stronę wymagającą tłumaczy fakt, iż jest ona jednocześnie pełna życzliwości i zainteresowania. Szansa wykształcenia wrażliwych odbiorców piękna jest zaś tak wielka i... realna, że praca włożona w tworzenie tego dzieła z całą pewnością wynagrodzona zostanie owym tak bardzo pożądanym efektem.

* * *

Z uwagą i sympatią obserwujemy działalność łódzkiej sceny operowej. Teatr Wielki nie od dziś jest naszym ukochanym dzieckiem; dzieckiem, które co prawda „chowało" nam się nie bez dolegliwości charakterystycznych dla swego młodego wieku, ale teraz coraz większą budzi nadzieje na dalszy całkiem już pomyślny rozwój i pełną artystyczną dojrzałość. O ambitnych zamierzeniach tej placówki poinformował nas kierujący nią od niedawna Bohdan Wodiczko, wybitny i ogromnie zasłużony dla polskiego życia muzycznego artysta. Przedstawiony przez Bohdana Wodiczkę plan repertuarowy łódzkiej opery i program jej działalności upowszechniającej muzykę jest tak interesujący, że warto przeanalizować go choćby dlatego, by zdać sobie sprawę z szansy na prawdziwą wielkość, jaka stoi teraz przed teatrem, którego nazwa winna odpowiadać proponowanym przezeń treściom.

* * *

Przedstawiony przez Bohdana Wodiczkę, a sięgający aż do 1980 roku plan repertuarowy Teatru Wielkiego zwraca uwagę dwoma szczególnie wyraźnie zarysowującymi się aspektami i niemal urzeka niezwykłą starannością w doborze poszczególnych tytułów.. Pierwsza charakterystyczna cecha proponowanego dla łódzkiej sceny operowej repertuaru to jego artystyczna wszechstronność. Uzasadnia ją nie tylko wewnętrzna potrzeba teatru, którego zespoły dla pełnej sprawności artystycznej winny sprostać zadaniom każdego rodzaju i stylu muzyki, ale przede wszystkim szlachetna chęć zapoznania widza ze wszystkimi prądami artystycznymi, jakie odcisnęły swe piętno na światowym dorobku operowym. Budzi nasze najgłębsze uznanie i wdzięczność takie planowanie repertuaru operowej sceny, którego celem jest nie tylko dostarczanie głębokich przeżyć artystycznych, ale także mądre i wszechstronne kształcenie odbiorcy tej trudnej dziedziny sztuki. Drugim, już nie tyle może aspektem, co elementem wyróżniającym ten repertuar w szczególny sposób jest jego wyjątkowość i oryginalność, bowiem tylko w Łodzi melomani z całego kraju poznać będą mogli dzieła nie prezentowane na innych polskich scenach operowych. Miara wszechstronności stylistycznej jest wprowadzenie do planu repertuarowego pozycji reprezentujących wszystkie kierunki w muzyce. Obok klasyki operowej znajdujemy w tym repertuarze ekspresjonizm i impresjonizm, renesans i barok, muzykę dodekafoniczną i weryzm. Przykłady? Oto one: „Wolny strzelec" Webera i „Księżyc" Orffa, „Straszny dwór" Moniuszki i „Powstanie i upadek miasta Mahagonny" Weilla—Brechta, „Orfeusz i Eurydyka" Glucka i „Wozzek" Berga. Obok pozycji

znanych z „żelaznego" repertuaru wszystkich scen operowych obejrzymy w Łodzi takie utwory, których inne teatry z wielu wewnętrznych przyczyn nie wprowadziły do swojego planu. Będą to m.in.: „Julietta" Martinu, „Les Indes Galantes" Rameau, wspomniany już „Księżyc" Orffa i słynny musical „Zorba". Szczególnie starannie dobrany został repertuar baletowy. Tylko w 1978 roku zobaczymy: „Ognistego ptaka" Strawińskiego, Kondrackiego „Legendę krakowską", Palcstera „Pieśń o ziemi", Szymanowskiego „Harnasie". Jest również w tegorocznych planach wieczór baletowy dla młodszych widzów. Złożą się nań: „Czarodziejski sklepik" Rossiniego-Respighiego i „Pocałunek wróżki" Strawińskiego. Nowość, na którą notabene długo czekali łódzcy melomani będą planowane przez dyr. Wodiczkę koncerty symfoniczne orkiestry Teatru Wielkiego z udziałem jego solistów i chóru. Przedstawione nam plany repertuarowe Teatru Wielkiego określić można mianem imponujących. Ogromne doświadczenie i talent nowego dyrektora tej placówki stanowią gwarancję ich pełnej realizacji.

* * *

Po podstawowym pytaniu „co?" i uzyskaniu na nie odpowiedzi świadczącej o słusznie ogromnych ambicjach tej sceny zadaliśmy jej dyrektorowi następne, a wynikające z pierwszego pytanie: „jak?". Warunkiem nadania wymienionym wyżej pozycjom pełnego kształtu artystycznego jest nowa organizacja teatru. Dyrektor Wodiczko podjął już starania o rozbudowanie składu wszystkich zespołów artystycznych swojej sceny. Większa i lepsza jest już orkiestra (spośród jej składu wyłaniany będzie także zespół kameralny), rozbudowuje się balet i chór, do grona solistów przybywają i wciąż przybywać będą nowe głosy. Dla każdej z wymienionych tu pozycji kierownictwo teatru stara się zapewnić najlepszych realizatorów. Już najbliższe premiery muzycznie przygotowywane przez Bohdana Wodiczkę są tych starań najlepszym dowodem: reżyserem „Wolnego strzelca" jest Kazimierz Dejmek (scenografię do tego spektaklu przygotowuje Krzysztof Pankiewicz), a twórcą „Ognistego ptaka" Strawinskiego jest wybitny choreograf Conrad Drzewiecki.

Wybitni artyści pracować będą ze wszystkimi zespołami artystycznymi Teatru Wielkiego, i tak doc. Zbigniew Frieman objął opiekę nad kwintetem i zespołem kameralnym jego orkiestry, Jana Kulaszewicza zaangażowano na stanowisko I dyrygenta, a stale współpracować będą z teatrem Zygmunt Latoszewski i Mieczysław Nowakowski oraz pracujący już Tadeusz Kozlowski. Choreografowie radzieccy otoczą opieką zespół baletowy.

Szczególnie istotna dla Teatru Wielkiego sprawą jest problem jego zaplecza technicznego. Teatr, który jak każda scena operowa na świecie, pragnie mieć w swym stałym repertuarze konieczne 30 tytułów, musi dysponować odpowiednim zapleczem, pracowniami, magazynami itd., a z tym w przypadku naszego Wielkiego nie jest najlepiej. Władze miasta obiecały tu swą pomoc i pomoc ta pozwoli rozwiązać także i ten problem.

* * *

Szansa wielkości, jaką swoim credo artystycznym i planami repertuarowymi ofiarował łódzkiemu Teatrowi Wielkiemu jego nowy dyrektor otwiera melomanom źródło prawdziwie artystycznych przeżyć. Dyrekcji i całemu zespołowi Teatru Wielkiego życzymy pełni sukcesów w realizacji ambitnych zamierzeń.

EWA PANKIEWICZ

ZŁOTO I PAJĘCZYNA

Kiedyś Leon Gomolicki w komentarzu odautorskim do własnej powieści stwierdził, że zbieżności między elementami przeżyć i biografii autora i jego bohaterów są w ambitnej prozie współczesnej nie do uniknięcia, gdyż autor rozporządza pełną znajomością jednego tylko życia — własnego. Chciałbym pójść o krok dalej: nie ulega dla mnie wątpliwości, że wynikłe z takich zbieżności nasycenie książki wiedzą o środowisku i własnym wnętrzu psychicznym autora decyduje w znacznej ilości wypadków o wartościach poznawczych i, co się z tym często łączy, sukcesie artystycznym utworu. Idealnym przykładem na to są właśnie książki Zbigniewa Dominy — najznakomitsze w partiach, do których materiału dostarczyły dramatyczne koleje młodości oraz tradycje rodzinno-środowiskowe autora wywodzącego się ze wsi podrzeszowskiej i w swoim czasie uczestnika walk KBW ze zbrojnym podziemiem.

„Złota pajęczyna", najnowsza książka Dominy, jest próbą powieści epickiej, mającej ukazać w możliwie reprezentatywny sposób przemiany społeczne i obyczajowo-kulturalne ludzi jego stron rodzinnych na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat, począwszy od okropności wojny i krwawych wydarzeń w pierwszym okresie po wyzwoleniu.

Autor „Złotej pajęczyny" na trzystu z hakiem stronach swej mini-epopei zdołał ukazać życie mieszkańców okolicy na przestrzeni trzeciej części wieku, także objąć polem widzenia życie ludzi, którzy z niej wyemigrowali i zmienili środowisko na inteligenckie, a ponadto, roztrząsnąć szereg narosłych zwłaszcza w ostatnich latach dylematów i ukazać ich przykładowe rozwiązania. Wymienimy je:

— wykorzystanie przez młodzież wiejską szerokim frontem szans na awans zawodowo-kuturalny w mieście a wyludnienie się, starzenie się i słabnięcie ekonomiczne wsi;

— wyrugowanie z psychiki współczesnego chłopa przywiązania do własnego zagonu — jako jednego z typowych przejawów świadomości zacofanej;

— dylemat: krzywda ostateczna, zadana przez niegodziwość ludzką bądź fanatyzm poglądów a działanie czasu — stępiające ostrza pamięci i dokonujące pozytywnych zmian w świadomości dawnych krzywdzicieli;

— wybuch nowego, niezmiernie silnego uczucia — notabene do osoby, która na to uczucie w pełni zasługuje — a wierność wobec przysięgi małżeńskiej, wobec rodziny i jako losu konkretnych ludzi, i jako idei — podstawy ładu etycznego (autor jest tu jak najdalszy i od modernistycznej filozofii bez silności człowieka wobec wszechwładzy prainstynktu, i od praktykowanej w społeczeństwach konsumpcyjnych zasady życia ułatwionego; zaleca nad takim podważającym ład uczuciem bezlitosny gwałt i odwołuje się do siły psychicznej rzadko zauważanej i bynajmniej nie przecenianej przez literaturę ostatnich dziesięcioleci — do siły woli);

— konflikt pokoleń (zdaniem Dominy — zgodnym z popularnym w publicystyce poglądem — nie istnieje, jest złudzeniem wysnutym z gry pozorów).

Czas na ocenę — w tym wypadku na rozwinięcie i ukonkretnienie uwagi rzuconej już mimochodem na wstępie.

Nie wszystko, co autor „Złotej pajęczyny" zdecydował się w tej książce ukazać i naświetlić, jest równie uchwytne dla specyfiki jego talentu. I tak w warstwie wydarzeń współczesnych na wsi, zbudowanej, jak się zdaje, w oparciu o znacznie uboższy i mniej zróżnicowany materiał doświadczeń życiowych, niełatwo i z różnym szczęściem daje sobie radę z opieraniem się ciążeniu schematów, przy czym poświęca ją niemal bez reszty potrzebom społecznej publicystyki doraźnej — nie chcę wybrzydzać, słusznej i potrzebnej, ale raczej nie odkrywającej nowych światów, a jedynie powielającej wskazania uznane i na tyle osłuchane i wygładzone w użyciu, że nie wywierają szczególniejszych wrażeń i obawiam się, nie zmuszają czytelnika do rewizji dotychczasowych pojęć.

Jakże silnie odbijają od poprawnej przeciętności tej warstwy obrazy dramatycznych, brutalnych, bardzo męskich przeżyć z lat okupacji, walk z podziemiem (np. scena z przygotowań do pozorowanej egzekucji narratora z rozkazu dowódcy oddziału podziemnego należy, sądzę, do najsilniejszych i najdrapieżniejszych w całej naszej tak przecież bogatej literaturze okresu), a także obrazy ciężkiego życia, brutalnego obyczaju i kultu morgi jako najwyższej i niemal mistycznej wartości — wysoce charakterystycznych dla wsi wczorajszej. Do znakomitych w książce należą również partie poświęcone przeżyciom miłosnym narratora: tym wczesnym, nie wybiegającym u obojga partnerów ponad naglenia fizjologii i dojrzałym, a zwłaszcza ostatniemu, tragicznemu, przy którego ukazywaniu Domino objawia się dość niespodzianie jako subtelny znawca psychiki kobiet o bogatym wnętrzu, o naturach złożonych, pełnych sprzeczności; wybitnie inteligentnych, a przecież rządzących się raczej odruchami niż przemyśleniami, nie liczących się z konwenansami, a jednocześnie prawych i zdolnych uruchamiać w ostatniej chwili hamulce woli. Postać młodej lekarki i dzieje stopniowego rozżarzania się, później zaś wygaszania całą siłą woli jej miłości do narratora udała się Dominie nadzwyczajnie, osiąga w jej kreowaniu wysokie walory artyzmu. Szkoda, że wątek, o którym właśnie mowa, jest jedynym w pełni udanym w warstwie wydarzeń współczesnych.

Bo w warstwie tej w sąsiedztwie znakomitych nieraz scen autor ekshumuje najniepotrzebniej konwencje odłożone już od dawna do muzeum literatury, w tym takie chwyty jak rozwianie qui pro quo o rzekomej obcości pokoleń na przykładzie rozdźwięków między ojcem i synem przez odczytanie porzuconego w roztargnieniu synowskiego pamiętnika, czy posłużenie się anachronicznym wynalazkiem rezonera dla głoszenia expressis verbis odautorskich poglądów na naprawę wsi.

Niemniej niedostatki, o których wspomniałem, są w kontekście całej książki niczym owa tytułowa pajęczyna. Na złotym tle nie rzuca się specjalnie w oczy. Rozstrzyga tu blask, intensywny miejscami nie tylko w tytule.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Zbigniew Domino „Złota pajęczyna", Warszawa 1977, LSW. Cena zł 25.

LUDZIE LISTY PISZĄ...

Niedawno zadano mi w pewnej audycji radiowej pytanie, czy współczesny list może być literaturą. Oczywiście — może być, ale jak o tym przekonać słuchaczy w ciągu pięciu minut? Listy króla Jana do Marysieńki, toż to przecież najprawdziwsza literatura! Ale to historia. A współczesność?

Logiczne — skoro w przeszłości listy bywały literaturą, dlaczego nie mogą być literaturą i współczesne listy? Tylko że o tym przekonają się dopiero nasze wnuki, bo jednak list to sprawa prywatna, intymna i publikować je można po latach.

Czasem zresztą, nawet długo nie trzeba czekać. Jest taka piękna opowieść biograficzna o **Tadeuszu Boyu-Żeleńskim.** Zaczyna się od ostatnich lat ubiegłego wieku, kończy na krótko przed śmiercią bohatera. Osobliwością tej opowieści biograficznej o Boyu jest fakt, iż jej autorem... był sam bohater **— Tadeusz Boy-Żeleński.**

Piszę bowiem o tomie **„Listy"** wydanym przez **Państwowy Instytut Wydawniczy** w roku 1972 w opracowaniu **Barbary Winklowej.**

Kilkanaście lat temu, również w PIW ukazała się wspaniała powieść biograficzna o **Leopoldzie Staffie.** Nosiła tytuł **„W kręgu literackich przyjaźni"** i była... zbiorem listów Leopolda Staffa, w opracowaniu **Jadwigi Czachowskiej** i **Ireny Maciejewskiej.**

Jakież więc wspaniałe powieści, jakaż wspaniała literatura krąży po świecie za złoty pięćdziesiąt, i czasem nie dociera do adresata. Zresztą, niech sobie dociera gdzie popadnie, byleby odnalazła się po pół wieku, aby ożywić nurt twórczości Nadawcy.

Julian Krzyżanowski powiedział przed laty: **„Sienkiewicz wciąż pisze".** Bo przecież ciągle odnajdują się listy Sienkiewicza i ciągle dorobek literacki tego pisarza powiększa się, chociaż sam Sienkiewicz nie żyje od 62 lat. **Niedawno ukazał się kolejny, rewelacyjny tom listów Sienkiewicza, ukazujący nam postać idola naszej literatury w zupełnie nieoczekiwanym świetle.**

Czyż więc listy nie są naprawdę literaturą?

Czyż nie są autentyczną literaturą listy **Marii Dąbrowskiej** do **Kazimierza Wierzyńskiego,** drukowane ostatnio w **„Kulturze"?** Moim zdaniem listy są ogromną szansą literatury. Szansą wykorzystywaną w każdej epoce. Dlaczego więc w naszej epoce ta szansa miałaby być nie wykorzystana?

Tylko — powtórzę znów — na efekty muszą poczekać nasze nie narodzone jeszcze wnuki. To jest ta nasza spuścizna którą zostawimy im w spadku. Listy **Grochowiaka, Bursy, Wojaczka...** Kiedyś te listy ułożą się w piękne opowieści biograficzne spisane przez samych bohaterów.

Dziś mamy inne listy poetów, te listy poetyckie w rozumieniu definicji Słownika Terminów Literackich: „utwór wierszowany o charakterze lirycznym, epickim, satyrycznym, panegirycznym, mający formę listu do fikcyjnego czy rzeczywistego adresata". Takim listem były słynne **„Pieśni" K.I. Gałczyńskiego:**

„Piszę ten list moja droga
z leśniczówki, w chwili takiej,
gdy stoi lampa naftowa
na pudle od kostek maggi..."

To był przecież list — do żony, do przyjaciół, do potomnych... Może najsłynniejszy list w polskiej poezji współczesnej?

Mnie osobiście zapadł w pamięci jesieninowski „List do matki", w tłumaczeniu **Kazimierza A. Jaworskiego,** listy „Do Syna" i „Do królowej" **Tadeusza Nowaka** (z tomu „Ziarenko trawy", 1964) oraz słynny „List do Prezydenta" **Jarosława Iwaszkiewicza.**

„Ludzie listy piszą..." — głosi piosenka. To prawda. Mimo dominacji telefonu (który też nie łączy), mimo szybkiego tempa życia — ludzie jednak listy piszą. Te listy pozostają gdzieś w prywatnych archiwach i z nich układa się przyszła literatura dla naszych późnych wnuków.

A jednak listów piszemy dziś mniej. Mój przyjaciel, **Włodzio Łuszczykiewicz,** który wyzwolił we mnie temat listów literackich, nie otrzyma ode mnie żadnego listu... Jemu przeto dedykuję ten felieton, który jest w gruncie rzeczy listem o listach literackich.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

JAN CZARNY

Czy nie szkoda czasu
Janem być Czarnym,
Lecz nie z Czarnolasu?

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PRÓBNY ALARM

Nasi publicyści o nastawieniu pozytywistycznym, autentyczni wyznawcy „pracy organicznej" zafascynowani techniką i technicystycznym na świat spojrzeniem, łamią ręce nad zbytecznym i nadmiernym pędem młodzieży do studiów humanistycznych. Dużo się czyta głosów o potrzebie skończenia z bujaniem w obłokach, z kultem literatury, który zresztą faktycznie stanowił do niedawna (do niedawna, podkreślam) dominantę naszej kultury i tradycji. Już byliśmy skłonni uwierzyć, że potrzeba nam samych techników, inżynierów, magistrów inżynierów a może także ekonomistów, chociaż ta ostatnia specjalność nie jest wysoko notowana w opinii społecznej; ankiety badające preferencje i prestiż społeczny poszczególnych zawodów ekonomistami w ogóle się nie zajmują. Takiego zawodu nie ma i mało kto wie, co taki facet powinien robić. Skłonni byliśmy uwierzyć, że dość już mamy jak na nasze potrzeby przemądrzałych, jajogłowych intelektualistów, rozprawiających uczenie o wszystkim, a nie umiejących posługiwać się na co dzień komputerem trzeciej generacji.

I oto czytam malenką wzmiankę statystyczną o stosunku liczebnym techników i humanistów w najbardziej stechnicyzowanych krajach świata. Zaskoczenie jest zupełne: studenci kierunków humanistycznych stanowią u nas zaledwie 7 proc. studiujących, podczas gdy np. w Kanadzie 36 proc., w Anglii aż 45 proc.!, a w Japonii — ponad 13 proc. W Japonii, o której fantastycznych osiągnięciach technicznych rozpisuje się właśnie Wiesław Górnicki w „Przekroju", studia inżynieryjne podejmuje niespełna 20 proc. młodzieży, a u nas, gdzie postęp techniczny polega prawie wyłącznie na licencjach obcych — ponad 35 proc....

Czy nasze wskaźniki wynikają może z drastycznych ograniczeń naboru młodzieży na kierunki humanistyczne? Skądże znowu! Co prawda liczba kandydatów na jedno miejsce na kierunkach humanistycznych jest większa niż na innych, ale ci kandydaci i tak stanowią zaledwie 9 proc. ogółu kandydatów, zamierzających podjąć studia, a następnie prawie POŁOWA Z NICH nie zdaje egzaminu wstępnego, czyli są to ludzie nie ci co trzeba, wcale nie humaniści „całą gębą". Nie liczą na żadne szanse tam, gdzie potrzeba wielu ścisłych wiadomości, liczą na możliwość pływania w pięknosłowiu i pretensjonalnym mętniactwie — no i okazuje się, że i tu zawodzą.

Jakoś ostatnio często zdarza mi się pisać o wykształceniu. Ale przecież pisze się o tym w ogóle niemało i doprawdy wnioski nie są optymistyczne. Oto urządzono — analogicznie jak w innych specjalnościach — olimpiadę dla uczniów szkół średnich w zakresie znajomości języka niemieckiego. Laureaci olimpiad mają jak wiadomo wolny wstęp na wyższą uczelnię, bez egzaminu wstępnego. Z pięciu województw, czyli z naszego łódzkiego „makroregionu" przystąpiło do olimpiady 230 uczniów, z tego do drugiego etapu przeszło 79 osób. Wiecie, ilu z nich przeszło następnie przez egzamin pisemny (łatwiejszy przecież od ustnego) i zakwalifikowało się do proby ustnej? Jeden! Jeden jedyny! Jeden z dwustu trzydziestu, jeden z pięciu województw, którego warto jeszcze przepytać komisyjnie!

Ludzie kochani, to są sprawy alarmujące. To są sprawy stojące w prostym związku z jeszcze jedną informacją, takimianowicie (podaję za „Literaturą"): „rok miniony przyniósł spadek ilości egzemplarzy literatury pięknej; wśród krajów socjalistycznych zajmujemy miejsce na szarym końcu i to już niezmiennie od wielu lat..."

I tylko wciąż przodujemy w liczbie doktorów na tysiąc obywateli, magistrów na sto, inżynierów na dziesięć. Zaczyna nam brakować pomysłu na tytuł dla człowieka naprawdę wykształconego...

ĆWIEK

GDY SĘDZIA STAJE SIĘ AKTOREM

Najlepszy chyba obecnie blok programowy telewizji. „Tylko w niedzielę", nadał 26 lutego reportaż pod frapującym tytułem „Czy można wygwizdać artystę?". Tych którzy zdecydowali się go obejrzeć, nie rozczarował jak sądzę, i to zarówno z uwagi na treść, jak i na zastosowaną formę podawczą. Darowali oni również autorom programu z pewnością fakt, że uciekli się do mistyfikacji.

Trudniąc się od lat krytyką telewizyjną, zawsze z najwyższą satysfakcją witałem te pozycje programowe, których koncepcja i wykonanie przesądzały o specyficznie telewizyjnym charakterze. Oglądamy na szklanym ekranie filmy, które równie dobrze mogą być pokazywane w kinie — zgoda! Zgoda także na spektakle teatralne, które nadają się zarówno dla telewizji jak i na scenę. Ale bywają przecież takie propozycje widowisk, przy których chciałoby się wykrzyknąć: ależ tak! To mogło być zrobione i pokazane tylko w telewizji!

Jaki by tu wymienić wyznacznik, czy wspólny mianownik dla tych programów? Chyba taki, że korzystając z technik zarówno teatru jak filmu, wzbogacone są o formy zaczerpnięte wprost z życia, tworząc swoisty kolaż. W widowiskach tych aktor sąsiaduje z człowiekiem innego zawodu, a inscenizacja przeplata się z autentycznym życiem. Tak więc w telewizji każdy może być aktorem, a aktor chwilami przestaje grać, by stać się prywatną osobą, „cywilem" — że użyję określenia funkcjonującego w środowisku teatralnym dla oznaczenia tych, którzy aktorami nie są.

Każdy może być aktorem? Oczywiście. Lepszym lub gorszym, ale aktorem. Więc aktorem bywa profesor Zin i Grzegorz Woźniak, Edyta Wojtczak i „Byk" — Starowieyski, Kałużyński (!) i Waldorff. Aktorami można kreować zespół zawodowych sędziów, protokolantkę i autentycznego adwokata, którzy — choć przypadnie im w udziale odegrać rolę w procesie wymyślonym od początku do końca — pozostaną przecież sobą, zachowają swój prawdziwy zawód i będą go demonstrować z jego właściwością i ceremoniałem przeniesionym z życia.

Tak właśnie rzecz się miała w programie „Czy można wygwizdać artystę?". Sala sądowa jak w życiu, emblematy państwowe, togi, oskarżyciel prywatny, oskarżony, świadkowie, biegli i publiczność. Wszystko rozgrywało się zgodnie z procedurą i obyczajami przyjętymi w naszym sądownictwie. Słowem dla celów programu odtworzono precyzyjnie, z dbałością o szczegóły, maszynerię sądową, by przepuścić przez jej działanie fikcyjną sprawę, dotyczącą wydarzenia, którego nie było w rzeczywistości.

Za sukces realizatorów i wszystkich występujących w tym procesie osób — aktorów zawodowych i aktorów ad hoc — uznać należy uzyskanie efektu zbliżonego całkowicie do życia, tak dalece że łatwo można było ulec iluzji. Przyznajmy się szczerze: z pewnością wielka część z nas uwierzyła przynajmniej na chwilę w prawdziwość rozprawy, którą zaprezentowano nam na ekranie!

Autorom nie chodziło jednak o samą iluzję dla iluzji, o ucieczkę z nabrania publiczności. W takim przypadku mielibyśmy do czynienia z czymś w rodzaju „robienia w konia", a przecież od dnia pierwszego kwietnia dzieli nas jeszcze kilka tygodni. Mistyfikacja posłużyła tu zwiększeniu zainteresowania, podniesieniu temperatury widowiska i żywszemu zajęciu się problemem stanowiącym treść wyimaginowanego procesu.

Gwizdać, czy nie gwizdać? Oto jest pytanie. Obrzucać aktorów jabłkami lub zgniłymi jajkami, gdy nie podoba nam się przedstawiana przez nich sztuka, czy też nie? No, sprawę świadomie wyjaskrawiono. Nikomu nie zależy zapewne na tym, by do teatrów wprowadzać chuligańskie obyczaje. Nawet na meczach piłkarskich, które rozpalają namiętności ludzkie, tępi się praktyki rzucania w zawodników i sędziów butelkami po spożytym alkoholu, czy też petardami.

Autorom chodziło o to, że publiczność w naszych teatrach cechuje letni stosunek do tego, co się dzieje na scenie. Jak reagujemy w przypadku (rzadkim!), gdy obejrzymy w teatrze arcydzieło? Bijemy brawo (powiedzmy: może nieco dłużej bijemy brawo). A co robimy, gdy ze sceny wieje przeciętnością i banałem? Także bijemy brawo. Przez grzeczność. Stopień nasilenia oklasków, skala manifestowania odczuć widowni jest stosunkowo ograniczona. W ten sposób publiczność rezygnuje jakby ze swojego niezaprzeczalnego prawa do osądzania teatru.

W zainscenizowanym procesie wyroku nie ogłoszono. Zaproszono telewidzów, by się na ten temat wypowiedzieli. Ciekawi będziemy wyników tej szczególnej ankiety.

W poprzednim moim felietonie telewizyjnym napisałem, że z telewizją związany jestem m.in. jak AUTOR. Chochlik drukarski zamienił to na słowo: aktor. W rzeczywistości jestem „cywilem", choć zgodnie z zamieszczonym powyżej powodem mogę — jak każdy — aktorem bywać. Ad hoc.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

KTO KOMU PRZESZKADZA?

Na pytanie: jak żyją Polacy? — można dać tylko jedną odpowiedź: żyją dobrze. Bo proszę bardzo. Oto w PKO leży i czeka żywy pieniądz — 711 milionów złotych, które należą się posiadaczom książeczek PKO z całego województwa łódzkiego miejskiego. Jest to pieniądz bezpański. PKO ma go tylko w depozycie, bo PKO przeznaczyło te 711 milionów złotych na odsetki, ale odsetki wtedy są ważne, kiedy zostaną dopisane do książeczki PKO. A posiadacze książeczek PKO wcale nie kwapią się do PKO, aby im te odsetki dopisać.

Stanowczo nie jesteśmy narodem bankierów, ani rentierów. Odsetki nas nie interesują. Już bardziej można powiedzieć, że jesteśmy narodem... handlarzy. Do niedawna byliśmy narodem wojaków, żołnierka była naszym umiłowanym zajęciem. Dziś, choć na świecie nie brakuje konfliktów, zamieniamy miecz na worek wędrownego kupca. Może to i dobrze. Handel od wieków zbliżał narody, wojny je dzieliły. W końcu gdyby nie kupcy arabscy, którzy nad Bałtyk zapuszczali się po bursztyn, nie wiedzielibyśmy, że Kalisz to takie starożytne miasto.

Tylko, że dawniej coś wynikało z tych kupieckich wędrówek. Kupcy notowali swoje wrażenia z podróży i tak współdziałali w zapisywaniu historycznych wydarzeń. Nasi wędrowcy też piszą. Ogłoszenia do gazet:

„Kożuch damski nowy, zagraniczny — tanio sprzedam...".

„Brylant czysty powyżej jednego karata — kupię...".

„Futro — łapki karakułowe nowe — tanio sprzedam...".

„Bony na samochód kupię...".

Nie radzę jednak, a to dlatego, że jak doniósł „Expres Ilustrowany", w łódzkim oddziale banku Polska Kasa Opieki SA, zabrakło druków na zamówienia samochodów kupowanych za waluty wymienialne. Po prostu Centrala Handlu Zagranicznego „Polmot" nie dostarczyła odpowiednich druków, jako że to ona zajmuje się sprzedażą samochodów za dewizy, a Bank PKO SA pełni tylko rolę pośrednika. Bank postanowił więc dalej przyjmować waluty na kupno samochodów, a druki będą wypełniali sami klienci, kiedy te wreszcie nadejdą z CHZ „Polmot". Po poczcie, która wyręcza się klientami i każe wypełniać dowody nadania wysyłającym listy polecone, teraz CHZ „Polmot" zaczyna traktować swoich klientów, na których powinno jej zależeć, w niezbyt elegancki sposób.

W postępowaniu wielu instytucji daje się zaobserwować niczym nie uzasadnioną niechęć do klienta, czy petenta. Znam taki sklep, w którym traktuje się klienta, jako bezczelnego intruza i na prośbę o pokazanie koszuli w brązową kratkę, odpowiada się: — To nie dla pana. W sklepie tym trzeba pokonać niechęć personelu, aby dokonać zakupu. Co mniej wytrwali klienci wychodzą z niczym. Wytrwali robią zakupy, których nie żałują.

Niechęć do petenta czy klienta jest niezrozumiała z punktu widzenia tego klienta, czy petenta. Jest ona w pełni uzasadniona z punktu widzenia tej, czy innej instytucji. Oto na przykład donoszą z Aleksandrowa, że tamtejsza ludność nie chce jeździć do Łodzi tramwajem, a woli jeździć autobusem. Wiadomo natomiast, że zdaniem MPK podstawowym środkiem komunikacji w mieście i okolicy jest i pozostaje tramwaj. MPK ma na ten temat dobrze wyrobione zdanie i różne tam widzimisię pasażerów wcale przedsiębiorstwu nie ułatwia życia. Trudno więc się dziwić, że ma stosunek niechętny do pasażerów. MPK na przykład uważa, że po ulicy Piotrkowskiej nie powinny kursować autobusy linii „57", a pasażerowie wbrew opinii MPK jeżdżą tymi autobusami. Czyż taka różnica zdań nie może wywoływać uzasadnionej niechęci? O ileż byłoby łatwiej, gdyby pasażerowie korzystając z usług MPK mieli na uwadze interes przedsiębiorstwa, a nie własny. Taki egoizm w postawach społeczeństwa bardzo utrudnia życie MPK. A któż chce miec trudne życie?

Stanowczo za dobrze nam się żyje i z tego to powodu zaczynamy podgrymaszać. To nam się nie podoba, a tamto również. Tego nie chcemy kupować, bo wolimy poczekać na lepsze rzeczy i tak dalej i tak dalej. Odsetki leżące w PKO nas nie interesują, zamiast zgodnie z życzeniami MPK jeździć tramwajami, pchamy się do autobusów, kupujemy różne drogie rzeczy, nawet bony na samochód i zgadzamy się sami wypełniać druczki nie nadesłane przez CHZ „Polmot", aby tylko ten samochód mieć. Podgrymaszamy gdzie tylko można i nie można, utrudniając tym życie różnym instytucjom i producentom i później dziwimy się dlaczego nas nie lubią, traktują, jak intruzów, robią wszystko, aby nas się szybko pozbyć.

A jednak racja jest po naszej stronie, po stronie klienta i petenta, bo my pamiętamy, że te wszystkie instytucje, urzędy i przedsiębiorstwa powołano z myślą o naszym, społecznym interesie. W końcu — na przykład — przedsiębiorstwa usługowe powołano po to, aby świadczyły usługi. I jeśli w konkursie „Zawsze do usług" daje się nagrody i wyróżnienia tym, którzy zawsze gotowi są świadczyć usługi, czyli spełniać swój obowiązek, to coś tu jest nie tak. Co nie znaczy, że jestem przeciwny nagradzaniu dobrej pracy.

MARCIN RODAK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652-44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, za strzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 418. I-9.